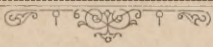




319057

WYBÓR DZIEŁ
KLEMENTYNY z TAŃSKICH HOFMANOWEJ.

WYDANIE JUBILEUSZOWE
TOM IV.



JAN KOCHANOWSKI

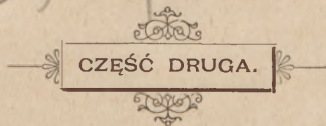
W CZARNOLESIE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU.

OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ

Dr. PIOTR CHMIEŁOWSKI.

884-3-87



KRAKOW.

NAKŁADEM »CZYTELNI POLSKIEJ«.

1898.



474990



CZĘŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ I.

A ty ojeze i matko, zacna krwi oboje!
Wesołem i chętnym sercem dziecię swoje
W rękę obcemu dajcie!

Błogosławcież im spólnie; zacne to są rzeczy,
Kiedy ojciec i matka dziatkom dobrozeczy.

Epithalamium na wesele Radziwiłła.

Cały dom Czarnoleski jeszcze pachniał wonnym zbiorem, jeszcze Ludwinia z Nastką rozkładały skuteczne zioła w suszarni, jeszcze pan Filip prawił pannie Ewie, że te liście i kwiatki ani podobne były do podolskich, jeszcze pan Tomasz Bielawski nie przejechał granic Czarnolaskich i nie pokonał wstydu, jaki mużę jego spotkał, kiedy stanął przed wrotami zmęczony posłaniec i wnet wręczył gospodarstwu list następujący od pana podkoniuszego:

Najmilsi moi!

»Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi«, inaczej rzeczy się obracają, niżejmy sobie układali. Dojeżdżając tu, o mil dwie spotkałem się z ludźmi memi i końmi w dobrem zdrowiu, Bogu dzięki; jeden tylko kary zapada trochę na nogę, ale zda się nic mu nie będzie. — Najajutrz rano, miałem posłuchanie u Miłościwego Pana,

mówi, że zdrów, zdawał mi się przecież zmieniony na twarzy, łaskawszy zaś niż kiedy; rad był nad zasługi i mnie i koniom, wszystkie chwalił, mianowicie białego Iwaszkę i siwego jasno jabłkowitego Gregora; co zaś ciemno-gniady, ulubieniec Filipa, i Miłościwemu Panu wpadł w oko, przezwał go *Batorym*, i powiedział, iż w czasie pierwszej bitwy, jaką Pan Bóg w sprawiedliwości swojej dać raczy, chce na nim siedzieć i zwyciężyć. Chłopaka Turka Kiziamusza, którego wraz z końmi kupił i przywiózł, wyznaczył wyłącznie do jego posługi, mówiąc: — rzecz słuszną, kiedy Batory król ma dwór cały, żeby Batory koń miał choć jednego sługę. — Pan podkoniuszy koronny Kasper Maciejowski, i pan Jakób Piasecki, koniuszy litewski, odchwalić się także mego kupna nie mogli. — Ale dosyć o koniach, trzeba już orzech zgryść i powiedzieć wam nowinę, która was zasmuci. Wczora miłościwy Pan rozmówiwszy się ze mną sam na sam w komnacie swojej, rozkazał, abym niebawem do Turcyi znowu jechał, drugie tyle koni nakupił, zwłaszcza arabskich, jeszcze inne a ważne spełnił polecenia, które papierowi zwierzać nie widzi mi się rzeczą bezpieczną. Nie do smaku mi ta podróż, jak miarkować możecie, aleć powinność przedewszystkiem iść musi. Jutro stąd wyjeżdżam, da Bóg, we środę nad wieczorem ujrzycie mnie; pół trzeciej doby jedno zabawię i pożegniam was. Miłościwy Pan radby, żebym w sierpniu był z powrotem. Na mój rozum, miasto zaręczyn wyprawiłby dziatkom naszym po prostu tego czwartku wesele. Jużciś Ewulka miała czas się ułaskawić, kilka tygodni zna swego bogdana, mało której dziewce tak się uda; niechno zapyta pani matki, jak z nią było? a cóż się jej złego stało? Odjechalibyśmy spokojny, gdybym mego Filipa już

żonkosiem zostawił. Możebyście przechowali komorą państwo młode u siebie przez te parę miesięcy, a za moim powrotem z Turcyi odbyłyby się przenosiny do Studzienicy — ja bym ich tam przyjął, da Bóg! Zostawiam to zresztą mądrymu baczeniu waszemu.

Wasz wierny brat i przyjaciel

Jakób Podlodoski

podkoniuszy królewski.

P. S. Jedno dobre, co się stało tym nagłym wyjazdem jest to, iżem prosił Miłościwego Pana o podpisanie mego testamentu; uczynił tem chętniej tej prośbie zadość, gdy się dowiedział, że ten zapis obchodzi waszą córkę. Z wielkim i należytym jest zawsze szacunkiem dla ciebie, Janie. Wieczorem kazał nadwornym śpiewakom odśpiewać twój *Epinicion*, wyborną a huczną muzykę dorobił nasz Klabon — aż krew we mnie zawrzała, żeby znowu bić się; i wolałbym iść na Turka, jak jechać do Turka — ale może przyjdzie i do tego.

Dan w Grodnie, w dzień św. Witalisa 1584.

Odczytanie głośne tego listu przez Kochanowskiego, sprawiło wielkie a przykre zdziwienie na obecnych. Owa niespodziewana podróż Podlodoskiego, owo albo nagle nie, albo odłożenie stanowczego aktu nie mogły być nikomu na rękę. Jeden pan rotmistrz powinien był się radować, widząc przed sobą podobieństwo tak rychłego połączenia się na zawsze z tą, co kochał — ale on owszem najsmutniej się zamyślił, a kiedy Kochanowski zapytał go, co o tem wszystkim trzyma, i zachęcił, by zdanie swoje wyjawiał śmiało, on tak odpowiedział z uszanowaniem: — Wolno Waszym Miłościwym zrobić, co się wam jedno podoba; moim obowiązkiem służyć ich. I zaiste nie byłoby dla mnie większego i mniej spodzie-

wanego szczęścia, jak gdybym tego czwartku nie narzezoną, ale żonę z rąk waszych dostał — a tu zbytek pomieszania prawie dech odjął rozkochanemu młodzieńcowi — jednak — dodał — zataić nie mogę i nie powinienem, iż choćby przyszło prosto od ołtarza odjeżdżać — odjadę, gdyż ojca, dobroczyńcy mego, samego do Turcyi nie puszcze. Za nic byłoby mi wszystko, gdyby jemu w tej drodze nowe nieszczęście się stało.

Jeszcze nie dokończył tych słów, kiedy Kochanowski powstał i rzucił mu się na szyję; matka z za łez spojrzała na niego z pochwałą, Ewa nie ruszyła się ze swego miejsca, ale jej serce nappełniło się błogiem uczuciem i podwojonem przywiązaniem do swego bogdana; kobieta godna tego imienia, zawsze jest szczęśliwa i dumna, kiedy jej kochanek powinność nad nią samą przeniesie, w sercu szlachetnem niema ku nocie zazdrości. — Już tedy ani mowy być mogło o weselu; wreszcie gdzież wyprawa? gdzież inne przygotowania? Na zaręczyny więc wszyscy się zgodzili. — Matka zastanowiwszy się nie bardzo się gniewała, iż parę miesięcy dłużej patrzeć będzie na pierworodną swoją. I Ewa, prawdę rzekłszy, najwięcej smutkiem Filipa smutną była. — Nie widzieć się przez czas jakiś, trochę później iść za mąż — myślała sobie — nie takie znowu wielkie nieszczęście, kiedy na całe już życie będę pana rotmistrza i z nim... Owszem... może nawet lepiej; kochanym rodzicom trochę dłużej posłużę, siostrami, czeladką więcej się nacieszę; przypatrzę się cnotom świętej naszej, i może nauczę się ją naśladować choć w niektórych rzeczach; oswoję się bardziej z taką zupełną życia mego odmianą... — Ale Kochanowskiego, im więcej się zastanawiał, tem go boleśniej przejmował ten cały zawód; ścisnęło mu się serce,

dreszcz go przechodził, jakieś przecucie nieszczęścia go ogarnęło — zdawało się, jak gdyby księgę przeznaczeń ludzkich kto przed nim otworzył, i błysnęła nagle karta jego i przyjaciela z okropnym wyrokiem. Na domiar jeszcze tych trwożących myśli, kiedy odczytywał po cichu list swego Jakóba, i zatrzymał się nad temi słowami:

— Pół trzeciej doby jedno zabawię i pożegnam was — dzwon żałobny dał się słyszeć w Policzny i uderzył o duszę jego. Nie było nic w tem dziwnego, chowano właśnie komornicę, której Ludwika w nocy pilnowała, ale jemu ten głos prorockim się wydał: I nam obydwom wnet tak zadzwonią — rzekł w sobie.

Przecież nie chciał wcale wyjawiać przed drugimi i tego co się w nim działo; jako człowiek wyższy od tego co go otaczało, nawykł on był wiele uczuć i wrażeń zamykać w sobie, wynurzać je tylko przed Bogiem, usiłował więc i teraz przewyciężyć się, zagadać, zagłuszyć samego siebie, i zaczął radzić z żoną o tem, co było do zrobienia. — Filip i Ewa ze swojej strony radzili, on się martwił i narzekał, ona go cieszyła jak siebie dopiero co; młodzieńcowi nie wpadały wcale do myśli te pociechy; wymawiał kochance jej obojętność, troskał się, czy w czasie tak długiego rozłączenia nie wyjdzie z pamięci: — Co z oczu, to i z serca — mówił — łatwo to zapomnieć, o co kto nie dba. — Zgoła nieco zimny układ Ewy — i zimniejszy może na pozór, jak był w istocie — zasmucał Filipa, ale zwiększał jeszcze jego miłość, bo tak bywało za Batorego, jak dziś bywa: im mniej namiętnie mężczyzna kochany od kobiety, tem sam kocha namiętniej.

Już była późna godzina wieczorna, przeto prócz wspólnej narady Kochanowscy mało co w tym dniu zrobić mogli. Ona tylko rozesłała w różne strony po kurczęta, po jaja,

po raki, po zwierzynę jaką w maju mieć się godzi, on zaś powiedział, że jutro skoro świt ruszy do pani Mikołajowej do Jasiońca, oświadczyć jej zameżcie córki i zamówić na zaręczyny, oraz wezwie syna jej Adama jako najstarszego z synowców, ażeby w jego imieniu objechał liczne sąsiedztwo i krewnych, i zaprosił na czwartkową uroczystość. Jemu, urzędnikowi całej Sandomierskiej ziemi, mężowi już w wieku, i tak poważnemu nie wypadało samemu tego uczynić.

Wystawić sobie łatwo, jaki był ruch w Czarnolesiu przez dni następujące; warto o nim coś nadmienić. Ale naprzód powiedziec należy, że smutek Kochanowskiego, który jednak przez całą noc go niepokoił, ustał w ciągu poranku. Właśnie wracał z Jasiońca, kiedy dojeżdżając do domu, napotkał Orszulkę z Nastką; naparła się koniecznie dziecina, żeby wyjść przeciw ojcu; chciała pierwsza powitać go z drogi, i donieść mu dobrą nowinę: pan podkoniuszy, w wieczór dopiero spodziewany — przyjechał. Ta radość przywróciła zupełnie swobodę duszy poety; ktokolwiek kochał, wie, jakim jest dobrodziejstwem dla znękanego serca widok drogiej osoby; jak słońce ranne wszystkie trwogi nocy niespanej rozpędza. Jak się troskać miał nasz Jan, kiedy widział Jakóba zdrowym, wesółym, pełniejszym niż kiedybądź, dobrej myśli, co do krajowych i własnych powodzeń? czego miał przewidywać jakieś nieszczęścia, kiedy podkoniuszy królewski mu opowiadał, pokazywał, z jakimi ostrożnościami wracać teraz będzie z Carogrodu, jakimi listami g dejtowemi jest opatrzony, kiedy mu wyrachował czarne na białem tak jasno jak dwa razy dwa są cztery, że na dzień Wniebowzięcia Matki Najświętszej, na piętnasty sierpnia, w Czarnolesiu się stawi. — Tak uspokojony Kochanowski po-

dzielił sercem całym z przyjacielem żywą radość, jaką w nim postępek wychowanka sprawił; drożył się to niby przybrany ojciec z początku, ale przecież rad był ofierze; i po niedługim certowaniu się przyjął, gdyż czuł w sobie, iż w podobnym razie tak samo byłby postąpił.

Kochanowska, córki, czeladź cała i sam pan rotmistrz rzucili się do roboty. Na uroczystość tak znakomitą należało przyrzędzić dom, jadło, napoje i ubiory; było więc o czem myśleć, ile że czas był tak krótki. — Już to z domem najmniejsza była robota; prawda, »że wszędzie kwieciami strzęsiono, wszędzie zawieszono wianki«, ale w izbach żadna inna nie zaszła zmiana. — Jakkolwiek pan wojski oświadczył z wielką radością młodzieży, że będzie muzyka i tańce, nie było przecież żadnej potrzeby urządzania bawialnej sali w »salę balową«, jakbyśmy dziś w takim razie powiedzieli i zrobili. Ówczesny sposób ustawiania sprzętów, był zupełnie różny od terażniejszego. Tylko na składach przedajnych ławki, stoły, krzesła, sepety, kantorki stały wszereż, wzdłuż, wpoprzek i na środku izby; tam gdzie ludzie mieszkali, ruszali się, przechadzali, było przestronno, szeroko, konieczne a przeto nie liczne sprzęty ustawiano rzędem pod ścianami, a że wazkie były, mało zabierały miejsca. Nie weszło też jeszcze w zwyczaj polegiwanie się, które dziś wymaga tyle kanap, sof, tatusiowych krzesel, poleżków; panny siadały na samym brzeżku ław i stołków, młodzież męzka rzeżka, zahartowana i pełna uszanowania, nie tylko, że się nie kładła, nie opierała w obecności starszych i białogłów, ale usiąść nie śmiała bez wyraźnego rozkazu; poważne zaś matrony i męzczyźni sędziwi, jeśli czuli potrzebę wypoczynku, szli do łóżka. — Mogła tedy zostać sala bawialna Czarnoleska w swoim dawnym po-

rządki, podłogę tylko dębową zamieciono dobrze, umyto schludnie, żeby nie kurzu nie było, a Kochanowska przyrzadziła za piecem na murku gąsior wody pachnącej zmieszanej na pół z octem, postawiła obok lejek, żeby w ciągu tańców polewać niekiedy podłogę w używane dotąd esy i floresy, sposób arcywymienity, gdyż i kurz w izbie opadał i powietrze się odświeżało.

Większe były zachody koło jadła i napojów, bo już to u nas i dawniej — i dziś podobno po wsiach — najwięcej o papkę dbano, i dosyć ogólną była zasada: »cała rozkosz człowieka tyle jeść, co zażyje«. Mało szło szlachcicowi, gdzie i jak gościa posadzi, byle go nakarmił i napił do zbytku. — Miał być tedy obiad, podwieczorek, wieczerza, podkurek, czyli od południa do północy ciągłe jedzenie i picie. I matki i córki nie żałowały rąk w przygotowaniu różnych przysmaków, Zubek, kucharz, sadił się jak jeszcze nigdy; dom też był zasobny, jak wiemy, piwnice dobrze opatrzone, stawy rybne, apteczka pełna. Prócz tego, kmiotkowie Czarnolescy skoro się dowiedzieli o zaręczynach starszej pani, znieść zaczęli rozmaite podarki. Nie było chaty w całej wsi, gdzieby Ewa z dobrego i hojnego serca swego znaną nie była, nie było też chaty, gdzieby w tym dniu nie myślano o sposobie okazania jej wdzięczności. Papisowa przyniosła w koszu dwaścioro kurczątek, co je pod własnem jej łóżkiem siwa kokosz jeszcze w styczniu wysiedziała; Ewa doglądała jej dziewczuchy w długiej chorobie, jakże jej nie miała oddać, co było najdroższego w domu? Kosikowa parę tucznych kapłonów wydobyła z pod ramienia, pani pamiętała już od lat trzech o jej starym ojcu, co leżał ciągle w łóżku, powietrzem ruszony. Baranowa całą misę glinianą świeżych jajek przydzwigała, a nie było ani jednego po

czarnej kurze; kiedy Nastka jej syna podawała do chrztu, Ewa swoją ręką mu uszyła cały ubiór chrzestny! Gryklik, gospodarz i najlepszy łowczy we wsi całej, wziął rusznicę ze dworu, i na szczęście panienki ruszył w dalekie zarośla i bagna; ogromny pęk przyniósł cyranek i kurek wodnych; w zimie kiedy staczał z wozu sztukę drzewa przywiezioną z lasu, stłukł był sobie nogę, starł aż do kości i ślimaczyła się mu okropnie; Ewa przez cały miesiąc na przemian z Ludwiną opatrywała ranę i wygoiła zupełnie. I inni za tym podobne przysługi, a czasem tylko za prostą życzliwość — bo kmiotek często wdzięczniejszy za dobre słowo niżli za pogardliwy datek — znosili, co tylko mogli: to kwartę manny uzbieranej troskliwie przed wschodem słońca na łąkach, to tłustych serów kilka, to worek orzechów suszonych, to grzybów parę wianków, to raków ogromnych kopę, a każdy i każda za największą łaskę prosili, żeby panienka przyjęła mile ich skromne dary i żeby na uczcie zaręczynowej spożyte były.

Przy takiej obfitości nie wypadało się już troskać, żeby czegoś brakło; zostawało jedynie ustanowić porządek w wydaniu, gdyż nie pomoże i zbytek wszystkiego, kiedy ładu niema. I temu zapobiegła Kochanowska a to najwięcej za pomocą Ludwiny. Święta dziewczeczka trzymająca się jedynie świata przysługami, jakie drugim oddać mogła, którą z dzieciństwa nikt ani do zabaw, ani do tańców namówić nie zdołał, najszczęśliwszą była, kiedy jej pozwolono tam być, gdzie dużo było pracy a nie wydatności. Z najwyższą wdzięcznością podjęła się tedy zatrudnienia wydzielonego jej przez matkę, i otrzymała uwolnienie od pokazania się gościom. Pod jej zarząd oddane zostały podręczne zapasy: ciasta, wędliny, zimne mięsiwa, których według potrzeby używać miała; nau-

czyła ją Kochanowska kolej, w jakiej Zubek potrawy winien był wydawać, co należało dać na obiad, co zostawić na wieczerzę, co na podkurek, zgoła, jak to i dziś bywa u dobrych i przewidujących gospodyń, z góry i wczesnie pomyślano, żeby w niczem ani szkody ani wstydu nie było.

Ale i o ubiorach wypadało pomyśleć. Kochanowski przywdział swój ślubny, ozdobił go bogatym łańcuchem, który niegdyś od Zygmunta Augusta był dostał, i całą postać przybrał godową; ani by nikt nie zgadł po nim onegdajszych smutków i niepokojów, mocno wszystko czujący, z całą pewnością używał radości ojca, dzielił szczęście przyjaciela. — Kochanowska równie wesoła a tem szczęśliwsza, że zapewniając pomyślny los córce nie traciła jej jeszcze z oczu, wystroiła się w ów kabat amarantowy, który za Ewę od męża dostała, głowę i piękne jeszcze ciemne włosy, ale których od zamężcia już świat nie widywał u dawnych Polek — przykryła niską czapką niebieską aksamitną z sobolem, z pod której wychodziła jakby siatka złota z perłami. — Lecz oczywiście i matkę i całą pleć niewieścią domową zajął najwięcej strój oblubienicy. Wypadało jej być ubraną pięknie, a przecież nie kosztownie i do tańca. Biała barwa była najprzyzwoitsza — ale wówczas lekkich sukien jak dzisiejsze balowe wcale w naszej Polsce nie znano, i niewieście za Batorego, którejby chciano włożyć przezroczysty kabat, byłoby tak dziwno jak nam, gdybyśmy usłyszeli o jakim mężczyźnie, że koronkowy frak nosi. Był ząbek, były tureckie i indyjskie muśliny, ale używano je tylko na zasłony i tak zwane zawijki czy rańtuchy; na to miejsce jednak miano jedwabne materye na suknie, które prać się dawały: do ich liczby należał czamlet czyli kamlot. W taki

więc kabat czamletowy biały, trochę mniej pod szyję niż codzienne suknie, sznurowany z przodu złotą tasiemką — gdyż suknie z rozporkami z tyłu zwano wtedy nieskromnem ochędóstwem — ubrała się nasza Ewa. Szeroka taśma jedwabna zielona, gęsto złotem i perłami przerabiana, prawdziwa turecka, podarek Podlodowskiego (a złoty ich nie mało dziewczęce i jej rodzicom w imieniu Filipa) odznaczała stan jej wcięty i składny; żółte półbótki na małej nóżce świeciły. Włosy długie powiązała w warkocz, krótsze skręciwszy rozpuściła w pierścienie, przyciskał je na czole wieniec z żółtych jaskierków barwinkowym liściem przepłatany. Był to także dar Filipa:

Włóż na piękną głowę twoją
Tę rozkwitłą pracę moją

powiedział jej, kiedy się ubierać zaczynała, od przyszłego teścia pożyczając mowy — ale kwiatki i liście tego wieńca na złotej łubce osadzone były i spinał je z przodu kosztowny szmaragd, w dyamenty oprawny. Ewa była śliczna w tym stroju, a choć jej siostra Dorota, zupełnie do rodu Podlodowskich, podobna daleko piękniejszą i wyższą być obiecywała, choć panny Mysłowskie, Sienińskie, Dąbrowskie, i inne, które z rodzicami na tę uroczystość zjechały, były prawie wszystkie dorodne, ona gdy między nimi stanęła, wydała się najlepiej. Nie była przecież piękna; średniego, prawie małego wzrostu, rysów twarzy nieregularnych, była raczej hoża, zgrabna, gładka, i co dawniej nazywali wdzięczna. Jak gdyby na nią ojciec patrzył, kiedy napisał:

Co pocnie, gdzie się ruszy, *wdzięczność* ją sprawuje,
I wszędy niewidoma za nią postępuje.

Ale nie wyprzedzajmy i opowiadajmy porządkiem uroczystość owego czwartku.

Dobrze przed południem zaczęli się zjeżdżać wezwani goście: żaden nie chybił, bo gdzież kiedy Polak do uczy się nie stawił? Skoro zbliżał się kto do wrót — na ten dzień na oścież otwartych — czy konno czy powozem, muzyka uszykowana w jednym rogu podwórza blizka domu, witała go huczno i z okrzykiem, aż się rozlegał odgłos radosny po całej okolicy. Bo już to wówczas żaden obrzęd, żadna biesiada nie obeszła się bez »gędzby« — tem bardziej w domu Kochanowskiego, który za muzyką przepadał. Nie dosyć majątny żeby mieć nadwornych grajków i jakiego Bekwarka, starał się przynajmniej iżby niektórzy z jego dworskich i czeladzi grać jakkolwiek umieli, choćby nie z partesu. Woźnice, pacholki, ogrodnicy, stawnik, młynarz dęli nie źle w trąby, bili w bębny, puzony ciągnęli, pasterze odzywali się dosyć mile na multankach i na piszczałce; włodarz gniótl dzielnie i nadymał dudy, a sam pan Łukasz Gupolski w potrzebie uderzał wybornie w cymbałki. Służba też Podlódowskiego z samych Podolaków, Ukraińców i kozaków złożona, owych muzykalnych ludzi, nie dała się zawstydić w tej mierze Mało- i Wielko-Polanom. Jeden z teorbana a raczej z cytry dźwięki dobywał słodkie, drugi przygrywał pięknie na lutni, tamten na drumli, ów na sałamajkach, a wszyscy głosy mieli donośne, rzetelne, czyste. Prócz tego dwóch śpiewaków Serbów, z tych co wtedy po wszystkich krajach słowiańskich krążyli, zaszedłszy właśnie do Czarnolasu, stanęli na przodzie gądziebnej gromadki, pochyliwszy głowy, ciągnęli długimi smyczkami po skrzypcach, zapominając na ten raz smutnych dum swoich, wtórowali nadobnie i wesoło śpiewom bratnim.

Niebawem zasiedli goście do obiadu. Ponieważ sam obrzęd zaręczyn dopiero po obiedzie miał się odbyć, i wieczerza uroczystą ucztą mianowaną była, nie siedzieli jeszcze narzeczeni przy sobie u stołu, i choć dosyć ochoczo szły kielichy, przecież ukradkiem tylko i pod pokrywką spijano ich zdrowie. Nasłuchiwała się jednak Ewa nie mało żarcików i przycinków i »nieboraczka nie jednego spiekła raczka«; byli nawet tacy z młodzieży, co żale wynurzali swoje, zwłaszcza gdy wino zaczęło trochę zagrzewać czupryny, byliby chętnie i Filipowi przypinali łatki, gdyby nie wysoki szacunek dla gospodarza i przekonanie, że z panem rotmistrzem Owadowskim żartować rzecz niebezpieczna. Nawet i panny, lubo nie tak wyraźnie — przecież miały jakąś niechęć przeciw biednej Ewie: — najmłodsza z nich i najmniej ładna — przynajmniej w ich mniemaniu — porwała im dziarskiego, majątnego, rycerskiego młodzieńca, ledwie co przybył w ich okolice. Gdyby miał być czas przyjrzenia się trochę lepiej, byłby niezawodnie wybrał inaczej. — Bo już to tak zawsze bywało i będzie, że skoro zejdzie się jaka para, wszyscy młodzieńcy i dziewice, co dawniej ani o niej ani o nim nie myśleli, roszcżą sobie jakieś żale do nich obojga zupełnie jak gdyby oni ich ubiegli, jak gdyby im wzięli ich własność. W takim zdarzeniu po gniewie męzkim, po zazdrości niewieściej, sądzić by można, iż tylko ten jeden młodzian i ta jedna panna na świecie, a przecież zostaje jeszcze i jednego i drugiego łaska Pana Boga.

Ale te wszystkie niechęci i żale, te wszystkie chmurki towarzyskie, które zarówno z chmurami powietrznymi nie zmieniły się i nie zmieniają do końca świata, rozpierzchnąć się miały, skoro ważne nastąpiło zajęcie.

W parę godzin po obiedzie, kiedy już trochę ostygły zagrzane czupryny, Kochanowski, który wyszedł był na chwilkę z bawialnej sali, wrócił w towarzystwie księdza ubranego w białą komżę, za którym szedł organista z tacą w ręku i z wodą święconą. Był to sędziwy proboszcz z Policzny; zajęty obowiązkami pasterza, nie mógł zjechać na obiad, lecz teraz przybył poświęcić zrękowiny Ewy i Filipa. — Dawniej żaden ważniejszy obrzęd nie mógł się spełnić bez uczestnictwa kościoła; dopiero wtedy nabywał wagi.

Wnet na stole biało nakrytym pod środkową ścianą zajaśniały dwie świece jarzące i okazał się między nimi wizerunek Zbawiciela z kości słoniowej na hebanowym krzyżu. Kapłan o ten stół się oparł i obrócił się twarzą ku obecnym — wszyscy powstali i umilkli Ewa, która się bawiła wśród młodzieży, uciekła jakby pisklę przestraszona skryć się pod skrzydła matki. Filip bez trwogi i zwolna stanął obok przybranego ojca, Kochanowski zbliżył się do żony i oboje stojąc czekali z powagą. Nie czekali długo. Podlodowski, którego niezwyčajnej urodzie w tym dniu strój rycerski i wykwintny nowego dodawał blasku, wziął za rękę również prawie dorodnego a piękniej jeszcze przybranego Filipa, stanął przed nimi, skłonił się nisko i w krótkich słowach prosił o ich córkę dla swego syna. — Nie wzdrygajcie się, ani żałujcie — dodał widząc urzędową wytrzymałość na twarzy ojca, a łzy w oczach matki — zostanie z wami dziewczeczka wasza; obrzęd dzisiejszy jest jedno rękojmią, iż bądź co bądź się stanie, dacie ją za żonę, skoro czas pogodny nadejdzie, stojącemu tu przed wamirotnistrzowi Owadowskiemu, w zakład czego pozwólcie, niech w obliczu ukrzyżowanego Boga, w oczach tylu zacnych świadków, mój pa-

robek i wasza zamieniają pierścienie i niech je sługa Boży poświęci.

Kochanowski odpowiedziawszy stósownie podał córce szacowny pierścień rubinowy, krwawy jak dla rycerza przystało — ona wsunęła go — jak chciał zwyczaj — na największy swój palec, ale spadał, gdyż był bardzo duży Podlodowski ze swojej strony wręczył synowi pierścionek misternej roboty z jasnym, jak gwiazda nieskażonym, dyamentem; młodzieniec wcisnął go na czubek serdecznego palca. Wtedy organista podał tackę oblubieńcom; złożyli na niej pierścienie, a prowadzeni przez ojców ziemskich, stanęli przed ojcem duchownym. On modlitwę zmówił nad pierścieniami, pokropił je święconą wodą i oddał dwojgu młodym. Ewa z rozkazu ojca dała rubin Filipowi, a on bez rozkazu ofiarował jej dyament, a nachyliwszy się i ukląkłszy, naprzód błogosławieństwo kapłana przyjęli, potem padli do nóg ojcu i matce, i z pełności ich serca odebrali obfite i szczere błogosławieństwo. Nie wiele jednak słów słyszeli obecni; jakkolwiek nagotował się Kochanowski do długiej mowy, jakkolwiek w podobnych razach obcym prawić i śpiewać umiał, dla pierworodnej słów nie znalazł i prędzej by się były łyzy nastęrczyły, ale wstrzymał się od nich, żeby nie rozczulił więcej już tak rozczulonej matki i córki. — Nastąpiła więc chwila uroczystego milczenia. Przerwał ją wnet pan Adam Kochanowski; mianowany od stryja starostą całego obrzędu, zawołał wielkim głosem: — Kielichem! kielichem. — Na to hasło jakby na wystrzał bojowy, albo na pobudkę obozową, wszyscy w sali ruszyli się, przemówili. Świece zgaszono; Ludwina pod bocznemi drzwiami stojąca — i mądląca się serdecznie o szczęście siostry, którego ani pojmowała, ani zazdrościła odebrała ze czią

z rąk matki wizerunek Zbawiciela i odniosła go do sypialnej komnaty; ksiądz zdjął komżę, organista wyniósł się ze święconą wodą, a gospodarz podniósłszy w górę szacowny roztruhan w kształcie kruka, który przed sześcią laty od Zamojskiego był dostał, za napisaną na jego weselu Odprawę Posłów — wniósł zdrowie młodej pary, i kazał zabrzmieć stojącej pod oknami muzyce. Zaczęły się dopiero okrzyki, powinszowania, życzenia; roztruhan przechodził z rąk do rąk, a choć kwartę z górą trzymał, w mgnieniu oka był spełniany. Wino było dobre, wytrawne, tego wieku co narzeczona, gdyż według staropolskiego zwyczaju w roku jej urodzenia wtocono je do ojcowskiej piwnicy — samo więc się prosiło, jak to mówią o rzeczach smacznych. I zaiste, gdyby losy Filipa i Ewy tak mogły były iść po myśli, jak ów złoty trunek szedł gładko do gardła gości i domowych, ledwie z imienia znane by im były kłopoty, zawody i smutki. I w tej chwili stojąc obok siebie, trzymając się za ręce, pewno ani wątpili oboje, że będą zawsze doskonale szczęśliwi. I czyż mógłby się kto im dziwić? Kochali, byli młodzi. Spojrzawszy na nich zdawało ci się, że widzisz uosobione szczęście i życie. Bo i cóż może być nadobniejszego i potężniejszego razem jak dziewczyna tkliwa, niewinna, co ledwie siedmnaście wiosen liczy i młodzieniec zakochany, szlachetny, śmiały, któremu niedawno lat dwadzieścia cztery minęło, i którym pozwalają iść społem. Jeżeli ci nie myślą, że ziemia, przyszłość, szczęście, zgoła świat cały ich jest — a czyimże on będzie?

— Ale najsmaczniejszego wina i za najdroższe zdrowie pić ciągle nie można, wreszcie »kiedy grajki pod oknami, a płec biała pod ścianami, lepsze tany od kielicha«. Skoro tedy roztruhan parę razy kolej obszedł między

mężczyznami, i znikły ogromne farfury ciast rozmaitych i konfektów, któremi częstowały przy winie młodsze córki gospodarskie, pan Adam dał znak muzyce. Zagrała poważnie i huczno, i wszyscy mężczyźni starzy i młodzi poprawiwszy pasa, szcękneli karabelami, czapki pod lewe ramię złożyli, a chybotając się zwolna, stanęli przed paniami nachylając głowę. Każdego innego dnia gospodarz domu byłby się zbliżył do matrony najstarszej wiekiem i godnością, byłby przed nią kark nachylił, prawą dłoń jej podał, prosił, aby swoją rączkę w niej złożyła i w tancie z nim poszła — ale dziś, przyszedł do Ewy choć do córki i do najmłodszej, i z nią stanął uroczyście na środku sali. Gospodyni Filipowi znak dała, żeby ją wyprowadził. Dziś, Filip i Ewa byli najstarszemi, było to ich prawdziwe święto. — Kiedy już całe towarzystwo zebrało się w pary i muzyka pierwszą część tańca przegrała, pan wojski tupnął śmiało w takt prawą nogą, lewą wysunął naprzód, a prawą do niej przysunąwszy znowu takt rozpoczynał tupaniem, i tak wybijając nogami i potakując głową, raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, obchodził jak największem kołem obszerną salę, a za nim wszyscy. Za drugą połowę tańca, smutniejszego nieco tonu, skreślił pochód na drugą stronę, i to puszczał swoją parę, to znowu z nią się łączył — a co on robił robili wszyscy. Nareszcie gdy tak obszedł kilkakrotnie salę, raz w gładkie koło, drugi raz w węża, a za każdą częścią tańca nową robił zmianę, pan podkoniuszy, który z umysłu dotąd nie tańczył, stanął przed pierwszą parą, a klasnąwszy mocno w dłonie żądał z grzecznością odstąpienia panny. I otrzymał. Kochanowski przeszedł do drugiej pary i odbił ją, Filip do trzeciej i tak dalej; panie na tem nie traciły, nowych tancerzy zyskiwały, źle tylko było

ostatniemu bo sam jeden został; nie tracąc czasu odbił Ewę panu podkoniuszemu, i trwały tak te odbijania i przemiany, dopokąd Kochanowski wszystkich par nie przeszedł, i nie został z kolei sam jeden. Wtedy zawołał: — Płeć biała sama! — Wszyscy mężczyźni posłuszni rozkazowi, skłoniwszy głowy z uszanowaniem, odstąpili pań swoich. Szła tak płeć biała sama czas jakiś, drobną nóżką także silnie takt znaczyła, głową pomagała nóżce. Ale wnet sprzykrzyło się niewiastom tańczyć samym; Ewa dała przykład, wzięła sobie parę, wszystkie ją naśladowały, a nie jedna panienka w tym wyborze na żart zdradziła może prawdziwy wybór serca.

Ewa nie wybrała przecież Filipa, już on jej był pewny: podała rękę Podlodowskiemu i z nim tańczyła rozmawiając wesoło. Wyborowi dobrowolnemu płci białej przeszkadzać nie było wolno; po obejściu tedy parę razy sali, panie dały poznać grzecznie, że już mają dosyć, i pokłoniły się uprzejmie; mężczyźni wyjmując czapkę z pod lewego ramienia podsunęli ją zręcznie pod rączkę pani, a złożywwszy na tej rączce pocałowanie, puścili ją; i tak się zakończył taniec *pieszy*, jak go wówczas zwano, taniec, który my dziś tańczujemy i zowiemy z cudzoziemską *polonezem*.

Lecz gdzie było młodych par kilkanaście i gdzie obchodzono zaręczyny dwojga ludzi, co razem ich wzięwszy ledwie lat czterdzieści mieli, tam, na takim poważnym tańcu jak *pieszy*, skończyć się nie mogło. Nastąpiły żwawsze, a wszystkie przeplatane śpiewkami, bo wtenczas nie było tańca skoczego bez pieśni. Filip — czego łatwo domyśli się każdy — rej wodził między wszystkimi i już bogdanki z rąk nie wypuścił. To stawał z nią na czele par innych, naprzód śpiewał przed

muzyką i śpiewał do niej, a potem wywijał się żwawo, wykrecał całą salę w takt. Raz dwa — raz dwa obiegał, a za nim śpiewali, wywijali się, wykrecałi się, obiegali drudzy, trzymając się parami ramię na ramieniu. To znowu w innym zupełnie tańcu występował z nią samą jedną: naprzeciw niej, jak mógł najdalej stanąwszy tupał jakby z niecierpliwości, a potem okrążając salę dziwy z wielkiej ochoty wyprawiał; jeżeli w bok sunął i skoczył, zdawało się, że oknem jak wiatr wyleci, jeżeli znowu przysiadł do ziemi, rzekłbyś, że się wczodga pod ławy jakby gad jaki. Ewa, przypiąwszy do białego kabatu zapasek zielony z kieszonkami, odpowiada mu na każde jego wyzwanie, tupała tyle razy co on, ale tańczyła zupełnie inaczej; drobne stawiała kroki, a choć nie były i one bez sztuki, przecież wydawały przyrodzoną pieśczętę płci jej bardzo przywoitą; czasem tylko jakby przez zapomnienie podskoczyła lekko; wtedy brząkały klucze w kieszonkach zapaska, a obecni winszowali z uśmiechem Podlodowskiemu: Ot! jaka walna gospodyni będzie!

Po tych tańcach dziś jeszcze nam znanych pod nazwą krakowiaka i kozaka, wzięto się do rozmaitych już teraz zarzuconych: były to cenaar, goniony, gniewus, lipka, dorobuszka i inne; galarda tylko i wyrwańca nie dozwoliła Kochanowska; pierwszego dlatego, że obcy, drugiego, że nieobyczajny; jakoż w tym tańcu, według wiarogodnych opisów, tancerz z tancerką ujawszy się z blizka wodzili się niby za nosy, i zdawali się spowiadać sobie z popełnionych grzechów, a kręcąc się prędko i co raz prędzej, obracali się w koło. — Nie wiem czyby dziś tak wzięty u nas walc, uszedł klątwy pani Czarno-

leskiej ; mnie się zdaje , że on coś bardzo na wyrwańca zarywa ?

Przed samą wieczerzą koło naszej siódmej godziny (ale nie rannej tylko wieczornej) Filip coraz więcej rozochocony wezwał do najweselszego tańca i w którym jako sobie rodowitym, nad wszystkie inne celował:

Hejże dalej do mazura;
Podajcież mi ręce która

śpiewał podrygując w sali i uderzając piętą o piętę, i wyprowadził Ewę na środek ; a skoro inni młodzieńce dobrali sobie podobnież pary, i stanęli w wieniec, śpiewał do Bogdanki, i do drugiej będącej przy nim z lewej strony dziewczeczki:

Podajcież mi obie ręce,
Niechże w koło się wykręcę.

Tak i inni śpiewali, ręce sąsiadkom podając i utworzyło się wielkie koło; wtedy wszyscy trzymając się mocno i tupiąc gęsto jakby w deptaku kręcili się wołając:

Hoc, hoc, na około
I obróćwa się wesolo.

A trzymając się coraz mocniej, tupiąc coraz silniej i kręcąc się coraz żwawiej krzyczeli:

Kiedyśwa się rozhulali,
Hopa! hopa! dalej — dalej

Siedzącym pod ścianami matronom, stojącym we drzwiach poważnym mężom mogło się wydawać, patrząc na nich, czując wiatr od szat ich sprawiany, że to jakiś wir nowego rodzaju, jakaś Stąba osobliwsza, które tak kręcąc się z wzrastającą szybkością i siłą i ich ogarną i porwą. Ale rozigrane koło wstrzymało się nagle, i podzieliło się parami, zawsze jednak stojąc w wieniec. Nie jeden tancerz, widząc swoją panią bardzo zmęczoną,

obrócił się ku niej, a machając czapką, wietrzykiem twarz jej gorącą ochładzał. Filip zaś z Ewą wnet wystąpił, i to kręcił się w kole, to skakał, to tupał, bił hołupca, trzymając raz jej ramię, raz obie ręce na krzyż, a przytem tak śpiewał:

Kej Mazur tupnie nogami
I zakrzesze podkówkami,
Kej ma dziewczę jak anioła,
Oto mu chwila wesoła!

Inne pary tym przykładem zachęczone tak samo występowały i tańczyły z kolei, śpiewając co komu przyszło do głowy; potem znowu zebrawszy się w jedno wielkie koło, kręciły się do upadłego, wołając ciągle:

Hoc, hoc, na około
I obróćwa się wesoło,
Kiedyśwa się rozhulali,
Hopa, hopa, dalej, dalej.

Kiedy tak hulali, Kochanowski stanął we drzwiach sali z kielichem w ręku, zawołał:

Wiwat Mazur, Krakowiaki,
Wiwat dziewczki i chłopaki.

a spełniwszy kielich duszkiem, wezwał do wieczerzy.

Chociaż prawie ciągle od obiadu za staraniem Kochanowskiej i dozorem Ludwiny było co jeść i co pić, przecież owo wezwanie do wieczerzy mile zostało przyjęte. Każdy tanecznik wziął pod rękę swoją panią, zaprowadził ją do stołu i sam siadł przy niej. Już teraz i Filip miał miejsce koło Ewy i to najpierwsze, i nie raz spełniano zdrowie ich obojga. Oblubieniec odwdzięczał się zwyczajem męzkim, spełniając podany sobie kielich co do kropki; Ewa dotykała się tylko ustami naczynia i dziękowała skinieniem głowy i słowem. Bo jak-

kolwiek Polacy w owych wiekach tego spijali, i często przy biesiadzie z ludzi w zwierzęta się zamieniali, od kobiet — czem niechęć przyznawali nam lepszą naturę niż sobie — nigdy nie wymagali wzajemności. Paprocki w swoich dziesięciorgu przykazaniach niewieścich napisał:

Pókiś panną, dosyć masz abyś to wiedziała,
Gdy kto pije do ciebie, odpowiedź mu dała.

A cnotliwy Modrzewski wspomina ze zgrozą o kilku domach miejskich, gdzie się schodzili mężczyźni i białogłowy; mężczyźni pili za zdrowie łaskawych na siebie, a białogłowy, czego nawet rzymskie niewiasty acz poganki nie pozwalały sobie, pełniły rzekomo, aby się nie zdały nie życzyć zdrowia onym, co za ich zdrowie przepoje czynią.

Wieczera dostatnia i smaczna, kształtnie zastawiona i chędogo dana, trwała dopóki się nie ściemniło zupełnie; wtedy sala bawialna, sień, zajaśniały jarzaniem światłem, na podworcu wzniosły się ognie ze słomy, kagańce rozpalone, zeszła się wezwana przez dziedzica Czarnoleska gromada; bo u prawdziwej polskiej szlachty, godnej tego imienia, nie ma uciechy, kiedy jej kmiotkowie nie dzielą, wie ona, że ziemia nie nasza, ale Boża, tak pan jak chłopek tylko gospodę ma na niej. Wytoczono dla nich kilka beczek piwa, parę baryłek miodu, a dodano nierównie więcej w miarę mięsiwa, krup, jarzyn, sera i chleba; grajkowie również posileni odezwali się hucznie, i nowa ochota do tańca wszystkich przejęła; każdy tanecznik już nie czekając, żeby zdjęto ze stołu półmiski i obrusy, porwał się za swoją panią, i pospieszył do świeżo umiecionej i pokropionej sali. — Naprzód według zwyczaju całe zgromadzenie ponowiło taniec pieszki, a potem przyszły z kolei wszystkie inne, z tą różnicą, że jeszcze

rażniej, weselej i głośniej niż pierwej, jak to zawsze bywało i bywa po dobrej wieczerzy i przy dobrym winie. Ochota trwała późno w noc, dopóki się młodzież zabawą nie zmęczyła, dopóki starszym, którzy długo z nateżonem uchem muzyki słuchali i pilnie na tańczących patrzyli, sen nie zaczął zamykać omdlałe oczy.

Ewa wytańcowała się za wszystkie czasy i podobno na całe życie. Był to jej pierwszy, jak dziś zowiemy, *bal*, a kto wie, czy nie ostatni. W owych wiekach hu-czne zabawy nie należały wcale do przeznaczenia kobiety; taniec nie był bynajmniej koniecznym i powszednim dla młodzieży chlebem, rodzice nie liczyli do obowiązków swoich dostarczanie córkom sposobności bawienia się, i *wydania*, jak weszło w zwyczaj mówić. Mężczyźni zjeżdżali się do miast, na pańskie dwory, jedli, pili, dokazywali, i w tem mieli zwykle widoki obywatelskie; dla kobiet nie było innych zjazdów prócz z krewnemi, z przyjaciółmi, z powodu jakiego rodzinnego obrzędu; trafił się raz w parę lat, to dobrze, nie trafił się, nie miano to za żadną krzywdę. Często dziewczeczka do samego wesela nogą nie ruszyła, chyba na żart, dla wprawy, dla ruchu z siostrami, w żadnym licznem towarzystwie ani powstała, a ślubna suknia była pierwszą jej strojną suknią; nie uważała się przeto za nieszczęśliwą, a *wydała* się lepiej i prędzej, niż dzisiejsze panny. Rano wstając, wcześniej spać chodząc, cały dzień zatrudniona, z kąd jej było wziąć czasu na nudy, z kąd pragnienia zabaw? Schadzki też mężczyzn z płcią białą po wieczorach i nocach jedynie dla tańców, dziś tak powszechnie przyjęte, wtedy jedynie po stolicach widzieć można było, a domy, gdzie się odbywały, równano z najgorszemi. Mężatki i panny, co tam uczęszczały, w złej były sławie. Bo bę-

dzień która — mówi jeszcze zacny Modrzewski — coby z podobnej biesiady lepszą do domu wróciła? któraż z takich schadzek odejdzie, odnosząc wolne serce od nagannego lubowania, chociażby też na ciele splamioną nie była? O nieszczęśliwe dziewczeczki, które się w takich schadzkach kochacie! O nieszczęśliwi rodzice i mężowie córek i żon takich!

Smutnie to a może niewczesnie rodzajem klątwy na tańce i zabawy rozdział o zabawie i o tańcu zakończyć; ale bo i któżby się ważył przyganiać młodzieży, kiedy się przyzwocie i niewinnie bawi? Sam Modrzewski o tem nie myślał; zbytek tylko, niestósowność uciech, ślepe ich zamiłowanie i pragnienie, jak gdyby człowiek do samej zabawy się urodził — tym — zawsze i wszędzie przyganiać należy.

ROZDZIAŁ XV.

Bodaj szczęśliwie tę drogę odprawił
I wszystko według myśli swojej sprawił.
Księga II. pieśń 7.

I przykrego zdarzenia nie trzeba, żeby po hucznej i wesołej biesiadzie, dzień następny wydał się głuchy i ponury; cóż dopiero być musi, kiedy komu wypadnie prosto z tańca i od stołu żegnać się z ukochanemi osobami, puszczając je na dalekie przygody i prawie nieochybne niebezpieczeństwa? — Tak przecież się trafiło Czarnoleskiej drużynie, i wyznać należy, iż nie zniesła tej przemiany bez srogiej serca boleści. Kochanowski osobliwie, gdy już wybiła przykra godzina rozstania, gdy konie zaszły i wszyscy przed gankiem się zebrali, tkliwym się okazał aż do zbytku; może to był skutek

wczorajszego wina, które jeszcze w nim pracowało, może jakieś okropne przecucie, jak upornie utrzymywał: dosyć, że rześystemi łzami oblewał twarz przyjaciela żegnając go, pełne smutku mówił mu słowa, o dotrzymaniu młodzieńczej zmowy upewniał, a w końcu uwiesił mu się u szyi, i nie chciał go wcale puścić. — Do tego przyszło, że Podlodowski nie mówiąc tylko ściskając ukochanego Jana za rękę — co zawsze bywało niemem świadectwem najgłębszych uczuć — oderwał się od niego prawie gwałtem, wskoczył odrazu na konia, i ruszył czwałłem, nawet nie oglądając się.

Filip i Ewa nie mniej zapewne uczuli żałości, lecz pokazywać jej tyle nie śmieli; pocałowanie ręki jedyną było wówczas pieszczotą dozwoloną narzeczonym, bądź w oczach rodziców, bądź za oczami; z trudnością też przyszło młodzieńcowi wypuścić z męskich i szorstkich rąk swoich drobną i gładką rękę dziewczynki, a osobliwie owego małego paluszka, na którym od wieczora błyszczał jak gwiazda zakład obiecanej wiary. Byłby rad wziął go z sobą jakim cudem, i dziwne rzeczy mu powiedział: — jak ma przyponinać swojej pani wiernego i dozgonnego jej sługę, co jej mówić w wieczór i rano w jego imieniu, od czego strzedz ją i bronić. — A snadź, nie Filip pierwszy i ostatni wpadł na myśl dziwaczną przybierania sobie podobnego powiernika; wszak do dziś dnia młode dziewczęta wiedzą pełno rzeczy niewiedzieć z kąd i od kogo? a jak ich się zapytać: kto im to wszystko powiedział? — Serdeczny paluszek — odpowiadają z uśmiechem. — I Ewa ze swojej strony obracając się także do wczorajszego pierścienia, którego rubin szacowny, jak kropla oprawna w djamenty, czerwienił się na palcu stroskanego rotmistrza, przemówiła kilka słów rzewnych, jakich by może

nie była się odważyła wyrzec wprost: — Niech że cię jak najrychlej oglądam znowu, drogi pierścieniu, i w całości — mówiła drżącym i pełnym łez głosem — tęsknić tu będę za tobą, a skoro raz wrócisz szczęśliwie, już cię więcej nie dam od siebie. — Pod ciężkiem zakłębieniem przysiągł Filip, jako wróci pierścień w całości, i wraz z nim słać się będzie pod stopy pani, którejby oba porzucać nie radzi. — Raczej życie stracić niż ciebie — mówił sobie w duszy, gdy ucałował nogi przyszłych rodziców i odebrał serdeczne ich błogosławieństwo, wsiadł na swego Turczynka, i złoty znak przyciskał do ust.

Ruszył i on za przybranym ojcem, a choć się wielokrotnie oglądał, wnet go dopędził. — Długo widać ich było obydwóch, długo migały się jak błyskawice dobyte szable, któremi znaki robili w powietrzu na pożegnanie, dłużej jeszcze z tarasu Kochanowskiego — na który wstąpiła cała rodzina — widać było obłok kurzawy wzbijany przez konie ich, i licznej dosyć służby; ale nareszcie wszystko znikło, samo milczenie i smutek zostały, tem przykrzejsze, że zaraz od południa czas się zmienił; ostry wiatr dąć zaczął, a choć to był początek pięknego maja, sprowadził wnet deszcz zimny na pół ze śniegiem.

Kochanowski zamknął się u siebie i przez parę dni mało co się pokazywał; wyjeżdżał w pole, chodził koło gospodarstwa, kiedy tego była konieczna potrzeba: najchętniej jednak osobności szukał, tam, zagłębiał się w myślach, i jednej Orszulce wolno było przerywać jego tęskne dumania. Luba dziewczynka skoro zobaczyła ojca siedzącego samotnie, skoro wpatrując mu się w oczy, dostrzegła na jego czole niezwyuczajnych śladów smutku, czepiała się jego sukien, siadała mu na kolanach, albo stanawszy na ławce obok niego, spinała się jak mogła,

i póty czoło jego pocałowaniem gładziła, póki nie znikły marszczki pod jej różanemi ustami, jak śnieg znikał przed wiosennem słońcem. Nie raz także własną jego bronią go biła i pokonywała; chodząc na około, piastując łątki swoje, nóciła jakby od niechcienia stósowne wyjątki z psalmów, jak naprzykład:

Gniew Pana nie trwalszy piany
A łaski wiek nieprzetrwany;
Kogo w wieczór zafrasuje,
Tego rano umiłuje.

Albo te:

Użyję zwykłej litości,
Obrócę płacz twój w radości;
Zdejmiesz z siebie wór żalobny,
Włożysz na się płaszcz ozdobny. — i t. p.

Kochanowska choć szczerze przejęta odjazdem brata i przyszłego zięcia, choć nie mniej wystawiająca sobie od męża wszystko złe, co ich w tak długiej drodze spotkać mogło, nie pozwoliła przecież ani sobie, ani tem bardziej córce, wzdychać, narzekać, usychać, i smucić się w bezczynności. Wreszcie coby uszło kobiecie przy dzisiejszych wykwintniejszych obyczajach, nie mogło mieć miejsca obok dawnej prostoty. Dziś, panna na wydaniu rodu i majątku Ewy jakież zwykle ma zatrudnienia? oto czytać, pisać, grać, rysować, szyć na kanwie; choćby tedy przez parę dni dla jakowejś tęsknoty i zniechęcenia opuściła ręce, i nie ruszyła pamiętników czy romansu, choćby nie wprawiała się w *étude*, nie skończyła jakiego przerysu, i dała pokój zaczętemu haftowi, nikt o tem wiedzieć nie będzie, a przynajmniej nikt nie poniesie szkody; ale niechnoby gospodarna Ewa nie była dojrzała krów, spiżarni, kuchni, niechby była grządek swoich nie pod-

łała, złych ziół nie wypeliła, kurcząt nie nakarmiła, nie odwiedzała chorych, wnetby nieład był widoczny, i matka ostrem łajaniem byłaby wypłoszyła takie dziwne i kordjaczne żale.

I te same żale, jakkolwiek powód do nich był słuszny, przy ciągłej a koniecznej pracy zwolnieć musiały; mimo tego ówczesne kobiety nie były mniej czułe dla drugich, ale wyznać należy, po większej części były mniej czułe dla siebie, niż częstokroć dzisiejsze.

Ewa, pomagając matce, przewodząc siostróm do przywrócenia porządku w domu po ostatniej biesiadzie, do obrachowania już nie tego co wyszło, lecz tego co zostało, nie zapomniała bynajmniej o bogdanie swoim; nikt tego nie wymagał po niej, owszem każdy byłby jej pustą wesołości i obojętności za grzech poczytał. Wówczas wolno było pannie się kochać, może nawet jawniej, niż teraz, ale kochać się raz tylko jeden na całe życie, za wiedzą rodziców czy starszych, i w przyszłym mężu. Nie kryły się też panny ze swoją miłością, a z tej jawności rodziła się stałość, bo skoro wieść się rozeszła: — Zakochała się, trafiła na swego hogdana — już dla tego samego miłowała go niezmiennie, żeby nie ujść za płochą i za lekko myślą. Ewa tedy nie tracąc ani na chwilę Filipa z pamięci, choć już nie tak wesoła i figlarna jak dawniej, rozerwała przecież ciężki po nim smutek. Nie tylko rano i w wieczór, daleko częściej spoglądała na swój pierścionek i przypominała sobie ostatnie pożegnanie; z matką, z Nastką rozmawiała o panu Rotmistrzu, o jego rzadkich zaletach, o przyszłym z nim szczęściu, ale obok tego nie zaniedbała żadnego obowiązku, nie zapadła na zdrowiu, ani też nie nudziła ani siebie, ani nikogo, narzekaniami i melancholją. — Następujących dni przysła też nowa

robotą, którą zajęła się pilnie cała pleć niewieścia domowa, a która dla Ewy szczególnie miała wdzięk wielki, jak to pojmą zapewne wszystkie panny idące za mąż. — Tą robotą była *wyprawa*, czyli *gierada*, jak wówczas niektórzy mówili.

Sądząc po tem, co dziś w takich razach w niejednym polskim domu się dzieje, wnosićby należało, iż zaczął się ten zachód od tego, że pan ojciec po długim targowaniu się i trząsaniu głową dobył worka, albo też co jeszcze częściej się trafia — pożyczyl od kogo pieniędzy, a pani żona z panną córką zapisawszy różne cudności z za granicy i z za morza, ruszyły do stolicy, albo do najbliższego obcego miasta zakupić tam rzeczy i szaty pospolitsze, i wzięły z sobą choć jedną brykę pod owe towary? — Nie — Kochanowski nie dał ani grosza, żona i córka nie napisały ani jednego listu, i nie ruszyły się na krok z domu; Nastka sama jedna pojechała do Kazimierza po jedwab, guziki, igły, taśmy, i t. p. drobnostki i przybory, a ów kuśnierz, i ów krawiec, co już byli w Czarnolesie podczas przeglądu szatni, teraz na kilka tygodni wezwani zostali. — Dawniej, wyprawa panny nie robiła się tak, jak nam nieraz widzieć się przytrafia: na gwałt, na przepych, bez zastósowania do posagu, do dalszego życia i przeznaczenia przyszłej mężatki, której często nasprawiają takich rzeczy, jakich ona później ani włożyć może. Staropolicy rodzice jeżeli mieli pieniądze dla córki, woleli dać jej gotowizną pod poduszkę, a trwonili jak najmniej na tak zwane fatałaszkę. — Myślano tedy o wyprawie kilkanaście lat przed weselem, starając się opędzić ją ile możności tem, co dom miał. W tem wczesnem obmyśleniu — któreby dziś powodem było do żartów i do wróżb niepomyślnych — nikt żadnej śmieszności, ani próżnej

chwalby nie widział, owszem, rozsądną przezorność. W owych czasach, więcej do natury zbliżonych, niemiano wcale za rzecz nieprzyzwoitą albo dorodnej i dobrze wychowanej dziewczeczce, że pójdzie za męża, i mówić jej o tem. Ukrywać przed nią to główne przeznaczenie kobiety uważano za rzecz równie zbyteczną i dziwną, jak tać przed chłopcem, że kiedyś z Tatarami, albo z Moskwicinem czy z Turkiem rozprawiać mu się przyjdzie. Bo przy lepszych obyczajach i większej pobożności nie było wcale — jak już wspomnieliśmy wyżej — starych panien świeczkich; wszyscy niemal mężczyźni się żenili, rzadka zaś była rodzina, któraby choć jednej córki nie chowała na zakonnicę. Bez żadnej więc tajemnicy matka dziewczeczki, przeznaczonej do świata, myślała o jej wyprawie niemal od kolebki; dziewczeczka od dzieciństwa pracowała w tym celu, siostry pomagały jej chętnie, a co wynikło z tych wspólnych prac, składane było do osobnej skrzyni. Toż, kiedy się trafiło panience dostać w darze od chrzestnych, od starszych krewnych nieco pieniędzy, sztukę bławatu, błam futra, przestrzegali ją rodzice mówiąc: — Zbyteczne to teraz dla ciebie, raczej na wyprawę schować — i moneta szła do garnuszka, a podarek do skrzyni.

Znalazł się w rzeczach matki strój, który poważnej matronie już nie przystawał: — Zda się dla mojej dziewczki — mówiła, strój szedł także do skrzyni. Czasem, sztuka domowego płótna, obrus, ręczniki, pstre jakie płócienko dziwnie pięknie się udały: — Żal by się tego, Panie Boże, na codzienne nasze obejście — wyrokowała gospodyni — odłożyć to dla naszej dziewczki. — I tym sposobem skrzynia się napełniła, a kiedy mąż się trafił, nie było wydatków i korowodów, należało tylko rozpatrzyć się we wszystkim i urządzić jak najlepiej.

I z wyprawą Ewy nie zaszedł żaden inny zachód. Otworzono wielką skrzynię jej imieniem oznaczoną, już nam znaną, do której — o czem zapomnieliśmy wspomnieć — pan koniuszy nie mało dorzucił w dzień, kiedy do Czarnolasu na zaręczyny zjechał. W owej ciężkiej bryce bowiem, co to za nim z Turcyi się przytoczyła, znalazły się atłas, kitaje stambulskie, różne wschodnie wełniane i bawełniane tkaniny, czabany podolskie, baranki krymskie, nowogrodzkie marmurki, syberyjskie sobole, a Podlodowski te wszelkie cudności ofiarował Ewie. — Kochanowska tedy wkrótce po odjeździe lubych gości, z trzema starszemi córkami i z wierną Nastką wypróżniła całą skrzynię; parę poranków strawiła w szatni i wnet wszystko przyrządzono według następującego *spisu*; zostało tylko prawie przerobić używane już rzeczy, przykroić, uszyć, naznaczyć nowe, uprać bieliznę, i to co się prać dało.

Spis wyprawy Ewy Kochanowskiej.

Kożuszków codziennych sukiennych bielnią podszytych dwa.
Kožuszek brunatny teletowy popielicami podszyty jeden
Kožuszek turecki kitajowy zielony krymskimi barankami podbity, jeden.

Czucha (szuba) od szarzania sukienna szara z lisami.

Czucha od święta atłasowa karmazynowa brzuskami nowogrodzkimi podszyta.

Kabat ślubny biały adamaszkowy ogoniasty.

Kabat zaręczynowy biały czamlotowy.

Suknia czarna atłasowa sobolem obłożona rozwarta na przodzie.

Suknia zielona adamaszkowa gronostajami obłożona.

Giermach jedwabny fiołkowy podbity bobrem.

Mentlików płócienkowych pstrych barchanem podszytych dwa.

Letnik tawtowy ceglasy białem kitajem podszyty.

Letnik pisany płótnem żółtem podszyty.

Koszul wyszywanych i marszczonych z długimi rękawami i z kołnierzem cztery tuziny.

Koszul bez kołnierza z długimi rękawami dwa tuziny.

Obrusów różnej miary trzy tuziny.

Ręczników wyszywanych dwa tuziny.

Gładkich tyleż.

Ręczników tureckich rozmaitych tuzin.

Towalni jedwabnych sześć.

Spodnica jedwabna biała atłasowa.

Spodnica karmazynowa kitajowa.

Spodnica futrzana.

Spodnie wełnianych dwie.

Spodnica czerwona.

Spodnie barchanowych trzy.

Prześcieradeł dwa tuziny.

Cztery poduszki puchowe z pochwami.

Pierzynka pstra jedna.

Kołder wełnianych dwie.

Materacy drylichem w pasy pokrytych dwa.

Łóżko żelazne z namiotkiem.

Opona do przykrycia łóżka z materji tureckiej.

Opona futrzana.

Kobierców na stół dwa.

Kobierców wazkich na ławy dwa.

Czepców bogatych dwa.

Czapka czarna z uszami z barankiem.

Czapka karmazynowa aksamitna z sobolem.

Zasłona muszlinowa turecka.

Myszka białogłowska jedna.

Duchenek nocnych cztery.

Krez białych rąbkowych karbowanych dwie.

Forbotowa ze złotem jedna.

Gładka jedna.

Pończoch szytych par sześć.

Pończochy czarne sukienne jedno.

Pończochy czerwone sukienne jedno.

Pończochy futrzane jedno.

Trzewików kurdybanowych par dwie.

Trzewików skopowych o dwóch podeszwach para.

Skórzenki kunowe.

Butów sakowych długich dwie pary.

Pantosle tureckie haftowane.

Zarękawek futrzany.

Niebyło na tym spisie srebra, klejnotów, jakie Kochanowscy dać mieli przy ślubie córce, gdyż jeszcze dział tych rzeczy na pięć równych części nie był sporządzony; wreszcie około kosztowności podobnych, żadnej nie było roboty, dosyć było czasu w dzień ślubu ofiarować je, i do rejestru dołączyć. Kształt sztucców, czar, pucharów, miednic, nalewek, nie zmieniał się wtedy co lat kilka, równie jak się nie zmieniała oprawa drogich kamieni; rodzinne, od dziadów pradziadów cyfry, kształt staroświecki, dodawały im nawet ceny, świadczyły tem samem, że już dawno są w domu, co za większą poczytywano chlubę, jak gdyby za pieniądze zakupić coś nowego u złotnika i jubilera, choćby też w samej Wenecyi, w Norymberdze, albo i w Paryżu. — Wiemy jednak z dobrego źródła, że, gdy już przyszło Ewie iść do ołtarza, dostała od matki:

Łyżek srebrnych sześć z cyfrą i herbem Podlodowskich.

Kubków srebrnych tyleż z napisami.

Misę wielką srebrną z Turcji przywiezioną.

Puchar kosztowny, dar ślubny Białaczewskich.

Czarę złocistą na Tatarach zdobytą przez ojca Podlodo-
wskiego.

Noszenie na szyję szmaragdowe z perełkami po babce
macierzystej Kochanowskiego.

Pierścień z obrazem Matki Boskiej, po Janie Odrowążu,
biskupie Gnieźnieńskim, 1454. roku zmarłym;

a na drobniuczkiem złotym łańcuszku banieczkę w kształ-
cie jabłuszka; była to balsamka, puszka kryształowa na
rozmaite wonie w złoto oprawna, matce Kochanowskiego
darowana niegdyś od jej chrzestnych.

Jakkolwiek wyprawa Ewy Kochanowskiej wyda się
może nie jednej mniej znakomitej od niej dzieweczce zbyt
skromna, przecież ona nad dopełnieniem jej daleko wię-
cej pracowała od wielu panien dziś idących za mąż, któ-
rych przepłacone *trousseau* kilkaby zajęło arkuszy, gdyby
warto było spisywać, gdyby nazwać można, wszystkie skła-
dające go elegancye. W rozkładzie prac dostało się Ewie
naznaczenie całej bielizny, wyszycie koszul z kołnierzem
w rozmaite wzorki, i utkanie dwóch pięknych stołowych
nakryć; te wszystkie zaś roboty nie szły tak łatwo, jak
dziś pójśćby mogły, takich pomocy nie było; wszystko na-
leżało wymyślić i wykonać samej, a każda ówczesna ro-
botnica według słów późniejszego nieco poety Kaspra
Miaskowskiego:

»Cienkie obrusy tkała rączkami,
Nadobne wzory kładła myślami«.

Prócz tego, do koniecznych obowiązków panny idą-
cej za mąż, zrobić coś bardzo pięknego przed ślubem
własną ręką dla swego przyszłego. Ewa po długich na-
radach z matką, po namysłach z samą sobą, przedsię-
wzięła czaprak, zgadując, że ozdoba ulubionego Turczynka
najmilej od pana rotmistrza przyjętą będzie. Amarantowy

turecki atlas nałożyła w krosienka, i szyła na nim kruki czarnym jedwabiem, łabędzie białym, obwodząc jedne i drugie i łącząc je srebrnym sznureczkiem; były to jak wiadomo Kochanowskich i Owadowskich herbowe znaki, a wtedy owe »piątka szlacheckie« kładziono chętnie, gdzie tylko się dało, nieraz z przesadą. Może ten wzorek nie ułożył się z doskonałym gustem, może ptaki nie były jak żywe, a kruki nieraz większe od łabędzi, jednak wydawało się to wszystko razem wcale nie źle; cały dwór Czarnoleski, wszystkie sąsiadki i młodzi sąsiedzi uwielbiali zręczność panny wojskiej, a ona tymczasem, w tej pracy niepojęty wdzięk znajdowała. Rano wstawszy obaczyć, jak się wydaje, czy dużo już zrobionego? rachować, za jak wiele tygodni będzie mogła być skończona? Z wszelką ważniejszą robotą jak najspieszniej dążyła, żeby mieć więcej czasu do ulubionej, a kiedy siedziała przy swoich krosienkach, owe ptaki, które mimowolnie wyszywała zawsze parami, tysiączne słodkie myśli jej podawały...

Od wyjazdu Filipa, Ewa zarzuciła także zupełnie dawne wesołe piosenki swoje, polubiła smutne nucenie, i wszelakie wiersze. Wiele poezji ojcowskich już było drukowanych, ale ona nie знаła i połowy; teraz odczytywała je pilnie, i bardzo jej było dziwno, że niektóre pieśni niegdyś zupełnie dla niej obojętne i trudne, teraz rozumie, pamięta, i nawet jakby siebie w nich widzi: ledwie parę razy którą pieśń przeczyta, już ją powtarza, i zdaje jej się, żeby taką samą, może jeszcze lepszą złożyć potrafiła, jak naprzykład następująca:

Jako ptak, kiedy towarzysza zbędzie.
 Nigdy na różdże zielonej nie siędzie,
 A między bory i pustemi lasy
 Sam jeden lata po swe wszystkie czasy:

Tak ja nieszczęsna w jego niebytności
 Muszę być zawdy w trosce i w żalości;
 Chronię się ludzi sama nie wiem czemu;
 Radam gdy świadka nie mam płaczu swemu.

Troszczą mnie smutną srogie morskie wody,
 Troszczą mnie wiatry i złe niepogody;
 Troszcze mnie wszystko cokolwiek być może;
 Tobie go ja tam poruczam, mój Boże!

I to mi czasem na myśl więc przychodzi
 (Bo łacno gdy chce nieszczęście ugodzi),
 Że może serce próżno się frasuje
 A on podobno gdzie indziej miłuje.

Żlechy mi płacił moje życzliwości,
 Bym miała doznać takiej niewdzięczności:
 Bodajbym pierwiej ostatnie skonała
 Niżli nowiny takiej doczekała.

Aleć ja dufam jego szczerzej nocie,
 Że mię nie będzie chciał mieć w tym kłopotcie;
 Będzie pamiętał i statecznie chował
 Miłość i wiarę, którą mi ślubował.

Usilne wiatry co morzem władacie
 Jeżeli też kiedy to co miłość znacie,
 Dodajcie mu tak szczęśliwego biegu,
 Że wrychle stanie na ojczystym brzegu ¹⁾.

Często jednak Ewa ciężkie wymówki sobie czyniąc,
 iż wiersze świeckie umie i powtarza jak pacierz, że nie do
 kościoła, ale dla Turczynka jej taka piękna i trudna ro-
 bota, prosiła pobożnej Ludwiny, żeby koło niej usiadła,
 i prym trzymała w jakiej świętej pieśni; a tak wtórując

¹⁾ Księga II., pieśń II.

siostrze spokoila sumienie swoje, pan Filip zaś na tem nie tracił, bo robota szła jeszcze sporzej, a modły ofiarowane były za niego.

I Kochanowski po kilku dniach zaczął przecież otrząsać się ze smutku swego, i znajdować rozrywkę nie w samych pieszczotach Orszulki; najmocniej jednak zajął go i zwrócił myśli jego w inny kierunek, list synowca Krzysztofa najstarszego syna pani Mikołajowej Kochanowskiej z Jasiénca, który, jak się wyżej wspomniało, zostawał przy dworze królewskim. Umieszczony tam najwięcej dla zasług stryja, odtąd bez szczególnego urzędu i zatrudnienia, układu jednak i głowy wcale na dworaka, i jak-byśmy dziś powiedzieli na *dyplomata*, uważał pilnie wszystko, brał nawet udział we wszystkim, i rozumiał nie-raz, że do wszystkiego należy; wypłacał się stryjowi za posadę swoją — w której wielce smakował — donosząc mu wiernie to co widział, słyszał, co się działo, i czego się domyślał. — List jego był prawie w tych słowach: (spolszczyliśmy bowiem łacinę, bez której ówczesne korespondencye męzkie rzadko się kiedy odbywały).

Wielmożny mnie wielce miłościwy

Stryju a Panie!

— Pierwsza miłość od siebie, donoszę przeto na samym przedzie Waszej Miłości, iż zdrów jestem dzięki Panu Bogu, i powodzi mi się po myśli. We trzy dni po odjeździe naszego pana podkoniuszego (któregom mocno obowiązywał, aby wam oświadczył moje służby, ale nie wiem czy nie przepomniał z wielkiego pospiechu) król Pan nasz miłościwy idąc do kaplicy na mszę świętą postrzegł mnie, spytał czy do Waszej Miłości często pisuję, pozdrowić was rozkazał, a nazajutrz nasz pan mar-

szalek¹⁾ zawołał mnie, oświadczył, jako skutkiem osobliwszej łaski królewskiej, policzon zostałem w poczet płatnych dworzan, jakich bywa najwięcej szesnastu przy monarsze, a którzy, jak Waszej Miłości wiadomo, nie są wcale brani z szarej szlachty, gdyż Herburtowie, Niemojowscy, Kretkowscy, Gołuchowscy są dziś między niemi. Pobierać będę jako i każdy z nich na sześć koni obrok, strawnego trzy złote co tydzień na chleb, piwo, i wino, i czterysta złotych rocznych zasług, a co jeszcze lepsza, choć i tamto nie najgorsze, zbliżę się daleko więcej do majestatu, co jest dobrodziejstwem i szczęściem bez ceny, a będąc koło wielkiego ołtarza, będę mógł i sam korzystać i Waszej Miłości przysługiwać się jeszcze rychlejszemi i pewniejszemi nowinami niż dotąd.

»Nie czekając nawet dłużej prosząc was tylko, abyście moje służby pani stryjence i bratankom przełożyć raczyli, i pani matce przesłali jak najrychlej moje tu pisanie, opowiem wam dokładnie co tu u nas słyhać, co porabiamy i porabiać myślemy.

»Już to — mówiąc między nami — nie bez przyczyny pan podkoniuszy tak spiesznie wyprawiony powtórnie do Carogrodu; do czegożby proszę tyle koni w królewskiej stajni gdyby się nie miało na wojnę? Będziemy tedy mieli wojnę niebawem, a to nie jedną ale dwie, ręczę słowem szlacheckiem. Pozybyłóć tu wprawdzie przed kilkoma dniami poselstwo moskiewskie w obdłużonych szatach żałobnych: poseł Andrzej Jemoiłów przywiózł listy nowego Wielkiego Kniazia Fieodora Iwanowicza, z żądaniem potwierdzenia dawnego pokoju. Miłościwy Pan przyjął go uprzejmie, ale poseł Rzeczypospolitej wysłany jak wiecie

¹⁾ Stanisław Przyjemski.

jeszcze do srogięgo Iwana, mądry nasz Lew Sapieha, ostrzegł króla przysłanem potajemnie pismem, aby nie przystawał na to. Łacna ma być teraz owa ogromna ziemia do zawojowania, gdyż niezgoda ogarnęła najzacniejszych bojarów, lud jest strwożony śmiercią Iwana, w którego wierzył choć on go tak katował i woła na głos: »kto nas obroni kiedy jego nie stało!» a kraj cały wycieńczony wojnami, podatkami; młody zaś Książ Fieodor, w którym ostatnia nadzieja — jak mówią kęs niedołęgi. I musić to być i w tym razie «głos ludzki głosem Boskim» kiedy sam ojciec zmirając naznaczył mu opiekunów, żeby oni krajem rządzili, a nie on; zkađ też wszczęły się kłótnie, które ich wszystkich zgubić mogą. To wszystko zważywszy rzec śmiało można, iż nie było nigdy i nie będzie lepszej pogody do nowej wojny, i król nasz, ów miłośnik bojów i mądry wódcz, jak niegdyś owi dawni Cezarowie i Aleksandrowie, chce z niej korzystać. Zamyśla on odzyskać księztwo smoleńskie i wszystkie kraje od korony oderwane, spodziewa się nawet całe państwo moskiewskie tak przestronne i przemożne, tyle sposobów do wojowania ofiarujące podbić i przyłączyć do Polski, albo przynajmniej na pożytek całego chrześcijaństwa obrócić. Bo panie stryju, nie skończymy dalipan na tej jednej wojnie, niebawem rozpoczniemy drugą, śpiewając naszemu Stefanowi wraz z waszym Psalmistą i po waszemu:

Wsiadaj z dobrem sercem, o królu cnotliwy,
 I w dobrą godzinę na swój koń chęliwy;
 Zajedź drogę śmieie nieprzyjacielowi,
 A zastaw się o mój lud poganinowi.¹⁾

¹⁾ Psalm XX.

»Tak — nie inaczej — zwalczywszy Moskwicina ruszymy wszyscy na Turka, na ową potęgę, co śmie grozić chrześcijaństwu zagubą, co chce oblać ciemnotą swoją całą Europę; wiem dowodnie, że i w Rzymie i gdzie indziej, są dane tajemne dowiadywania się, jakiejby chęci w takim razie król polski mógł się spodziewać od ojca świętego, i od innych panów chrześcijańskich? Wiem ja — bom w ciemię nie bity — że i nasz pan podkoniuszy nie po same konie pojechał; ma on tam przepatrować siły tureckie, stan wojska i wierną zdać o tem sprawę, a królowi naszemu — choć tak za pięknymi koźmi przepada — ręczę, że na tej wiadomości więcej zależy, niż gdyby mu ze stajni sułtańskiej kilku uprowadził arabskich dzianetów.

»Skoro da Bóg, że owych potężnych wrogów pokonamy, nową chwałą się okryjemy, prawemu kościołowi się zasłużymy, skarbami zasilimy, wtedy snadno nam będzie wewnętrznym nieprzyjaciołom poradzić. Groźni sąsiadom, pewni pokoju, poprawimy ciężkie wady Rzeeczypospolitej, ustalimy niepewność jej losów. Założą się szranki swawoli, ukróci się zuchwalstwo możnych, swobodom nada się trwałość, ustanowi się następstwo tronu, a przynajmniej sposób elekcji poprawiony zostanie. Jakaś istna kara niebios, że nam z tem następstwem tak się rwie, bo chociaż Polakom z dawien dawna, wolno obierać sobie królów, przecież naród nasz zawsze rad bierze brata po bracie, syna po ojcu. Ale coś nasz orzeł od jakiegoś czasu w pustulkę nam się zamienił, i nieodżałowana szkoda, iż po takim królu jak dzisiejszy nie wolno nam spodziewać się potomka! Jedna wada naszej Miłościwej Pani, te owe lat pięćdziesiąt z górą! Słyszałem ja niedawno od osoby, co wiedzieć takie rzeczy może (jedno mnie nie wygadajcie przed nikim na

miłość Boską): iż dla tego jedynie Gryzelda Batorówna dana w małżeństwo Zamojskiemu, dla tego rok właśnie temu, owo monarchiczne wesele, tryumfy, igrzyska, rozrzucanie pieniędzy, żeby jeśli nie on, to kiedyś syn jego, skoro mu go synowica królewska urodzi, był swego czasu królem. Lecz cóż? jakby o tym zamiarze posłyszała nieprzyjazna Fortuna. Pani kanclerzyna, czego może Wasza Miłość jeszcze nie wiesz, gdyż niekoniecznie z tą nowiną się noszą poroniła niedawno w Knyszynie, i według dworskich pogłosek tyle miała szkodować na zdrowiu, iż ani dalszego potomstwa, ani długiego życia lekarze nie obiecują. Kanclerz jakkolwiek nie wie i słowa o tym ich wyroku, przecież zrazu bardzo wziął na serce to nieszczęście, zwłaszcza gdy się dowiedział, że dziecko było płci męskiej; przez parę dni płakał, czego od śmierci drugiej żony nikt po nim nie widział; niewiadomo jednak czy te łzy były za synem, czyli za królem? lubo Wasza Miłość znasz lepiej nawet odemnie, że on pragnie dzieci jak zbawienia, a korony wcale sobie nie życzy, a to nie tyle z bojaźni zawiści dawniejszych od siebie panów, o których bynajmniej nie dba, ile dla tego, żeby sobie nie zniechęcił szarej szlachty, o którą wielce stoi. Z innej strony powiadano mi znowu, jakoby on sam namawiać miał Miłościwego Pana do wyjednania dla synowców indygenatu, i podania potem jednego z nich narodowi na swego następcę. Z tą powieścią nie zgadza się wcale niedawne wysłanie pana Andrzeja Batorego do Rzymu, poświęcenie go duchownemu stanowi, i staranie się dla niego o kardynałstwo. Tego ostatniego postępku Miłościwego Pana, któremu jak się zdaje bardzo sprzyja kanclerz całym swoim dowcipem nie pojmuję, lubom już nie mało głowy nad nim nałamał, a Jego Królewska Miłość przy-

więzuje wielką wagę do owego kardynałstwa; jak przyjedzie z Krakowa poczta panów Montelupich, najpierwej się pyta o listy księdza dziekana Reszki, ochmistrza pana Andrzeja i jakby tajemnego naszego posła w Rzymie. Co do mnie, jabym zacnemu młodzieńcowi raczej życzył korony niżli kapelusza, ile że w kilku okazyach bawiąc przy naszym dworze, pokazał się dla mnie szczególnieżyciwy; na mój rozum, jabym go ożenił z królowną szwedzką, córką nieboszczki królowej Katarzyny, takiej prawej Jagiellonki jak nasza Miłościwa Pani; po najdłuższem życiu obojga dzisiejszych królestwa, mielibyśmy znowu Batorego i Annę, coby się nam rozkrzewili jak niegdyś owi zacni Jagiełłowie, a możeby przecie nie wygaśli tak rychło jak oni. Mówią niektórzy jakoby królowna acz jeszcze młodziuchna, i takiej świętej matki córka zaciętą już była kacerką. Lubo to już nie tak w naszym senacie i w całej Rzeczypospolitej jak było za nieboszczyka króla jest jednak dosyć takich panów, coby dla tego samego radzi ją mieli na tronie; wreszcie OO. Jezuici, których, liczba i gorliwość codzien się zwiększa, wnet by ją prawemu kościołowi pozyskali.

»Mało kto jednak to mądre zdanie moje podziela i ja też wiem dobrze przed kim z niem się otwierać; wielu z tych co Miłościwej Pani sprzyja, głośno się oświadcza za królewiczem szwedzkim; rzecz to podobno ułożona od czasu jego urodzenia między dwiema Najjaśniejszemi siostrami, żeby go forytować na tron Polski, i kłowa Katarzyna przy śmierci miała zakląć o to naszą Miłosewą Panią, na pięć ran Zbawiciela i na całą miłość siorzańską, jaka między niemi była zawsze tak serdeczna. Niewiem atoli czyby ten *Szwedzik* był królem dla nasci co przyjeżdżają ztamtąd, prawią, iż on przy

ojczyźnie zacięcie stoi i stać będzie, a jakkolwiek zacny ksiądz Warszewicki uczy go po polsku i nieustannie koronę polską mu przed oczy stawia, młodzieniec żadnej skłonności do matczyzny nie okazuje. Nie jest on bez pięknych przymiotów i wielkich zalet, ale raczej na księdza niżli na monarchę, a to jeszcze na polskiego, gorliwy katolik, wcale uczony, obyczajów prawie świętych, wszystkie pacierze i godzinki jezuickie odprawia, jakby uczniem był sławnego świętego Ignacego Lojoli; wizerunek nawet jego, niedawno przysłany Miłościwej Pani, wystawia go w sukience duchownej klęczącego z paciorkami w rękę, a ksiądz Warszewicki stoi za nim. Miarując z tego malowania królewicz nie wydaje lat ośmnastu, szczupły jest i dosyć urodziwy, czoło wysokie, twarz ściągła, nos piękny, jedno kęś zaduży. Ma być małomowny, poważny i zimny, ale roztropny; po modlitwie, malarstwo i złotnictwo najmilszą mu zabawą.

»Nasza Miłościwa Pani od czasu, jak zawsze nosi przy sobie jakiś kamień indyjski, przysłany jej ze Rzymu, dosyć jest zdrowa; w ostatnim liście, który tu pisał sekretarz jej Jędrzej Petrycy, donosił jako 25. zeszłego miesiąca, była w kościele ś. Anny w Krakowie na mszy, z dworem swoim, gdzie idąc, na ofiarę zostawiła pięćdziesiąt czerwonych złotych. Po mszy gdy z kościoła wyszła, zastąpili jej na cmentarzu doktorowie i mistrzowie akademicy, i zaprowadzili do collegium do wyższej sali, gdzie ją witał mową rektor akademii, nasz Marcin z Pilzna wyliczając jej dary i szczodroblewości jej przodków Jagiellonów. Odpowiadał od królowej Petrycy. Potem prowadzona była do biblioteki, ztamtąd do izby wspólnej, gdzie ją marcepany, cukry i konfekty częstowano. Oglądała też pamiątki po naszym błogosławionym Janie Kantym: ów

obraz matki Przczysteij, przed którym, jak wam wiadomo, zwykł był się modlić w nocy, kiedy kollegium było zamknięte, napisy świątobliwe na ścianach jego ręką kreślone, i rewerendę purpuryanową, w którą do dziś dnia oblekają każdego dziekana filozofii nowo obranego, w nadzieję, że wraz z suknią i mądrość wielkiego męża oblecze. Po tych odwiedzinach przysłała Miłościwa Pani akademii precudny kubek złoty, który waży 135 dukatów. Wręczył go starym kollegiatom Kasper Sadłocha, aby został na zawsze ślad dnia tego. Owe względy królewskie dla akademii krakowskiej nie koniecznie idą w smak pewnym ojcom, którzy by już wszystko dla swoich zagarnąć chcieli, lecz są między niemi tacy, co zasługi tej starej Matki naszej szczerze uznają, a na ich czele ksiądz Piotr Skarga, niegdyś jej uczeń, który coraz bardziej wymową i świątobliwością swoją słynie; teraz gości właśnie w Krakowie, i pracuje nad założeniem przy kościele ś. Barbary, banku pobożnego na wzór włoskich; byłoby to wielkie dobrodziejstwo dla ubogiego ludu. Miłościwa Pani nad zamiar swój długo bawiąc w Krakowie, — gdyż już blisko roku — niezawodnie wyjechać miała pierwszych dni bieżącego miesiąca na Skałę i Częstochowę do swojej ukochanej Warszawy, dokąd ją też powołuje kościół osierocony odjazdem dziekana. Koniecznym sposobem chciałaby królowa JM. wyjednać u małżonka swego rychły powrót do Polski księdza Reszki, ale Miłościwy Pan ani słyszeć o tem nie chce. Dziwny człowiek ten ksiądz dziekan; musiałby się na poły przedrzeć, gdyby chciał obojgu królestwu i wszystkim swoim obowiązkom dogodzić; są ludzie, których na *jedno* aż nadto, są drudzy, których na *czworo* za mało.

»Zborowszczyk zawsze po swojemu: mówią, jakoby to z jego poduszczeń, kozacy Niżowscy zdobyli i spłodowali Bender, czem Turek bardzo się obraził i zemsty szukać obiecał; Miłościwy Pan wpadł w gniew srogi dowiedziawszy się o tej nowej psocie, ile że jeszcze nie pora bisurmanów obrażać; już do tego przyszło, że mało kto śmie wspomnieć w obliczu królewskim imię Samuela, gdyż zaraz zapala się bardzo. Łotr tymczasem przejeżdża się po Koronie jakby po swojej własności, głosząc, że do Włoch jedzie, czemu jednak nikt nie wierzy. Ów spiszek na życie Pańskie w Niepołomicach coraz większej jawności nabiera; Gosławski i Bokszyce, oba szlachta — co ze zgrozą wyznać przychodzi, wygadali się jako byli namówieni od panów Zborowskich, do zgładzenia ze świata Miłościwego Pana, skoroby według zwyczaju swego oddalił się od dworzan w czasie łowów. Bokszyca nieboraka już sprzątnęli za długi język. Gosławskiego sam kanclerz ma na oku. Ale — zapominam wam donieść, kanclerz lada dzień w województwo Sandomierskie zawita; przemóglszy mężnie domowy smutek i własne sprawy nieco załatwiwszy, jedzie do Krakowa sądy grodzkie odprawić, ztamtąd uda się do Lwowa, gdzie już na niego czeka poselstwo tureckie, z którym ma traktować w imieniu króla i Rzeczypospolitej, o owe przez kozaków wyrządzone krzywdy; ze Lwowa zjedzie do Lublina, dokąd i my zjechać mamy zaraz w drugiej połowie sierpnia. Jam tej drodze bardzo rad, gdyż skoro obowiązki służby pozwolą, pobiegnę ucałować nogi najukochańszej pani matki i Waszej Miłości; ale co nasz Pan, to zostałby tu daleko chętniej. Coraz więcej zda się lubić Grodno; już to między nami mówiąc, woli on jednego swego Węgra Kiepszę albo Terensa od dziesięciu Polaków, a dziesięciu

Litwinów od dwudziestu koroniarzy. Panowie też litewscy Bogiem a prawdą, szczerzej go kochają i pomagają mu chętniej do spełnienia wielkich jego zamysłów. Z naszych możnych, jeden prawie kanclerz co dla niego wylany duszą i ciałem, i słusznie powiedzieć się godzi: iż nie było dotąd równie rzetelnej przyjaźni między monarchą a poddanym, zawsze jakby jedna dusza w dwóch ciałach. Od lutego nie był u nas kanclerz, ale w zamian, ciągle jeżdżą posłańce z listami do Knyszyna i z Knyszyna; gdyby choć jeden taki list mieć w rękę, i gdyby go się godziło przeczytać, dopierożbym Waszej Miłości ciekawych a ważnych rzeczy naprawił.

»Miał też Miłościwy Pan ostatnią pocztą, mieli i inni listy z Włoch od księdza Radziwiłła Sierotki i jego służby, o tych listach głośno i obszernie mówiono, a niektóre sam miałem w rękę. Już ukończył ślubowaną pielgrzymkę do ziemi świętej, i Wielkanoc odbył w Ferarze. Chorował mocno we Włoszech, ale już zdrowszy i ma tu zjechać z początkiem lipca, złożyć dzięki naszemu królowi za staranie, jakie czynił koło niego prawie ojcowskiem sercem. Rozlicznych doznał przygód w tej podróży, ale może Wasza Miłość wiesz o tem wszystkim tyle, co i my; znane przywiązanie Radziwiłłów do was, a szczególnie tego księcia i wdzięczność za tak piękne opisanie męstwa jednego z nich; nie dziwiłbym się wcale, gdyby jadąc z Krakowa do Grodna o Czarnolas zawadził.

»Kursowała tu niedawno nowa książka Fausta Socyna przeciw Paleologowi; Miłościwemu Panu nie podobała się z kretesem, i jakoś jej już teraz nie widać; wystarać jej się muszę dla Waszej Miłości, który wszystko lubisz mieć w swojej księżnicy, co jedno z pod naszych pras wyjdzie. Słysząc, że Socyn rad wyniesie się z Krakowa.

Lepiej udało się naszemu księdzu Sokołowskiemu. Wiadomo Waszej Miłości, iż przestał już miewać kazania przed królem, tylko spowiednikiem jest królewskim i pisze, ile może; zdrowie niesposobne, ciągły ból głowy nie pozwalają mu większej pracy. Temi dniami złożył jednak Miłościwemu Panu świeże pismo swoje przeciw kacerzom; król mu powiedział: »Ojczye kaznodziejo, oba walczymy, ty przeciw nieprzyjaciołom wiary, ja przeciw nieprzyjaciołom Rzeczypospolitej«. — Prawda, Miłościwy Panie — odpowiedział — a gdybym tak umiał władać piórem jak WKM. orężem, i jabym zwyciężał. — Jedno, co nas tu martwi u dworu, to coraz większa wiara, jaką król daje owemu przybylcowi bezbożnemu różnowiercy Symoniusowi; gadatliwy, zarozumiały, a wcale niedoświadczony lekarz, i nawet jakiś niepewny człowiek się zdaje, Bukcela, który go królowi polecił, już tego żałować zaczyna, Miłościwy Pan nasz ma tę słabość, wielu zacnym monarchom spólną, że lekarzami otaczać się lubi i radzi się wszystkich, skoro o jakim sławnym posłyszysz. Zdrowej i czerstwej jest Bogu dzięki natury, dawnej choroby wcale nie cierpi; mimo zawsze ciekawej rany w nodze prawej, cały dzień gotów nie zsiąść z konia i nie widzi się zmęczony; żadnego też zbytku w niczem a niczem sobie nie pozwala, wody wprawdzie nieprzyjaciół, ale wina niewiele pije; prawdziwy wzór wstrzemięźliwości; szkodzi mu jedynie gniew a zgryzota, niestety! do obojga nie brakuje mu powodów. Między nami mówiąc obawia się on też niepomału trucizny, tylu mając przeciw sobie zaciętych nieprzyjaciół; bardzo często jakieś leki bierze chroniące od jej skutków, które daj wielki Boże, aby mu z czasem zdrowia nie zepsuły. Powiadał mi o tem nasz *vere nobilis* rotmistrz Sobocki, który ciągle w wysokich

łaskach jest u Miłościwego Pana i muszę wyznać godzien tego. Z nim on lubi rozmawiać poufale o obcych krajach i przypominać sobie swoje dawne podróże. Co u stołu, to rad zawsze widzę pana Smolika, choć nierównie młodszego od siebie, bo i o wojnie z nim mówić może i nieraz się rozśmieję z jego trafnych odpowiedzi i dwuznacznych wyrażań. Właśnie wczora zmówiło się o przebiegłości różnych narodów, pan Smolik rzekł: — Polaka Niemiec, Niemca Włoch, Włocha Hiszpan, Hiszpana żyd, żyda sam djabeł oszuka. — Wszyscy jednogłośnie przyznali, iż jak najrzetelniej owe stopnie oznaczył.

»Ale jużem się bardzo szeroko rozpisal; tuszę sobie, że Wasza Miłość nie zarzucisz mi lenistwa, zebrałem com jedno rozumiał godnem być waszego zajęcia, posyłam wam nadto trochę obrazków, jakie zgromadzić się dało, ciekawy jeden wizerunek w Paryżu zrobiony, satyra na króla Henryka, wystawiająca Polaka, co na krakowskim rynku herby jego tłucze i wizerunków rytowanych na miedzi kilka, Miłościwego Pana w koronacyjnym stroju, i kanclerza naszego w hetmańskim ubiorze; przydadzą się do waszego jak zowiecie *Silva rerum*. Przyłączam nadto dzieło pogrobne Stanisława Orzechowskiego: »Nauki dla panujących«, które Jakób Górski tylko co wydał i przypisał naszemu Panu, choć on dalibóg, nauk niczyich nie potrzebuje. Dziwna rzecz z tym Orzechowskim, tyle wrzawy narobił za życia, a nawet niewiedzieliśmy, kiedy i jak umarł. Wszystko się zmienia na tym świecie. Rokuję przeciw sobie i wszystkim Kochanowskim, iż sława Waszej Miłości nigdy się nie zmieni i niemasz prawie dnia, żeby mi nie wypadło chełpić się na głos, że jestem waszym synowcem. — Żal mam też wielki do pana Franciszka; wszystkich nas w pole wyprowadził, ja sam usta-

piłem mu miejsca jako synowi najstarszego ze stryjów, aż tu on dał sobie włożyć grochowy wieniec przez przybyłego wojaka. Tak to bywa często, postronni mają lepsze szczęście od swoich. — Z Franulem kłócić się nie będę, bo ani warto, ale co Ewulce i panu rotmistrzowi nie daruję, na kołacze weselne zjadę i do białego dnia z panną młodą tańczyć będę.

»Nim to nastąpi racz Wasza Miłość przyjąć pokorne służby moje.

»Wasz przywiązany synowiec i pradziwy sługa

Krzysztof Kochanowski,

Dworzanin królewski.

PS. »A — muszeć przecie przysłużyć się jakim kwiateczkiem pobożnej bratance, może się w nim wróżba ukryła.— Piszą z Rzymu jako OO. Jezuici szczycą się bardzo zakonnicą Hiszpanką nie zbyt dawno umarłą, która żywotem swym, śmiercią i pismami wielką cześć kościołowi przynosiła i zapewne w poczet świętych policzoną będzie. Jest to Teresa z Awila, jak ją zowią cudowna; była z zacnego i bogatego rodu Sanchezów, bardzo urodziwa, dowcipu ostrego, rozsądku dojrzałego. W pierwszej młodości lubiła świat, zabawy, towarzystwa, ale w 21. roku życia wszystko rzuciła, habit przyjęła i mocno trwając codzień do samej śmierci postępek w pobożności brała. Założyła dwa klasztory bardzo ostre panien Karmelitanek bosych i OO. Karmelitów; enót jej i darów Boskich, jakie w sobie miała, wyliczyćby trudno, równie jako i zrachować dusze, które przykładem, modlitwą, wymową, księganiami pełnymi mądrości, Chrystusowi pozyskała. Umieranie jej tak było ciche, jak gdyby rozmyślanie odprawiała i różne cuda działały się nad jej ciałem. Życie jej opisuje szeroko jej spowiednik i ona sama je opisała w dziele

które, zostawiła; tłumaczyć je ma z hiszpańskiego na łacińskie ksiądz Franciszek Ridera; wtedy nasza pobożna Ludwina będzie miała na co się zapatrywać. Teresa od siódmego roku już się zaprawiała w pobożności czytaniem ksiąg nabożnych; żywoty męczenników tak ją rozgrzewały, iż dzieckiem będąc pragnęła męczenniczką zostać i wyszła z bratem z domu rodziców, chcąc się udać do Maurów między pogaństwo, żeby tam krew swoją dla Chrystusa rozlać. — Niechże Wasza Miłość pilnuje naszej świętej, żeby do Turków się nie wybrała».

Pisano w Grodnie dnia 6 maja 1584 r.
w święto męczeństwa Jana Chrzciciela.

ROZDZIAŁ XVI.

Gdzieś to piękne boginie tak łaskawe były,
Żebych ja ile chęci tyle miał i siły
Służyć ojczyźnie miłej, a jej sprawom sławnym
Nie dopuszczają zamierzeć w ciemnym wieku dawnym.

Był to jedenasty maja, po kilku dniach zimna i słoty odmienił się wiatr i nastąpiła znowu ciepła, wonna pogoda. Korzystając z niej, Kochanowska kazała przeprać sztuki płótna, płócienka drylichu, barchanu, obrusy, ręczniki i inną bieliznę przeznaczoną Ewie, żeby miększa i łatwiejsza była do krajania i do szycia, a chcąc te wszystkie rzeczy mieć pod okiem, przesuszyć w miarę, w samą porę wymaglować i wyprasować, dała je rozwiesić i rozpotrzeć koło domu, na łące, na podwórzu; dostało się i chróścianemu płotowi i gałęziom starych jaworów i krokwiom, a nawet wrotom i słupowi z kółkami. — Kochanowski, który kilkoletnim pobytem za granicą nabył cokolwiek

owego zmysłu porządku — nie koniecznie hojnie udzielonego Polakom — owego zmysłu, co to rad widzi zawsze każdą na właściwym miejscu i wstręt czuje do tych domowych zamieszkań, które w czasie pokoju rabunek wojenny przypominają, Kochanowski, mówię, wróciwszy z pola — gdzie się przypatrywał z radością pięknie rosnącej pszenicy — zganił żonie takowe rozpostarcie się z chustami wszelkiego rodzaju, na samym widoku, jakby już w całym Czarnolesie innego miejsca prócz podwórza nie było; ale ona zamknęła mu usta — i sprawiła, że czapkę nasunawszy na uszy poszedł spiesznie do swego pokoju — temi trochę uszczypliwemi słówkami, które najlepsza, najłagodniejsza kobieta ma na doręczu, przy każdej wielkiej domowej pracy; zwłaszcza, kiedy jej się wydaje, że mąż wchodzi w jej prawa i nie ocenia należyte ważności i potrzeby jej zachodów: — Jednęć tylko w życiu wyprawę córce się sporządza — rzekła sucho, — można przecie raz nieżałować podwórza i płotu. Nie bójcie się, maluczko już Ewulka naprzykrzać wam się będzie i ona i jej przybory zejda wam z oczu nie długo, a na zawsze.

Tymczasem okazało się, że Kochanowski — jak się to często panom mężom nietylko w szesnastym, ale i w dziewiętnastym wieku zdarzyło i zdarza — miał zupełną słusność w swoich naganach.

We dwie godziny po południu, kiedy w najlepsze całe podwórze zawieszono i zasute było, i nawet ścieszki nie zostawiono, żeby dojść z wrot do dworu, dał się nagle słyszeć tentent prędko stąpających koni; dworzannin suto przybrany z pacholkiem za sobą, stanął za płotem, a zobaczywszy przeszkodę do dotarcia przed ganek, wezwał Nastki właśnie koło bielizny zajętej, ażeby zrobiła mu miejsce co rychlej, — gdyż inaczej roztra-

tuje chyba te gałgany; pilno bowiem rozmówić się musi z panem wojskim, jeżeli jest w domu, i nawet zsiąść z konia mu nie wolno. — Nastka dogodziła co żywo tak śmiało wyrażonej woli i pobiegła wezwać swego pana. — Kochanowski wyszedł na ganek pozdrawiając przybylcę; ten zaś uchyliwszy czapki tak mu powiedział: — Miłościwy pan mój, wielki kanclerz i hetman koronny, w przejeździe swoim z Knyszyna do Krakowa, zatrzymał się o pół mili ztąd w gospodzie, gdzie popasa z licznym orszakiem swoim; mnie zaś tu przysłał dowiedzieć się, czy Wasza Miłość jesteś u siebie, gdyż zjadłszy obiad, chce zboczyć z walnego gościńca, a wraz z waszym bratem panem Andrzejem pozdrowić was w waszym domu, i zabawić jaką godzinę; dłużej nie może, jadąc z wielkim pospiechem na sądy swoje starościńskie.

Kochanowski przejęty i uradowany tak wielkim zaszczytem, prosił dworzanina — żeby oświadczył pokorne i życzliwe jego służby kanclerzowi i powiedział, iż czekać będzie z utęsknieniem spełnienia jego łaskawej obietnicy. — Młodzieniec usłyszawszy te słowa, spiął konia ostrogą i chciał pędem odjeżdżać, kiedy Kochanowska, nie wiedząc kto i po co przyjechał, ale widząc ze swego okna obcych, wysłała co tchu Ewę z kuflem i z dzbanem miodu. Nie podobna było odmówić grzecznej dziewczeczce, spełnił dworzanin kufel duszkiem, pacholek także słodkim napojem nie wzgardził, i ruszyli oba wołając: — Bóg zapłać! najdalej za godzinę będziemy z powrotem i nieco liczniejsi.

Pojać można łatwo, z jaką szybkością gruchnęła ta ważna wiadomość po całym domu. — Wielki kanclerz i hetman koronny, starosta krakowski, druga osoba

w Rzeczypospolitej po królu, za godzinę tu zjedzie. — Było czemu się dziwować zaprawdę, ile że od czasu, jak Jan Zamojski piastował te wielkie godności, i tyle spraw odmiennych miał na głowie swojej, nie widziano go w Czarnolesie. Same tedy słyhać było zewsząd wykrzykniki, jeden tylko Kochanowski nie zdziwił się tak bardzo, ani też bynajmniej nie stracił zimnej krwi swojej; znał on Zamojskiego od jego pierwszej młodości, a jako starszy kilkunastą laty, nie raz u stołu Zygmunta Augusta wyżej siedział od niego, nie raz w trudnych przygodach dobrą radą go zasilił; wreszcie nawykły do poufałości nietylko z panami, z wysokimi urzędnikami, ale z monarchami, równy im ogładą i nauką, nie mógł przeląc się podobnych odwiedzin, owszem rad temu jawnemu dowodowi szacunku i niezmiennej przyjaźni znakomitego męża, rad, że brata uściska, odzyskał zupełnie przyrodzoną wesołość, i żartować sobie zaczął z żony, która jakby odszedłszy od przytomności, nie wiedziała: czy się ubierać, czy podwórze uprzętać, czy dom zamiać, czy podwieczorek przyrządzać? a z rumieńcem w plamy na twarzy, z oczyma zastraszonemi, z duchenką na bakier, i z mentlikiem roztwartym, biegała tam i sam, chwytając się to za głowę, to za suknię, i zaczynała wszystko nie kończąc. Pani żono — powiedział jej z uśmiechem — a co, choćem zły, niegodziwy bez serca ojciec, mąż bez żadnego względu i wyrozumienia, czy nie dobry miewam nos? — O! już na drugi raz słyhać was będę ślepo we wszystkim — odpowiedziała pokornie ściskając go za kolana — choćbyście i do moich garnków zaglądać chcieli. I na tę chwilę raczcie jeno rozkazać, wszystko co do litery wypełnię.

— Oto najprzód — odrzekł łagodnie i bez złości-

wego uśmiechu — wypij, moja dobra Hanno, kufel zimnej wody na uspokojenie, potem, ubierz się co prędzej ochędoźnie, a nie strojno; dziewczęta niech także się ogarną, wszakże w taki sposób, żeby dociec nie można, czy to z umysłu, czy z niechcenia; Orszuli mojej włóżcie letniczek nowy i paski złote; już ja pisałem nie raz o tej mojej Safo do kanclerza, i chcę mu ją pokazać. Nastka z czeladzią niech zbierze wszystko z podwórza co do nitki, Ludwina niech pootwiera okiennice i okna w bawialnej sali, niech kurz pościera, roztruhan z krukiem z puzdra dobędzie i na oku postawi; nagotować tam w kąciku, na stole, najlepszego naszego wina, węgryna ojcowskiego i parę farforek konfektów kijowskich; w izbie ciasta i pospolitego wina dla dworzan, jako też chleba, miodu i piwa dla służby. Niech stróże psy pozamykają, a wody w koryto naciągną, żeby się i konie napiły. Z resztą na mnie się zdajcie; będę was ostrzegał kiedy co robić wypadnie, skoro wąsa pokręcę, będzie to znak jako sam z kanclerzem chcę zostać; a niech żadnej wzmianki nie zajdzie o stracie jaką poniósł, o spełnieniu i odżałowaniu nieszczęściu wspominać panom nie masz potrzeby, najlepiej udać niewiadomość. Przykazać także ostro dziewczętom i czeladzi, żeby żadnego głośnego gadania, trzaskania drzwiami nie było.

W każdym zamieszaniu kiedy rozsądny naczelnik ster i rządu weźmie, wszystko z nieładu do porządku wraca, a każdy wiedząc co ma robić, robi wczas i dobrze. Toż samo stało się tego popołudnia w Czarnolesie; jeszcze nie ubiegła naznaczona godzina, a już pani wojska zupełnie uspokojona stała ubrana w ganku wraz z córkami, i wszystko w domu było porządnie, cicho, jak Bóg i mąż przykazał.

Nadjechał też niebawem wyglądaný gość; towarzy-
szył mu Andrzej Kochanowski, ten sam dworzanin co
był dopiero, jeszcze takich dwóch, i sześciu pacholików,
tego zbrojnych. Rotmistrz Wybranowski z kilkudziesiąt
jazdy (część tylko orszaku wielkiego kanclerza i hetmana)
zatrzymał się podewsią, gotów na pierwsze zawołanie. —
Jan Zamojski ubrany wspaniale, w ferezy z szkarłatu
długiej po kostki, złotogłowem podszytej, sobolem obło-
żonej, w krótszym żupanie z niebieskiego adamaszku
cudną dyamentową spinką spiętym pod samą szyją, w bu-
tach podkutych, z bogatą szablą przy boku, z kindżałem
drogimi kamieniami sadzonym za kosztownym pasem,
w białej czapce z kitą i rubinowem spięciem, mąż czter-
dziestoletni, miernego wzrostu, nie wielkiej urody, ale
pełen dzielności i powagi, zsiadł rączo z karego arab-
skiego konia w sutym złotym rzędzie, i pozdrowił uprzej-
mie kłaniające mu się do kolan gospodarstwo z dziatwą.
Sądziłem, że Wasza Mość rad będziesz — powiedział
z uśmiechem do Kochanowskiego — widzieć brata swego
Andrzeja, a odjeżdżać mnie ani na chwilę nie chciał.
Zawsze się starać będę — odpowiedział dwornie nasz
Jan — mieć kanclerza, hetmana a przynajmniej starostę
krakowskiego przy braciach moich; jakoś człek nie źle
na tem wychodzi. Dziękuję wam, panie Andrzeju — do-
dał ściskając brata — że mimo tak znakomitych prac
i tyle pospiesznej drogi, nie zapomnieliście o mnie. Przez
tę pamięć waszą spotkała mnie wielka a niezasłużona
cześć i pociecha. — Ale oto żona moja i córki — prze-
mówił już wprost do kanclerza — pokorne służby Waszej
Miłości oddają.

Dygały wszystkie nizko jakby świece maczał w czasie
tych słów, a Zamojski rzekł grzecznie: — Dziwna rzecz

jak na tutejszej roli dziewczeczki pięknie się udają i rosna szybko; kiedym u was był raz ostatni i połowy tych kwiateczków nie było. — Brat Jan — odezwał się tu Andrzej — chce koniecznie jako poeta do liczby dziwięciu Muz dostąpić. — Dałbyś temu Wasza Miłość pokój — przemówił kanclerz — postarać się lepiej o Apolina. — Możeć go i dadzą nieba odparł Kochanowski skazując nieznacznie na żonę. — Winszuję z serca, pani wojska, wpraszam się w kumy i chcę mieć Jana — zawołał kanclerz, ale gdy to mówił, lekka chmura zasępiła wysokie jego czoło. Czy do komnaty Wasza Mość nie raczy? — spytała zarumieniona Kochanowska — spocząć należy po drodze i usiąść łaskawie w chacie naszej, żeby nam dziatki spały.

Poszedł chętnie i żywo, siadł na wysłanej ławie pod środkową ścianą, położył czapkę koło siebie, najeżoną czuprynę podniósł jeszcze palcami w górę, oparł się potem ręką na stole, gospodyni i obydwom braciom usiąść kazał a dworzanom i służbie dał znak, żeby za drzwiami zostali. Kochanowska posiedziawszy trochę, dostrzegła męża pokręcającego wąsa, nieznacznie wyszła, kanclerz rozmawiając dotąd uprzejmie, ale dosyć leniwo, poufalej i obficiej mówić zaczął.

— Cóż, panie wojski? — rzekł — kiedy wam dziatki z łaski Boskiej szczęśliwie na świat przychodzą i w do-brem zdrowiu się chowają, nie daliżbyście się teraz namó-wić na kasztelania? snadno by przyszła, wakujące krzesło jest, a król, pan nasz rad je rozdaje takim co nie pro-szą o nie; co do mnie, zawszem Waszej Miłości życz-liwy przyjaciel i służyć gotów.

— Uniżenie dziękuję wam, miłościwy panie — odparł Kochanowski — trzymam się zawsze jednego, a moją mier-

ność nadewszystko cenię. Takim mężom jak Wasza Miłość, do wielkich dzieł zrodzonym, radzić przystoi o rzeczy publicznej; mnie śpiewać za płotem i cieszyć się myślą wolną i zdrowiem.

— Jakież teraz pieśni Wasza Miłość składasz? oddawnam nic nowego nie czytał, a nie godziłoby się zalegać pola; należy utrzymywać do końca, co przez lat tyle szło z taką chlubą. Panie Janie, nie zasypiajcież na wawrzynach, bierzcie przykład z młodszego brata; pan Andrzej szybko i pięknie Wirgilego przekłada.

Kiedy Andrzej za tę pochwałę — może nie zupełnie zasłużoną — ścisnął nogi kanclerza, Jan tak się odezwał:

— Wasza Miłość śmiać się ze mnie będziesz; praca do której dziś się zabieram pójdzie może molom na pokarm, albo na srąbki do apteczki, ale objęły mnie na starość jakieś przypomnienia Homerowskie, jakieś chęci bojowe:

Tuszę, że kiedyś w trąbę Aońską uderzę,
I dawne w zgiełk marsowy powołam rycerze.

Już o niczem śpiewać nie chcę, jedno o swoich oczystych rzeczach; to jest moje dzisiejsze *omen*, to mi się zda moje właściwe rzemiosło, część moja od Boga mi dana jak Waszej Miłości i królowi Rzeczpospolitą dźwigać, bronić, uzdrawiać. Orzechowski łacińską prozą pisał swoje Turcyki, nasz Strykowski wyrymował niedawno ciężkie na pohańców żale, jabym rad dobrym polskim wierszem polską chrześcijańską epopeję utworzył; ośpiwam żywot i zgon Warneńczyka, owego syna

co ojca nie wydał,
Lecz ku sławie dziedzicznej i swą własną przydał;
Któremu grób Europa, słup śnieżne Bałchany,
Napis; wieczna pamiątka między Chrześcijany.

a oraz chcę wydać na jaw niebezpieczeństwo jakim krzyżowi hardy półksiężyc grozi, chcę obudzić pobożnego i wojennego ducha...

— Wybornie Wasza Miłość trafiasz, szczęście Panie Boże — przerwał uradowany kanclerz — dziwnie by się narodowi naszemu a jeszcze w tych czasach przydała taka epopeja, a to z ust ojca poetów naszych. Zróbcie z Warneńczyka polskiego Achilla, wynajdźcie i Helenę jaką, wszystko to będzie dobrze przyjęte, a w waszych wierszach upominajcie lud młody do dobrego, sławcie więcej piechotę nad jazdę, karność żołnierza przekładajcie nad samo męztwo; będą to zbawienne nauki dla braci szlachty i dla panów. Potrzebna nam wojna, konieczna nawet, może równie tyle dla ukrócenia swoich jak dla pognębienia postronnych: a przyjsć musi kolej i na bisurmana, skoro ligi panów chrześcijańskich pewni będziemy. Boć to naszej Polski odwiecznym przeznaczeniem być jako mur wielki przeciw pogaństwu i barbarzyństwu, i jeszcze stary Długosz napisał: »Straszne Turkom imię Polaków«. Naszemu też narodowi pokój nie idzie w zdrowie; leniwsy gnuśnieją i oddają się rozpuście, żwawsy do swawoli się biorą i niezgodę niecą. Musicie wiedzieć, panie wojski do jakiego już stopnia dochodzi zuchwałstwo panów Zborowskich i ich stronników Kazimirskich, Pękosławskich i tylu innych. Wszak ci to kiedym z mego Knyszyna wyjeżdżał, Drohojewski starosta przemyski, Konięcpolski starosta wieluński i inni jeszcze z ludźmi swemi zajechali mi drogę, i ofiarowali towarzyszyć zbrojno, gdyż ów wartogłów Samuel za nie sobie ma moją starościńską władzę, i wszędy się przechwala: jako inną stroną, ale o jednej porze ze mną postanowił wjechać do Krakowa. Dziś zaś, doszła mnie wieść jako chce koniecznie

bitwy ze mną, i ma koło siebie gawieź dobrze uzbrojoną a liczną. Prawda, co od mego wyjazdu z Knyszyna zawsze tak swoje popasy i noclegi urządza, iż je odbywa najdalej o pół mili od miejsca kędy ja się zatrzymuję z moim orszakiem, i różnemi sposobami wiedzieć mi daje, iż wziął łuk do ręki swojej i strzałę przeciw mnie, już ma na cięciwie. Ja bitwy z nim nie stoczę, lubo mi suszy o to głowę mój Żółkiewski, ów prawy syn bogini Wenus i Marsa; broń mnie Boże postąpić sobie z tym nędznikiem jak z równym, ale jeżeli w jurysdykcją moją wjechać się poważy, uczynię z nim jako prawo każe; jużem go w tem wyraźnie, czarno na białem ostrzegł; spadnie głowa z karku panu Zborowskiemu, jakby spadła prostego kmiecia lub wiejskiego synka, gdyby również zawinili; powinności i sam prawie gwałt wcisną tę ostateczność na mnie, lecz ja z sumieniem i z przysięgą moją igrać nie umiem. Nie darmo dochody Rzeczypospolitej pobieram, malowanym starostą być nie myślę, sądów grodzkich zarówno jak spraw kanclerskich i hetmańskich pilnować chcę. Wiem, że od sześciu przeszło lat trwa zuchwalstwo pana Zborowskiego, żaden starosta nie odważył się wykonać dawnych ale zawsze obowiązujących królewskich rozkazów, wiem, że panowie starostowie wyrządzenie sprawiedliwości w czas nakazany, nazywają nadto wielką fatygą swej pańskiej osoby, — ja trzymam inaczej; w mojem przekonaniu ostatni nawet dech obywatela ojczyźnie się należy, a jakkolwiek ważne a przeciwne sobie urzęda piastuję, nikt przecież zarzucić mi nie może, abym uchybił któremu, miłość dobra pospolitego umie mnożyć czas i siły. Same prześladowania, potwarze, obelgi nie zbijają mnie z mego toru; byłem dobro publiczne powiększył, będę zawsze wołał: »Narodzie prze-

śladuj mnie, a słuchaj«, będę zawsze pocieszał się w sobie tem zdaniem: »piękniejsza nienawiść o cnotę, niż o przewrotność pochwała«. — Dopóki też panowie Zborowscy mnie samemu szkodzili, dopótym był obojętny i patrzyłem przez szpary; ale powadze, jaką mi król i Rzeczpospolita nadali, władzy prawa uwlec nie pozwolę. Dam straszliwy przykład, skoro zajdzie jego potrzeba, ulękną się nim przecie, ci, co wichrzyć pragną, co niweczą najlepsze zamiary. Bo zaiste, w tem wszystkim, co panowie Zborowscy knują jest osobistość, jest zawiść: oni wraz ze mną książęcia siedmiogrodzkiego na tron polski wynieśli, lecz oni to zrobili dlatego, żeby ich wyniósł i ubogacił, ja dla tego iżem w nim uznał prawego monarchę. Żli tedy na króla, że im się nie wypłaca, mnie przeszkodą swoją być mienią; szlachcicowi spanoszałemu zazdroszczą szybkiego wyniesienia, bogactw, urzędów, a nadewszystko poufałości królewskiej i bliskiego z nim powinowactwa. Chcieliby Węgry zrzucić z tronu i mnie zgubić, myśląc, iż z Austryakiem albo z Moskałem lepiejby im się udało. Ale wierzajcie mi, w ich postępowaniu jest jeszcze coś więcej nad spór szlachty możnej z miernym niedawno szlachcicem, jest walka wyuzdanej swawoli z władzą i z prawem. I tak, już u nas moc wykonawcza jest słaba, moc prawodawcza mało czynna, oniby jeszcze osłabić je radzi, a to żeby sami mogli dokazywać i używać, dopóki nie grobu ojczyźnie i sobie. Słusznie mądry król mówi: »Temu narodowi potrzeba żelaznego ramienia«. Lecz o takowe między nami najtrudniej; znajdziesz wielu tyranów, pojedynczego dzielnego męża nie nadybiesz; razem będą bezprawia wyrządzali, jeden, nie ośmieli się sprawiedliwości wymierzyć. Dałby nam jednak Bóg miłosierny więcej ta-

kich królów jak dzisiejszy, a możnaby jeszcze śmiało rokować wielką przyszłość naszej drogiej ojczyźnie...

Iskrzyły się ciemne oczy Zamojskiego, kiedy tak mówił, twarz płonąca żywym rumieńcem, ręka jedna uchwyciła za szablę, druga zdawała się, że rozkazuje. Zatrzymał się nagle i rzekł: — Folgujcie mi, panowie bracia, iżem się tak zapomniał; dowód to mego szacunku dla was, mało ja przed kim duszę otwieram. Kiedy domawiał tych słów, drzwi uchyliły się zwolna, i stanął w progu inny znowu dworzanin, kurzawą okryty. — Listy z weneckiej poczty? — zapytał kanclerz.

— Tak jest, miłościwy panie — odpowiedział młodzieniec — ledwie Wasza Miłość wyjechałeś z gospody, nadeszły listy z Krakowa i pan Żółkiewski mnie tu wyprawił.

Kanclerz wziął spiesznie paczkę z rąk dworzanina, stanął w oknie, rozdarł pieczęci i czytał ciekawie. Dwaj bracia przez ten czas oddaliwszy się w sam głąb komnaty, nie śmiejąc usiąść, kiedy znakomity gość stał, rozmawiali po bratersku, pół głosem, oparłszy się o ogromny piec kaflowy. Zwykli oni byli pisywać często do siebie i donosić wzajemnie o wszystkim; lecz któż nie wie, że kwadrans rozmowy lepszy od półrocznej korespondencji.

— List od księdza dziekana z Rzymu, z ósmnastego kwietnia najświeższy i najciekawszy, będzie potrzebował odczytania — przebąknął kanclerz przejrzawszy papiery, a dwaj bracia się zbliżyli. Wiadomo wam zapewne, panie Janie iż pan Andrzej Batory nie był kreowany kardynałem — ciągnął dalej przechadzając się po komnacie — kiedy to niedawno Ojciec święty kilku razem mianował, jam tego za złe nie uważał, i na mojem się stało; będzie niezawodnie mianowany osobno, co z większem

będzie dla niego i dla Jego królewskiej Mości zaszczytem. Wielu się dziwi temu wyprawieniu pana Andrzeja do Rzymu i kierowaniu go do stanu duchownego — rzekł po chwili — nie wiedzą, że Batorowie mają do zmycia wszelkie podejrzenie o kacerstwo; nie wiedzą, że nam teraz więcej niż kiedy Rzym mieć po sobie, i z Rzymem trzymać należy. Rzeczpospolita polska winna być silna a katolicka; upokorzywszy wyznawców Proroka powinna stanąć dzielnie jak przegroda niezłomna i niezdobytą między szerzącem się niemieckim kacerstwem i zawsze potężnym greckim kościołem... Taka jest tajemna polityka dzisiejszego króla, zupełnie inna, niż była nieboszczyka. Wielom się wydaje, iż szkoda pana Andrzeja! jakby to kapelusz zdjąć się nie dał ważniejszej ozdoby, jak gdyby nie raz zaszczyt nie spotkał rychlej tego, co niby o niego nie dba... Wreszcie, pan Andrzej nie jest jedynym krewnym królewskim... mogliby się trafić i inni następcy...

Tu kanclerz zadumał się smutnie; Kochanowski miarkując, iż już mówić poufale nie będzie, a chcąc przykryć jego myśli rozerwać, zapytał się, czyby nie pozwolił sobie czem służyć? — Możebyśmy spełnili kielich węgryzna — powiedział — za zdrowie ojczyzny, alboliteż za królewskie i Waszej Miłości, bo to troje na jedno wyjdzie? — I to mówiąc wziął kielich i butelkę pleśnią okrytą w kącie komnaty przygotowaną.

— Nie wzgardzę winem — zawołał kanclerz jakby otrząsając z głowy ważne i natrętne myśli — ile że wiem zdawna, iż się na tych rzeczach znacie. Czas nam też kęs pobłażnować. Spełnij Wasza Miłość kielich w moje ręce, jak mówiłeś, a ja do zdrowia króla i Rzeczypospolitej dodam wasze, którem znowu pan Andrzej nie wzgardzi.

I tak się stało. Zasiedli pod ścianą, jak pierwiej, a kielich z wytrawnym węgrzynem krążyć między nimi zaczął; wypróżniły się wnet trzy i cztery butelki, znikały konfekta z farfurek, choć kanclerz się skarżył, że mu słodycze zęby przed czasem zepsują, że nadto ich jada; sypały się z ust dwóch braci różne krotofilne słówka, gdyż wiedzieli, że Jan Zamojski lubił żarty i zwał je zaprawą albo osłodzeniem życia ludzkiego, a szczególnie kiedy jadł i pił, zawsze rad bywał wesołej myśli, odkładając na ten czas na bok wszelkie swoje trudy i kłopoty, z ową mocą i przytomnością umysłu, jaką posiadał w wysokim stopniu.

W liczbie różnych wiwatów, wnoszonych dla gładszego spełniania kielichów, musiała przyjść kolej i na płec białą; ledwie Kochanowski wypił zdrowie pani kanclerzyny, kiedy kanclerz zażądał wypić zdrowie pani wojskiej w jej obliczu. Poszedł tedy pan Andrzej wezwać bratową, a tymczasem nasz Jan oświadczył zacnemu gościowi, rychłe a pomyślne postanowienie najstarszej córki. Ucieszył się bardzo tą wiadomością Zamojski, gdyż szacując wysoko Podlowdoskiego, uważał był także i młodego Filipa, prosił więc, żeby Ewa z osobna przedstawioną mu była, Kochanowska zaś wiedząc, czem się mężowi podoba i rozmowę podsyci przyszła z Orszulką na rękę. — Namawiała ona już blisko od pół godziny dziewczynkę, żeby jakim wierszykiem powitała kanclerza; dziewczynka jakoś nie zdawała się być przy poetyckiej ochocie i powtarzała marszcząc czoło: — Nie znam tego pana, boję się go. — Napróżno matka rozповідаła jej różne rzeczy o nim: — jaki on możny i bogaty jak nikt w całej Litwie i Koronie, jakie ma śliczne pałace i zamki, suknie złote klejnoty, żonę księżniczkę; a taki dobry, tak dzieci kocha, sam

zaś niema ani jednego, a pragnąłby bardzo osobliwie syna. — Dziewczyna jakby tego wszystkiego nie słuchała, obiecała jednak matce być grzeczną, dać buzi wielkiemu panu, chociaż wcale nie taki ładny jak pan podkoniuszy. — Zaniosła ją tedy Kochanowska, a ledwie kanclerz ją ujrzał, zaczął wymawiać obojgu rodzicom, że mu ją tak późno pokazują, a ujęty jej pięknnością, wziął ją na kolana i pieścił się z nią czule. — Ona mu długo w oczy patrzyła, potem, nic nie mówiąc, oglądała jego suknie, dotykała się drobną rączką drogich pierścieni i klejnotów, jakie miał na sobie, a gdy jej się spytał: — Czy to piękne? czy jej się spodoba? — ona już swoim obyczajem tak mu odpowiedziała:

Pięknie, cudnie i bogato,
Jak u nikogo na świecie;
Ale gdybyć Bóg dał dziecię,
Dałbyś pewno wszystko za to.

Kanclerz zdumiał i aż zbladł cokolwiek: — Któż cię to takich wierszyków nauczył? — zapytał z przymuszonym uśmiechem. — Nauczył? — powtórzyła z zadziwieniem dziecina — nikt, ja sama tak z siebie zawsze sobie gadam. — Tak, nie inaczej, sama z siebie — mówili za nią przestraszeni rodzice — jak nam Bóg miły! — a Kochanowskiej serce mocno bić zaczęło, gdyż zmiarkowała, że powieścią swoją narobiła tej biedy. — Kiedy tak — rzekł jeszcze kanclerz zdobywając się na powtórny uśmiech i chcąc żartem zagoić bolesne choć niewinne dotknięcie niezagojonej jeszcze rany — to ja nie będę szukał innych dzieci, jeno sobie będę miał Orszulkę; daruję twemu ojcu te wszystkie śliczności, a ciebie wezmę z sobą do Krakowa. Już moja Orszulka, już moja! — wołał — i owijał ją w połę aksamitnej ferezji i tylko

jej słiczną twarzą było widać otoczoną sobolem. — Ale ona wyrывая mu się i trząsając główką tak jeszcze przemówiła:

Nie — ja dziewczyna
Tobie — trzeba syna.
Mnie weźmie ktoś inny
Aniołek niewinny.
I poproszę Boskiej Matki
Dla ciebie o zdrowe dziatki.

Nie mógł już wytrzymać Zamojski; zbladł jeszcze mocniej, łza zakręciła mu się w oku, wstał, oddał pani wojskiej dziecinę, mówiąc z uczuciem: — Bez żadnej przesady były listy wasze o niej, panie Janie: to prawdziwie cudowne dziecicę; oby jej słowa były prorockie! i oby ją wam Bóg uchować raczył! — A spostrzegłszy teraz dopiero Ewę, która od chwili była w komnacie i stała nieśmiało w oknie, zapytał się: — Czy to ta dorodna dziewczka pana Owadowskiego narzeczona? — Otrzymaawszy odpowiedź rzekł głaszcząc Ewę pod brodę: — Szkoda co godzina już upłynęła, mógłbym ci dziewczeczko wiele miłych rzeczy o twoim Bogdanie naprawić; widziałem go nieraz w ogniu, dzielny rotmistrz z niego. Ale komu w drogę to i czas; jedno ci jeszcze powiem, możesz go serdecznie miłować, godzinę tego. — Tak mówiąc nieco przerywanym głosem zaczął poprawiać pasa, wykręcać ferezją i parę razy przytknął rękę do szyi. — Kochanowski przeląkł się znowu czy skutkiem boleśnego a utajonego wzruszenia spowodowanego słowami Orszulki, nie napadają kanclerza mdłości, do których bardzo był skłonny: potwierdził się jeszcze w tej myśli dostrzegłszy, że z pewną żywością rozpina żupan. Już chciał stółek podstawić: wołać o wodę, o apteczne kordjały, kiedy Zamojski obróciwszy się ku

Ewie podał jej cudną dyamentową spinę, którą z koźnierza był wyjął i powiedział z przymilaniem: — Sam twój ojciec gdzieś napisał:

Miłość w dyjamencie ryje

Swe czule obietnice i pod serce kryje;

weź przeto tę spinę, noś ją na piersiach, dzieweczko, i niech ci przypomina jaką być winna twoja miłość dla przyszłego męża.

Jeszcze i Ewa i wszyscy obecni zdumieni byli uprzemmemi słowy i szacownym darem kanclerza, kiedy on całując w ramię gospodarza kłaniającego mu się do kolan, pozdrawiając wszystkich, wsiadł spiesźnie na konia wraz z panem Andrzejem, i kazał swoim dać znak umówiony. Wnet z dwóch stron nadjechały pędem dwa oddziały straży hetmańskiej ukryte podewsią; zabrzmiały trąby, zachrzęściły pancerze, zabrzękły szable, rozległy się krzyki obozowe, zatętniała ziemia pod jeźdźcami, wzniosła się kurzawa od licznych kopyt; ruszyli wszyscy ku Wiśle, a po chwili wszystko cichnąć zaczęło, aż nareszcie zupełnie ucichło. Nie ucichły atoli równie prędko rozmowy Czarnoleskiej drużyny o tych odwiedzinach i wszelkich ich okolicznościach, a osobliwie pochwały Zamojskiego. Ewa pyszniła się z jego daru, który w rzeczy samej był wysokiej wartości, tak dla wielkości dyjamentu, jako dla foremnego kształtu i żywego ognia; kiedy się weń ustroiła do kościoła, zwróciła wszystkie oczy na siebie, a młode sąsiadki podobno na ten raz zazdrościły jej jeszcze więcej spinki jak Bogdana. Kochanowski znowu pysznił się swoją Orszulą, chociaż w tej okoliczności dziecinna jej muza napędziła mu nieco strachu; myślał sobie żeby nie oddał tej drobnej dzieweczki, ani za buławę hetmańską, ani za wielką pieczęć kanclerską; co Kochanowskiej — to

przy całej radości i dumie utkwiły boleśnie w duszy owe słowa Zamojskiego: — Oby ją wam Bóg uchować raczył. — Obracała je na różne strony w swojej głowie a zawsze ją niepokoiły. Serce matki tak łatwo się zatrwoży.

ROZDZIAŁ XVII.

Bóg pomóż, królu jedyny
Szerokiej polskiej krainy!
Umiesz ty hardym dogodzić
Ani się im dasz rozwodzić

Księga I pieśń 17.

Kochanowski przejęty do żywego łaskawą poufałością i hojnością kanclerza, dowiedziawszy od kilku domowych i kmieci, którzy to na własne oczy w sąsiedzkich wioskach widzieli, na własne słyszeli uszy, jako pan Samuel Zborowski coraz nowych ludzi zgromadza, i coraz głośniej się odgraża, iż napadnie z nienacka na Zamojskiego, i zabije go choćby własną ręką. Kochanowski, mówię — jeszcze owego jedenastego maja, w parę godzin po wyjeździe kanclerza z Czarnolasu, dosiadł swego siwosza, objechał kilku bliższych pokrewnych i sąsiadów, do dalszych rozesłał gońców z zaproszeniem: ażeby każdy kto może, ruszył dobrze uzbrojony tej nocy drogą krakowską, a to w celu powiększenia orszaku kanclerza, i łatwiejszego pobicia i schwywania zuchwalca Zborowszczyka, gdyby do krwawej walki przyszło. Pan wojski Sandomierski w tym objeździe i obesłaniu swoim nie potrzebował wielkich namów, ani też okoliczna szlachta nie wybierała się długo. W owym czasie nic nie było pospolitszego w naszej Polsce jak zatargi możnych między sobą, a wszelkie bojowe wyprawy czy na obcych

czy na swoich, żywołem były rycerskiego stanu, najmilszem jego zatrudnieniem; w każdej zagrodzie był zawsze w stajni koń rzeźwy z uczciwym rzędem, rusznica na ścianie, szabla przy boku, gotowość więc była wszelka do boju gdyż i w chęciach, i w możliwości. Dobrze tedy przed północą z jakie sto koni tak z panami jak z *ludźmi* (według feudalnego sposobu mówienia) pędziło krakowską drogą za kanclerzem, do Łży, miejsca jego noclegu; Kochanowski zaś zalecił synowcowi swemu Adamowi, który jako zastępca stryja został ogłoszony dowódcą całego zebrania, żeby w jego imieniu zameldował się Zamojskiemu, przeprosił, że dla niesposobnego zdrowia i ramienia, nie on sam przewodniczy tej garsce szlachty Sandomierskiej, i żeby uprosił sobie pozwolenie towarzyszenia mu do samego Krakowa.

Nazajutrz i dni następnych drużyna Czarnoleska była prawie w ciągłym ruchu. Wiadoma, czem jest dla mieszkańców wiejskich każda przygoda dziejąca się w sąsiedztwie; nieznajomy człowiek widziany w boru, zgłodniały wilk w kniei, już są ciekawym i zajmującym wypadkiem. Cóż dopiero podobne temu wydarzenie: Rozprawa Zamojskiego ze Zborowskim! Była to zupełnie jak gdyby wielka żyjąca tragedia, która się odgrywała pod ich oczyma. Główna osoba dopiero co tu była u nich i tyle łaskawą się okazała; przeciwnika także znał od dawna osobiście sam Kochanowski, a nie dalej jak wczora, właśnie kiedy kanclerz gościł w Czarnolesie pan Łukasz Gupolski wracający ze Zwolenia spotkał się z panem Zborowskim: siedział piękny młodzian na dzielnym ukraińskim koniu, z sukien jego złoto i srebro kapało, pytał się o pana Jana Kochanowskiego, zdawać się mogło, że także w odwiedziny do niego chce zjechać; ale nasz ba-

kałarż nie głupi, wiedząc żeby pan nie był rad takiemu gościowi powiedział mu: że go nie ma w domu. Prócz tego, każdemu było wiadomo iż w tej rozprawie idzie o śmierć, albo o życie, że obadwa bohaterowie, przynajmniej do czasu, niemal równie są narażeni. Mógł Zamojski bezpiecznie dopokąd w jurysdykcją swoją nie wjechał, paść ofiarą zdrady albo przemocy, ile że wiadzianno o Samuelu, że i sam śmiały i śmiałość drugich suto płaci, mógł łatwiej jeszcze Zborowski gdyby się nie upamiętał i naigrywać śmiał do końca starościńskiej władzy, podać hardą głowę pod miecz katowski. Trzy dni rachowano jazdy do Krakowa, termin więc nawet rozwiązania tragedji nie był daleki, i oprócz jedności miejsca, prawie zupełnie według reguł Arystotelesa. — Nieustanne przeto były gadania, wieści, nowiny: chłopci wracający koło południa z jarmarku mówili jakoby słyszeli nad rankiem mocne strzelanie, wnosili ztąd, że zapewne Zborowski napadł w nocy na kanclerza i przyszło do krwawej walki, nad wieczorem znowu przywędrował dziadek po proszonym chlebie z tamtych stron, i przysięgał się jako o żadnej bójce nie słyszał; mówił tylko — iż ludzie po wsiach i po miastach na gościńcu Krakowskim są jakby w oczekiwaniu wielkiego wydarzenia: pan Zborowski rozsyła wszędzie swoich szpiegów, sypie pieniędzmi po drodze, Bóg wie co nie gada i nie obiecuje, a coraz mniejszy przedział miejsca jest między nim i kanclerzem, tak iż się zdaje, że lada do jednej gospody zajadą, i bez żartu się rozprawią.

Ale im więcej oba przeciwnicy oddalali się od Czarolasu, tem rzadsze oczywiście dochodziły wieści. Nie pomagały nic pytania, wychodzenie na drogę, wyglądania z terasu, cała ciekawość i niespokojność; nie było in-

nego ratunku tylko czekać cierpliwie wiadomości od pana Adama, a tymczasem mieć dosyć na wnioskach mniej lub więcej podobnym do prawdy.

W ciągu tych kilku dni wcale niemiłych — gdyż czekanie i niepewność wrogami są życia — trzeciego coś poobiedzia, kiedy rodzina Czarnoleska siedziała sobie w ogrodzie, niemal tak zajęta jak widzieliśmy ją na początku pierwszego rozdziału — Kochanowska przerwała na chwilę już nie przedzenie ale szycie swoje, a widząc męża przechadzającego się tam i sam w zamysleniu powiedziała:

— Nie dumalibyście tak głęboko, niech Pan Bóg radzi o swojej czeladzi; my w tem nic nie pokuramy. Jabym wam nastreczyła, panie mężu, cobyście mogli zrobić lepszego.

— Cóż takiego? — zapytał ciekawie stając naprzeciw niej.

— Oto wy, co wszystko wiecie — mówiła z nadobnym uśmiechem — opowiedzcie nam rzędem tę całą sprawę pana Zborowskiego; od wyjazdu pana Adama, dziewczęta mi się pytają a pytają, a ja ledwie piąte przez dziesiąte owe przygody pamiętam, i niewiem zgoła jak o tych rzeczach sądzić.

— O prosimy! Ojczy, prosimy! powiedzcie nam jak to było! — wołały dziewczęta ściskając go za kolana.

— A to istna tatarska napaść — mówił broniąc się — czego wam się też zachciało!

— Znacie dobrze, drogi mężu — powiedziała jeszcze Kochanowska — jak my wszystkie rade słuchamy każdej waszej powieści; i miłość przecie i pożyteczna nie siedzieć we własnym kraju jak w rogu, jeno wiedzieć co w około się dzieje. A któż nas czego nauczy jeżeli nie wy?

— No — to już wam i powiem — rzekł po chwili — ale czy sobie sam wszystko przypomnę jak należy, za to nie ręczę. Bo wiecież wy, co już od lat dziesięciu ta sprawa się toczy.

— Od lat dziesięciu? — przerwała Marychna — taka stara jak ja.

— Właśnieś ty się urodziła dziewczeczko — rzekł Kochanowski głaszcząc ją po głowie — jakoś w pierwszych dniach lutego 1574. roku, kiedy ona pierwszy początek wzięła, było to w czasie koronacji króla Henryka.

— I pamiętam dobrze — przypomniała z wdzięcznością Kochanowska — nie pojechaliście wtedy do Krakowa. choć całe Sandomierskie jechało, żeby mnie chorej nie odjeżdżać.

— Otóż w czasie tej koronacyi — mówił dalej — odbywały się wielkie uczty, i w poniedziałek zapustny mieszczanie krakowscy postanowili nowemu królowi majestat w rynku, gdzie on też kilka osób pasował na rycerzy. Ztamtąd był na sutem weselu pana Andrzeja Zborowskiego, bo wiedzieć wam naprzód trzeba, że panowie Zborowscy zdawna byli i są wielce możni! znamienitsza daleko ich rodzina niż Zamojskich, ich przodkowie starego herbu Jastrzębia, już za Bolesława Śmiałego jaśnieli, a o pierwszym Sarjuszu dopiero za Łokietka mowa. Ojciec dzisiejszych Zborowskich, Marcin na Rytwianach jak się pisał, podczaszy starego króla był bardzo bogaty i rozrodził się wielce; z Anny Konarskiej z którą żył lat czterdzieści zostawił ośmiu synów i ośm córek.

— To wesoło było w domu — wsunęła Dorota.

— Z tych dziatek czterech synów żyje dotąd: Jan kasztelan Gnieźnieński, mąż rycerski i zacny na którym żadna wina nie ciąży i którego nasz Pan Miłościwy sza-

cuje wysoko; *Andrzej* marszałek nadworny królewski, com to wspomniał o jego weselu; *Krzysztof* nie wiele wart, duszą i sercem Austryakowi oddany, i ten oto nieszczęśny a najmłodszy *Samuel*, o którym jak tylko go zapamiętam, jeszcze za nieboszczyka króla, zawsze zła była sława; strojno chodzić, hojnie u stołu używać, w samych igrzyskach się kochać — to były jego skłonności, a co gorsza niepohamowaną miał pychę i do swawoli popęd; występnych lubił, a od towarzystwa dobrych uciekał, co najgorszym jest znakiem u młodzieńca. — Inakszy mój Filip — pomyślała tu sobie Ewa — a ojciec coraz bardziej w mowę się wkładając usiadł koło żony, i tak już ciągiem opowiadał:

— Po śmierci rodzica znaczne odziedziczywszy majątności, Samuel w jednej ze wsi swoich, w Krupem, w Lubelskiem, postawił sobie zamek obronny, jeden z najmocniejszych grodów w naszej Koronie; otoczył go murami, basztami, rowami, ciemne porobił bramy tak, że ten gmach raczej do więzienia zbrodni był podobny, niż do mieszkania zacnego pana polskiego. Mówiono wtedy, że Zborowski zrobił to na przekor Janowi Zamojskiemu, którego już wówczas nienawidził, a który ma półtorej mili od Krupego piękny zamek w Krasnymstawie; ale mnie się widzi on to zrobił więcej dla tego, żeby mieć na wszelki przypadek niedobycie schronienie, dopuszczał się też bezkarnie w tym zamku, liczną w nim utrzymując gawieź, szaleństw, rozpust, bezeceństw; nawet prawa gościnności obrażał: żony, Zofii Jordanowej, córki wojewody krakowskiego prawie gwałtem dostawszy, tam ją zamykał, sprzyjając kacerstwu wyrządzał obelgi kapłanom naszym, zgoła, gdyby to nie był pan zamożny, zdawna już by głowy na karku nie nosił; ale bogaty,

wysoko urodzony, piękny, wspaniały, waleczny, miał nawet wielki rum u niektórych ludzi i u wielu niewiast, i za staraniem to jego i braci Zborowskich, król Henryk na tron polski był wyniesiony, z czego pożał się Boże, nie przyszło nic więcej Rzeczypospolitej prócz wstydu i próżnych kosztów. — Ale wracając się do uczt koronacyi, nazajutrz po weselu pana Andrzeja Zborowskiego były jak zwykle w takich razach turnieje, gonitwy na zamku krakowskim. Pan Samuel młodzieniec dwudziestoletni, sławny z dzielnego jeżdżenia na koniu i używania kopii, wystroił się wspaniale jak lubił i zapragnął popisać się z umiejętnością swoją. Postawił według przepisów kopiją swoją w szrankach, wyzywając każdego, któryby chciał doświadczyć co on umie. A miał on oko na Tęczyńskiego kasztelana wojnickiego, z którym od dawna był źle, podobno jeszcze o żonę, gdyż zadzierał ze wszystkimi. Tęczyński który się uważał za obrażonego i pogardzał Samuelem, domyślił się zaczepki; ale nie przyjął dla siebie wyzwania jeno wziąć kazał kopiją słudze swemu; i to jeszcze ów sługa nie był Polak, ale Chorwat. — Gdy się o tem dowiedział ognisty młodzieniec, wpadł w gniew, wyzwiał kasztelana na pojedynkę, a ostatniemu ze sług swoich z Chorwatem czynić kazał. Sługa tak dobrze Chorwata ugodził, iż ten zmarł prawie na placu, i dla tego już więcej nikomu dnia tego nie dano się gonić. Pan Samuel jednak nie słuchając zakazu, nagotowawszy się przyjechał na zamek, i chciał czekać na kasztelana by się z nim zmierzyć; król Henryk jakkolwiek go miłował i był mu wdzięczny za tron, wyraźnie mu rozkazał ustąpić. Wyjeżdżał więc rad nie rad z zamku z ludźmi swemi, a nie szło mu sporo, bo się nie pomścił. Tymczasem Tęczyński posły-

szawszy, że on na niego czeka na zamku, jechał spiesznie zbrojno z przyjaciółmi, ważąc jeszcze więcej jak to ludzie rycerscy radzi czynią — cześć swoją niżli zakaz królewski; zetknęli się oba przeciwnicy w samej bramie zamkowej. Samuel uniesiony zapalczywością młodzieńca, porwał się pierwaj na Tęczyńskiego, a gdy w tak niespodzianym i bezprawnym napadzie Wapowski, kasztelan przemyski, towarzysz i przyjaciel tegoż, rzucił się na jego obronę, rozjuszony Samuel uderzył go w głowę czekanem, aż spadł natychmiast z konia; i w tej chwili też ktoś ze strony Tęczyńskiego strzelił. Czemu dosyć wydziwić się nie można nikt na Zborowskiego się nie porwał, dano mu uciec wraz ze swymi, a tymczasem ów wystrzał umyślny czy przypadkowy wielkie zrobił zamieszanie w zamku; król Henryk pewny iż to spisek na niego i na jego Francuzów, uzbroić się swoim kazał i sam się uzbroił, a gdy się do pokojów królewskich dobywano dał otworzyć, chcąc wyjść własną osobą na buntowników, bo na waleczności jako Francuzowi mu nie zbywało. Ale w miejsce buntowników pokazał się Tęczyński srogim żalem zdjęty, i słudzy jego prowadzący zbroczonego krwią Wapowskiego a już prawie bez zmysłów; wielkim głosem domagał się sprawiedliwości, król zaprzysiągł ją wymierzyć, zakazując surowo obrażonemu szukać samemu zemsty; lecz tymczasem Wapowski tejże nocy szóstego marca umarł...

— O! już choćby za to jedno zabójstwo — prze-rwała Kochanowska — Samuel Zborowski godzien sro-giej kary; taki zacny, taki znakomity pan kasztelan Wa-powski, i została po nim wdowa, pobożna i cnotliwa pani, którą ja dusznie kochałam i Kocham. — Ona, Ma-ciejowska z domu, przebywała w klasztorze, gdzie ja

się chowała, bo miała tam ciotkę zakonnica; prawie równego wieku zaprzyjaźniłyśmy się bardzo; nieboga męża swojego nad życie kochała, i gdyby nie dla syna, pewnoby śmierci jego nie przeżyła...

— A nieboga była właśnie w Krakowie w tej porze — mówił dalej Kochanowski — kiedy nazajutrz zawieziono ciało jej męża do króla na saniach, ubrane, jak miał zwyczaj nieboszczyk chodzić, przykryte suknem i aksamitem; jechała i ona z synem i z krewnymi w siedmiu kolebkach żałobnych — wstąpiła do królowej Anny, na on czas jeszcze królowej; mimo ciężkiego żalu stanęła i przed królem, pan Stanisław Maciejowski czynił od niej żałobę; przez trzy dni, tak jeździła ciągle, żalność jej szczerą zapewne nie mało się przyczyniła do tego, iż więcej jeszcze powstawali wszyscy na króla i na stany, że Samuela nie schwytano, nie ukarano zaraz wtedy. Dano mu bowiem czas zemknąć za granicę, a bracia jego takich sposobów użyli, by go od surowości prawa zasłonić, iż wytoczona mu sprawa ciągnęła się przez cały wielki post, a chociaż statut starego Zygmunta był wyraźny; iż zabójstwo podczas sejmu, lub przed królem popełnione powinno być karane śmiercią na obecnym, a na zbiegłym wywołaniem i odsądzeniem od czci i majątku, przeciw z powszechną zgrozą, wyrok wydany na Samuela przełamał statut, bo go nie odsądził od czci, a majątek jego oddano bratu, który go zaraz oddał synowi winowajcy; już bowiem wtenczas Samuel miał syna, a później przybył mu jeszcze syn i córka....

— O, biedneż dzieci! biedne! — przemówiły dziewczęta prawie razem. — Z występku i bezbożności się rodzić — dodała półgłosem Ludwina — coż to za nie-

szczęście! O Panie! bądź im ojcem! — dokończyła ciszszej jeszcze.

— Zborowski tedy — prowadził dalszą powieść Kochanowski — na wygnanie został skazany, jedno przecie — i na to uważajcie — zabroniono mu pod utratą życia wracać do ojczyzny; rozesłany został do wszystkich starostów całej Rzeczypospolitej rozkaz, aby za pokazaniem się jego w kraju, do ich jurysdykcyi należącym, natychmiast był schwytyany i ukarany śmiercią. — On zaś przez czas, kiedy się to działo, schronił się do ziemi Siedmiogrodzkiej; gdzie był właśnie książęciem panującym król nasz dzisiejszy; ułożył się przed nim, jak to on dobrze umie, wyłgał, i ze wszelką ludzkością był przyjęty i podejmowany. Prawda — i podobno jedna ta dobra sprawa udała mu się w całym życiu — prawda, on pierwszy podał Stefanowi Batoremu myśl starania się o koronę polską, gdy od nas uciekł tak haniebnie król Henryk; prawda, on przez braci swoich torował mu do niej drogę, prawda, wspinały Stefan obiecał wszystko czynić, co w mocy jego będzie — skoro dojdzie do tronu — żeby zdjąć z niego zapadły wyrok; prawda i to, że jadąc już do Krakowa, pozwolił mu doprowadzić się do samej polskiej granicy, do Stosowa, majątności Aleksandra, syna Samuela, ależ król polski nie mógł dotrzymać obietnic księcia Siedmiogrodzkiego; gdy raz się dowiedział, jak się rzeczy mają, niechęć i wzgarda zastąpiły miejsce dawnej życzliwości, a doznali ich i bracia Samuela, wyjąwszy Jana. Pieczęci mniejszej i większej, buławy, starostw, wszystkiego się domagali panowie Zborowscy od króla, a on wszystko Zamojskiemu dawał; wreszcie w roku zeszłym synowicę mu poślubił, ztąd zawiść panów Zborowskich przeciw

Miłościwemu Panu i kanclerzowi, ztąd gwałty i bezprawia Samuela. Bo choć on ma zaledwie dziś lat trzydzieści, nagromadził już siła przestępstw na głowę swoją; to, co przed oczyma naszymi w tej chwili wyprawia, nie jest największą jego zbrodnią; on to w ciągu tych lat dziesięciu pobudzał kozaków do buntu przeciw Rzeczypospolitej, hetmanił im, on w czasie wojny moskiewskiej bawiąc w obozie naszym, nie bił się, jedno wicherzył, i zarówno ze zdrajcą Ościekiem zaprzedał się nieprzyjacielowi, on w początkach tego roku knuł spiski na życie króla i kanclerza, a to w chęci wezwania na tron nasz, Iwana moskiewskiego, który mu obiecywał wynieść go tak wysoko, jak Batory Zamojskiego wyniósł. Własny jego chłopak Wojtaszek, nie zły torbanista, przyniósł podkomorzemu królewskiemu, Filipowskiemu, list Krzysztofa Zborowskiego, do brata, w którym to liście jawnie widzieć można było, iż chcieli zabić króla w Niepołomickim lesie. Kasztelan gnieźnieński prosił Miłościwego Pana ze łzami, żeby zbiegowi, ladaco chłopakowi, wiary nie dawał; król dał mu listy i pieczęcie braci do rozpoznania, kasztelan musiał przyznać, że prawdziwe, odejść z gorzkim wstydem i zamilczeć; teraz stronnicy Zborowskich nie wiedząc już, jak się bronić, głoszą, że Wojtaszek czarnoksiężnik, że szatan mu pomagał do naśladowania doskonale pisma cudzego, że te listy na rozstajnych drogach sporządzone piekielnymi sposobami.... I byłaby może ta dziwna sprawa ucichła, gdyby nie wyuzdane obecne zuchwalstwo Samuela. Ale jakby ośmielony tą bezkarnością podniósł jeszcze wyżej hardą głowę, i zdaje mu się, że Batory, Zamojski, prawo, są niczem, on królem, kanclerzem, władzą. A co za serce w nim niewdzięczne, jakie zaleśpienie! Pan nasz Miłościwy pa-

miętny dawnej i zażyłości i usług, nie przestawał przez te wszystkie lata dawać mu ojcowskich przestróg, namiętnie go przez braci, przez powinowatych; raz nawet kiedy Jan będąc marszałkiem, najwyższą władzę na dworze sprawował, pozwolił mu przyjść do królewskiej komnaty, to mu groził, to folgował, dopuszczał mu już mieszkania w Złotowie na granicy, byle cicho siedział: niecnota, na nic dobrego tej łaskawości monarchy nie użył, owszem coraz więcej zacina się w zbrodni, i zobaczymyć dziś, jutro, na czem skończy. — Nie tuszę, aby dobrze skończył — i potrzebny ten przykład. Szkoda będzie szlachetnie urodzonego młodzieńca, szkoda ojca trojga dzieci, małżonka zacnej niewiasty; piękny, możny, waleczny, nieustraszony, hojny, lecz cóż, kiedy te wszystkie dary Boskie na szatańskie dzieła obraca....

— I na życie dobrego króla, na życie naszego kochanego kanclerza nastaje! — zawołała Ewa, spoglądając na spinkę, którą według dobrej rady ciągle nosiła na piersiach — choć wielki pan, niegodziwy z niego człowiek; co bądź z nim zrobią żałować go ani myślę, i wielka szkoda co pana rotmistrza tu nie ma, on by go już był dogonił i nauczył.

— O! gdyby to już wiedzieć można jaki będzie tego wszystkiego koniec — mówiła Dorota — jam strasznie ciekawa i nie gniewałabym się, gdyby pan Zborowski cały wyszedł.

— A ja Boga jeno proszę, żeby upamiętanie dać mu raczył! — szeptała składając ręce pobożna Ludwina — chętnie bym trzy dni i więcej, suchotami pościła!

Nie przyjęło niebo na ten raz pokornych modłów dziewicy; w kilka dni po tem opowiadaniu Kochanowskiego, w tydzień po odwiedzinach kanclerza, zaczęła

wracać zbrojna szlachta Sandomierska do domów, nie bez żalu iż nie przyszło nigdzie do krwawej rozprawy, a stary Mysłowski przywiózł list Adama Kochanowskiego do stryja. Był prawie w tych słowach:

— Służby moje życzliwe zalecając pilnie w łaskę Waszej Miłości donoszę naprzód ową wielką nowinę: jesteśmy w Krakowie zdrowi, Samuel Zborowski schwy-tany, i już się podobno nie wybiega. Rzecz cała tak się ma. Dogoniliśmy kanclerza rano po wyjeździe naszym niedaleko Iłży, i raczył przyjąć mile nasze dobre chęci. Jechaliśmy przeto z nim razem. Wierny temu, co raz postanowił, kanclerz znosił cierpliwie coraz bliższe do-jazdy Zborowszczyka i coraz głośniejsze pogrożki, chro-nił się wszelaką mocą bitwy — choć wszyscy młodzi wrzaliśmy chęcią boju — przejeżdżał spiesznie całe nasze województwo, o ile mu tego powaga dozwalała, spodzie-wając się, że ów zuchwalec nie odważy się wjechać w Krakowskie, że ujdzie z kraju, a tak zostaną całe i przysięga urzędnika, i prawo, i ten co je pogwałcił. Wielu z nas także podobnie myślało, ale omyliliśmy się. W niedzielę stanęliśmy na nocleg w Proszowicach, już jurydykeyi starosty krakowskiego; choć spokojniejsi od napaści, żaden z nas ani pomyślał o spaniu i o wypo-czynku, koczowaliśmy pod gołem niebem, i żwawe były rozprawy, czy Zborowski zatrzyma się nad granicą sta-rostwa czy wjedzie? około dziesiątej godziny przybył nawet szpieg kanclerski z wieścią, że pan Samuel z ludźmi swemi zajął Podolany, wieś, jak wiecie, o milę od gra-nicy starostwa, i tam noc ma przepędzić; kiedy ci, któ-rzy jego stronę więcej trzymali, już tryumfować chcieli, jeden z naszych na wywiady wysłany wrócił i doniósł z pewnością: że Samuel wjechał i z towarzystwem w Kra-

kowskie; towarzystwo swoje zostawił w Jakubowicach, a sam z kilkunastą zbrojnych przyjaciół puścił się do Pieczmy do pani Włodkowej swojej siostrzenicy młodej i gładkiej wdówki, która — jak ludzie mówią — ma być zdawna na niego łaskawa. Zamierzał on wysłać połowę ludzi swoich naprzód do Krakowa, żeby dojeżdżającemu kanclerzowi zajechali drogę, a on sam z drugą połową miał mu wzięść tył, i tak zewsząd go ogarnąć; w Krakowie zaś rozpusta i próżnująca młodzież na jakiej nigdy w wielkich stolicach nie zbywa, pobudzona przez stronników Zborowskich, (którzy kanclerza zowią »starostą piekielnym«) już była gotowa buntownikowi dopomóc. Były to wojenne a piękne fortele, które się przecież z łaski Pana Boga nie powiodły. Kanclerz dowiedziawszy się o wszystkim dokładnie, osądził w sobie, że już dłużej czekać się niegodzi; jako jednak przezorny jest i baczny, złożył pierwej radę z tych co bliżej otaczają jego osobę; był w niej i stryj nasz Andrzej i bystry Herburt, i wymowny Piskorzewski i uczony Heidenstein, bo wiadomo nam, że on bez mądrych ludzi nigdy się nie ruszy — był i śmiały Urowiecki, dzielny Żółkiewski i kilku innych. Wszyscy okazali się tegoż samego zdania co on. Wysłał tedy natychmiast poczet wybranego ludu z dzielnym Żółkiewskim na czele, wkrótce za nim Łukasza Sernego, Szymona Charlińskiego, Wybranowskiego i Mroczka, doświadczonych mężów w rycerstwie. Żółkiewski ze swymi podszedł cichuteńko pod sam dwór pani Włodkowej, i otoczył go pierwej niż kto bądź usłyszał. Zborowski bawił się spokojny u swojej przyjaciółki, czynił sobie dobrą myśl jakby co najlepszego zrobił, a jego ludzie po wsi byli rozproszeni. Pierwej jednak posłyszał jakiś niezwyčajny hałas, zląkł się i nie wiele myśląc

zrzuciwszy z siebie suknie wpadł do komnaty panińskiej i ukrył się w pierwsze łóżko jakie napotkał. Lecz nie pomogło to niewinne schronienie; Żółkiewski wpadł do dworu, trafił na sypialnię i wywlókł go z pościeli. Nie porywał się na niego, jako na bezbronnego, pozwolił mu nawet oblec się w żupan, zarzucić ferezję, szabli jeno mu nie dopuścił, ani broni żadnej, a ująwszy go mocno za barki, wsadził na swego konia i przed świtem stanął z nim w Proszowicach przed kanclerzem. Nie mam potrzeby opisywać Waszej Miłości tego co się działo w całym obozie, jaki tryumf jakie gadania, a razem i jakowyś strach! Ciekawość nas brała straszna wiedzieć jak się stawi Zborowszczyk w obliczu kanclerza, ale ani słówka dowiedzieć się nie mogliśmy; czterech ich tylko było w czasie rozmowy: sędzia, winowajca, Żółkiewski i Urowiecki, i nic się nie wydało. Po tej rozmowie kanclerz spędził godzin kilka na pisaniu listów, które rozesłał na wszystkie strony, a najpierwszy oczywiście do Grodna, do Miłościwego Pana; pisał podobno i do pani Wapowskiej: czyby nie miała woli dochodzić teraz zbójstwa swojego męża. Pojmanie Samuela szybko jakby cudem w tej okolicy się rozniosło, nad rankiem już o niem wiedziano w Krakowie, choć z Proszowic jak wiadomo pięć mil do stolicy. Ruszył też wnet i kanclerz do miasta i my wszyscy z nim; jechała naprzód kolebka ściśle na wszystkie strony zamknięta, i mocną strażą otoczona, a w niej jak zgadnąć można więzień nie koniecznie wesołej myśli. Był w Krakowie właśnie zjazd wielki szlachty z powodu sądów grodzkich, było i wielu stronników Zborowskich. Wysypali się przeciw kanclerzowi wraz ze znaczniejszymi obywatelami i z całą niemal ludnością, a ci, którzy najwięcej dokazywać mieli, ucichli zupełnie.

Kanclerz oddawszy więźnia pod straż Urowieckiemu jako podstaroście krakowskiemu, pojechał na zamek, i tam stanąwszy na ganku miał mowę do licznej szlachty, co go aż na to miejsce odprowadziła; w niej przełożył zbrodnię Samuela i obowiązki starosty, i z takim ogniem i przekonaniem, iż gdyby w ten moment był kazał go wyprowadzić i ściąć mu głowę bez innego sądu, niktby nie był wyrzekł i słowa. Ale kanclerzowi ciężko jest wiadać, nawet tak występny żywotem szafować, czeka przeto z wykonaniem prawa, odpowiedzi króla i senatorów. Odpowiedź ta przyjdzie najrychlej na dwudziesty piąty bieżącego miesiąca, i wtedy niebawem koniec nastąpi. Skoro się to stanie, wnet Wasza Miłość ujrzysz mnie w Czarnolesie; lecz pierwej odjeżdżać mi nie sporo, nie żeby kanclerz mnie lub kogokolwiek potrzebował, jeno iżem wielce ciekawy rozwiązania tej tragedyi. Niektórzy tu zaczynają głosić, że powinien król darować życie Zborowskiemu, inni znowu zbierają się wykraść go, porwać z pod rusztowania, i odgrażają się bardzo. Wielu z naszych mniej ciekawych niżli ja, żegnało się już dziś z kanclerzem, a on im dziękował uprzejmie za ich dobrą chęć; gdym mu oświadczył przez stryja Andrzeja, że jeszcze nie odjeżdżam, ale wyprawiam posłańca z listem do Waszej Miłości, rozkazał mi czekać na swoją przesyłkę; jakoż przed chwilą jeden z dworzaninów wręczył mi małą krobeczkę, którą przyłączam, upraszając Waszej Miłości, abys raczył przyjąć powolne me służby.

Na krobeczce był napis: »Orszuli Kochanowskiej» a gdy ją otworzono ukazał się krzyżyk rubinowy na złotym weneckim łańcuszku; kartka była przy nim z temi słowami:

Aniołku uproś u Boskiej Matki
Zdrowe dla mnie dziatki.

Orszulka uszczęśliwiona z daru oddała natychmiast Annie, siostrze swojej, dawny złoty krzyżyk, który od urodzenia nosiła; nowy i cudniejszy włożyła na szyję i powiedziała: — że go nie zdejmie póki życia — i widziano ją odtąd często jak kłękała w trawie i modliła się trzymając znak zbawienia w złożonych dłoniach. Kiedy ojciec ją tak spostrzegł, cieszył się, i przypatrywał jej się w milczeniu i z lubością, bo zupełnie zdawać się mogło, że anioł z najpiękniejszych przelatując nad jego wiejską zagrodą spoczął w niej, i rozmawia z temi, co zostały w niebie.

ROZDZIAŁ XVIII.

Widziałem złego w szczęściu tak wyniosłym
Że był Libańskim równy cedrom rosnącym;
Obejrzałem się, a już było po nim
Szukam, nie umiał nikt powiedzieć o nim.

Psalm XXXVII.

Cała niewieścia drużyna Czarnoleska, która teraz mimo wiosennej pogody częściej siadywała w izbie niżeli na dworze z powodu wielkiej i ciągłej roboty koło wyprawy Ewy, zebrana już była w przedostatni dzień maja. Już przy śniadaniu Kochanowski upewnił, iż według wszelkiego jego wyrachowania, los Samuela musiał być rozstrzygnięty przed trzema dniami, a zatem wieczorem należy się spodziewać powrotu pana Adama. Teraz zaś zjadłszy obiad w zamyśleniu i podumawszy chwilę na ławie pod piecem, poszedł do swego pokoju, a według zwyczaju jaki miał, skoro jakaś ważna sprawa toczyła się w kraju, porządkował dokumenta, które do obecnej przygody zebrać był potrafił, i rzucał na papier szczegóły,

dotąd tylko po ustach krążące, dołączając do nich swoje wnioski i uwagi. Właśnie wszystko ukończył, właśnie zamyslił się nad tem, iż zapewne wnet znakiem krzyża świętego i słowami: *requiescat in pace* przypieczętować wypadnie ów zbiór cały, kiedy hałas w domu zwiastował mu przyjazd obcych. — Nie czekając żeby żona oznajmić mu przyszła kto przyjechał, zbiegł szybko na dół i ledwie drzwi izby otworzył, zobaczył synowca, a po jego twarzy spoważniałej, po smutku żony i córek, poznał nim słowo wyrzekli, że już po Samuelu.

Wszyscy w Czarnolesiu wiedzieli przestępstwa Zborowskiego, wszyscy znali, że zasłużył na karę, że konieczny był przykład sprawiedliwości, wszyscy sprzyjali Zamojskiemu, przecież, gdzie jest serce, któreby się mogło oprzeć uczuciu litości kiedy się dowie, że głowa ludzka, głowa znakomita, której brakło tylko dobrego kierunku, aby zajaśniała użytecznie w ojczyźnie i na długie lata ozdobą jej była, padła pod mieczem katowskim, jak pada głowa najpodlejszych zbrodniarzy. Sama Ewa, co niedawno tak się odgrażała na żyjącego zuchwalca, teraz przez długą chwilę nie widziała wcale roboty swojej przed sobą, dla łez cisnących się do jej oczów, wszystkie jedwabie zdawały jej się czerwonej barwy; tem przykrzej jej to było, iż jak wymiarkowała od razu śmierć Zborowskiego wypadła w dzień ś. Filipa dwudziestego szóstego maja, w dzień imienin jej Bogdana; ta wylana krew złą wróżbą jej była i już przeczuwała zawczasu jak ją ścigać będzie we dnie i w nocy owa głowa ucięta i drgająca, ów kadłub, który krew toczy... — Ludwina zaś czemiś wyższem jak ziemią zajęta, nie czekając szczegółowego opowiadania tej okropnej przygody, wymknęła się z izby i poszła w głąb sadu; tam ukłękła pod kwitnącą jabłonią — na

której korze jeszcze dziecinną ręką wryła była krzyż i odmówiła cały różaniec po dwa razy, ofiarując pierwszy raz za duszę winowajcy, drugi na odwrócenie wszelkiej kary od sędziego, gdyby się omylił jako człowiek. — Wietrzyk wieczorny, jedyny służebnik tej kwiecistej kaplicy, okrywał listkami bladoróżowych kwiatków świętą dziewicę, otaczał ją ich wonią i zanosił odgłos jej czystych modlitw chórom niebieskim.

Ostatni koniec Samuela Zborowskiego był taki. Udzielamy go w krótkich słowach odsyłając po dokładniejszej szczegóły i po dalsze skutki tego zdarzenia do społecznych pism i kronik.

Cały Kraków trząsał się przez te dni czternaście od pogrózek, poduszczań i przekupstw Zborowskich i ich przyjaciół. Wielu z nich przychodziło do kanclerza i nalegało śmiało, aby się wstrzymał do sejmu z wykonaniem wyroku, przez króla Henryka na Samuela wydanego. Zamojski nie wzbraniał się od tej łaskawości, byleby kto przyjął na siebie obowiązek stawienia winowajcy przed sąd sejmowy. Nikt tego podjąć się nie chciał, ani śmiało ręczyć za obwinionego. Wtedy powiedział: — Zrobię, co Miłościwy Pan każe. — Oczekiwano tedy niecierpliwie powrotu grodzieńskiego posłańca; nadszedł dwudziestego piątego maja i przywiózł wyrok śmierci. Król Stefan w liście własnoręcznym napisał między innymi te słowa: — »Wściekły pies, zabity, nie kasa«. — Nadchodziły też ze wszech stron odpowiedzi senatorów podobnejże treści, i kanclerz wszystko przyrzadzić rozkazał do wykonania prawa nazajutrz po odebraniu królewskiego pisma. — Uprzedziwszy Zborowskiego o losie, jaki go czekał, nad wieczorem poszedł do jego więzienia, w towarzystwie kilku znakomitych osób, i tam powiedział: — Jako mu

bolesno jest z całego serca, iż tak zacnie urodzony młodzian spraw swoich nie wiódł inaczej, jako byłby mu z duszy życzył, żeby się nie był w owe sidła zaplątał, i ostrzegał go o tem po kilkakroć; ale on, jakby na przekor samemu sobie, laźł oślepi w zgubę.

Kiedy Zborowski wymawiał mu ostro, iż to wszystko nie czyja jeno kanclerska sprawa, i że gdyby nie jego osobista zawiść ku całej Zborowskich rodzinie, nigdyby do tej ostateczności nie przyszło. Złorzeczył długo i okropnie, winowajca powoływał sędziów swoich na sąd boski. ale nareszcie wąpić sobie zaczął, okazywać wcale niewłaściwą sobie trwogę, pytać się: — Czyby to już żadnym sposobem rzeczy inaczej obrócić się nie dały? czy tak wiele królowi i Rzeczypospolitej na jego gardle stoi? — Z wielkiego żalu za życiem, gdy mu już śmierć straszliwa w oczy zajrzała, ów Samuel hardy i niesforny wziął się do pokory i do upamiętania, i wyrzekł: — Z boskiego widzę zrządzenia dostałem się na to miejsce; tu w tym samym Krakowskim zamku, gdzie wylał niewinną krew Wapowskiego, tu i moja co do ostatniej kropli popłynie. — Pytany o zamachy przeciw królowi i spisek ukartowany w Niepołomickim lesie, bez zająknienia się obwinił braci swoich Krzysztofa i Andrzeja, że oni wszystko układali, a jego mniej od nich uczonego, a śmielszego do wykonania użyć chcieli. Zamojski jakby wstręt mając do słuchania oskarżeń brata na braci, z umysłu nie wypytywał się już więcej; radził mu tylko — aby kiedy już od ludzi nie spodziewać się nie może, pogodził się z Bogiem i stał się godnym przez serdeczną skruchę, owego nieba, którego się wyrzekł prostemi sprawami, dodał, że co do niego, przebacza mu i zapomina wszelkie urazy.

To powiedziawszy wyszedł ze łzami w oczach i wnet przysłał na miejsce swoje spowiednika.

Nie zachowały nam dzieje imienia tego posłannika boskiego, zważywszy jednak przestępstwa Zborowskiego, nieugięty dotąd charakter, błędy kacerskie w jakich trwał jeszcze, chęć szlachetną kanclerza pozyskania niebu duszy tego, którego zbawić nie mógł na ziemi, domyślić się można, że dobierał mu troskliwie owego ostatniego przewodnika, a wybór jego może padł na księdza Piotra Skargę, który wówczas jak wiemy bawił w Krakowie. To pewna, że spowiednik Zborowskiego wysłuchawszy całego pasma jego życia, po kilku godzinach wyszedł tak pomieszany, iż zdawało się niektórym, że utracił zmysły; pokutnik zaś po odejściu jego leżał do świtu twarzą do ziemi, nie śmiejąc podnieść oczu, płakał tak obficie, że podłogę więzienia zwilżył swemi łzami, a te łzy przecież ugasić jego żalu nie mogły. Skoro dzień zajaśniał, wyprowadzono go na miejsce kary zwyczajnym winowajcom przeznaczone, za bramę zamkową, i tam kat publicznie, ale przy zupełnem milczeniu ściał mu głowę. Ciało pod słupem zostawione wzięli krewni, zabalsamować kazali i przysięgli uroczyście niedać mu pogrzebu, trzymać je u siebie, wozić przed króla, przed sejm, dopokąd sprawiedliwości nie uzyskają. Troje dzieciak jego ubrali w grubą żałobę i pokazywali ludowi dla pobudzenia go do zemsty. — Panowie Zborowscy — mówił w końcu Adam Kochanowski, który to wszystko z większemi szczegółami opowiadał słuchającej go ciekawie rodzinie Czarnoleskiej — Panowie Zborowscy mają swoich stronników, bo pieniędzy nie żałują, przecież między uczciwymi i rozsądnymi ludźmi jeden jest tylko głos, że Samuel na los swój zasłużył; pospólstwo Krakowskie z pewną nawet radością

widziało pańską i znakomitą głowę pod mieczem katowskim; ulicznicy zawsze weseli a często dowcipni śpiewają sobie:

Za króla Stefanka
Strach i na panka.

Kradnij, rozbijaj
Kraków omijaj.

— Widziałem jednak sam i na własne słyshałem uszy nie jednego ze znakomitej szlachty, co całem gardłem wtóruje panom Zborowskim. W śmierci Samuela nie widzą słusznego wykonania prawa, ale nadużycie władzy jednego z pomiędzy siebie i powtarzają proste przysłowie: »Kto wyrzy z korca, tego strychulcem w łeb«; zbierają świadków zadających ciężkie zbrodnie kanclerzowi, twierdzą jako mają dowody, że chciał otruć Krzysztofa Zborowskiego przez Kuchmistrza swego Dzierżka. Pani Włodkowa ze swojej strony pozwać go chce za najechanie w nocy domu swojego. Zgoła na wielką zanosi się burzę, i słychać, że przed sejmem będzie zebrana konwokacya w Lublinie dla osądzenia tej sprawy.

— Ale co najgorsza w tej całej przygodzie — dodał Kochanowski ze smutkiem, wysłuchawszy synowca — to owa okoliczność, iż umysły rozjątrzone, prywatą zajęte, nie zechcą do spraw publicznych się przyłożyć; wszystka Rzeczpospolita zburzona, sejm jaki w tym roku być ma, znowu na niczem przemienie, i wielkie a zbawienne zamysły króla a kanclerza gotowe spełznąć bez skutku. Dziwny, pod niefortunną gwiazdą urodzony ów Samuel Zborowski; pierwiej, prawo publiczne nie mogło być względem niego zaniedbane bez największego kłopotu, teraz nie można było statutów wykonać bez najokropniej-

szych różruchów. O biada nam, biada! Kiedyż my słuhać się nauczymy! Pókiż swawolić będziemy! Kiebyż przestaniemy bezprawie zwać złotą wolnością!

ROZDZIAŁ XIX.

Gdzie pojrzę, wszędy widzę polskiej siły znaki,
Tu do czarnego morza jeszcze świeże szlaki;
Tu droga znakomita przez śnieżne Bałchany,
Tu psie pole, a sam brzeg pruski zwojowany.
A ktoby oczy podał jeszcze w głębsze lata,
Przodkom naszym wielka część hołdowała świata:
Bo od zmarzłego morza po brzeg Adryański
Wszystko był opanował cny naród Słowiański.

Księga I. pieśń XXIX.

Cień ponury jaki przygoda Zborowskiego rzuciła na Czarnolas — który już i tak od wyjazdu ukochanych gości nie był oczywiście tyle wesołym i ożywionym, co dawniej — znikać zaczął pomału, została przecież całdemu domowi jakaś poważna, łagodna, że nie powiem uroczysta barwa; złożyły się na nią dwie lubę przyjaciółki człowieka: praca i nadzieja. Każda z osób składających główną część drużyny Czarnoleskiej posiadała owe dwa żywotne warunki szczęścia potocznego; u każdej ręka była zajęta użyteczną, pilną robotą, a myśl bujała w miłej przeszłości, — Kochanowski zachęcony przez Zamojskiego, zagrzany chęcią napisania dzieła, któreby prócz innych korzyści i zalet pochlebiać mogło powołaniu i skłonnościom drugiego przyjaciela, nie zaniehbując prac koło roli tyle ważnych w tej porze roku, zabrał się całą duszą do swego rycerskiego poematu, i ujrzał się wnet w najmilszej dobie: kiedy to autor, podobien matce nad kolebką syna, już widzi ów płużd swego du-

cha dojrzały, ozdobny w wszelkie przymioty i wdzięki, przynoszący mu pociechę i chlubę, a jeszcze nie miał czasu i sposobności mozolić się, ślęczyć nad nim i doznać zawodu. Kochanowska zajęta z kolei to robotami nakazanymi w księdze pamięci, jako to: rozsadą kapusty, pielieniem ogrodów, zbieraniem i smażeniem ziół, paleniem wódek, bieleniem płótna, suszeniem ryb i t. d., to znowu wyprawą Ewy, myślała z pobożną wdzięcznością o odmiennym, a przecież szczęście obiecującym losie dwóch starszych swych córek; cieszyło ją równie zamężcie jednej, jak dziewictwo drugiej. Już widziała Ewę w czepecu białogłowskim kochaną od męża, piastującą dziecię — pierwsze jej wnucze! — widziała Ludwinę pod zakonną zasłoną bliżej jeszcze Boga niż teraz, już prawie świętą; wspominała także z lubością na dziecię, co nosiła w łonie: wszystkie kobiety we dworze i we wsi, a na ich czele Nastka i Świtka, obiecywały jej syna, potwierdzały nadzieję dziedzica i inne wróżby; pragnęła go całym sercem, gdyż sądziła, że po Orszulce, syn tylko mógł być z rzetelną radością przyjęty od ojca, i ścieścić nowem ogniwem zobopólne ich a tak drogie węzły. Ewa i Ludwina bujały także w przyszłości; »młodość przestrono patrzy«. Jednej przesuwają się z kolei: powrót szczęśliwy Bogdana, wesele, które rodzice jej obiecywali dwa razy sutsze od zaręczyn, owe kołacze »grunt wszystkiego« co je Nastka upiec miała, jak niegdyś dla swojej Hanulki w Sandomierzu, zupełna odmiana życia, nowe szczęście, nowe stroje, powaga małżeńskiego stanu, podróż, majątek, Studzienica. Drugiej znowu stały na pamięci uroczyste obłóczyny, ofiara dobrowolna owych pięknych jasnych włosów i całej kraszy urody i młodości, które jej ciążyły, pożądana cichość i jednostajność klasztorna, pokorne ubó-

stwo, szczęśliwość życia poświęconego zupełnie Bogu, życia, w którem jej się zdawało, że nie będzie miała sposobności nigdy zgrzeszyć... Było więcej żywości, uroku, w marzeniach pierwszej, więcej spokoju, gruntu, pewności w obrazach drugiej. I Dorota, którą już matka wprawiać zaczynała do trudniejszych robót domowych, dumiała sobie także o chwili, kiedy będzie najstarszą panną w Czarnolesie, prawą ręką rodziców, a choć jej smutno było wspomnieć o odjeździe dwóch sióstr, znaczenie, które nabyć miała, pocieszało ją niemal zupełnie; Dorota była z tych dziewcząt, co raczej męzki charakter mają, lubiła być pierwszą, miała własną tęgą wolę, i łatwiej jej było dać sobie samej radę w trudnym nawet razie, niż usłuchać cudzej rady w najdrobniejszej rzeczy. Są na świecie różne charaktery i ułożenia, bo też i przeznaczenia różne. — Aż do starej Nastki — choć to zwykle starym mało co od ziemskiej nadziei się należy — wszystkich w Czarnolesie opanowała owa czarodziejka. Kochanowska częścią z życzliwości ku dawnej i tak wiernej słudze, częścią z troskliwości o córkę, przyrzekła jej, że ona odwiezie przyszłą panią rotmistrzową do Studzienicy, a przytem — jak sobie tego oddawna życzyła — obaczy raz jeszcze przed śmiercią kraj młodości swojej, zielone Podole. — Jeśli ci tam dobrze będzie, to i zostań — mówiła do piastunki wdzięczna matka — hoduj moje wnuki, jeśli nie, to wróc do nas. — Poczciwa kobieta pomagając ile jej sił starczyło do robót domowych, prawie ciągle tę podróż widziała przed sobą. Lat trzydzieści kilka zwinawszy zupełnie w pamięci, jakby ich nie było, wystawiała sobie krewnych, przyjaciół, tak jak niegdyś ich zostawiła, cieszyła się, że ich powita, i że oni do niej się uradują. — Czemużby pomrzeć mieli i odmienić się dla

niej, kiedy ona żyje zdrowa, i o nich pamięta? — Z ruchomostek i pieniędzy jakie posiadała — a które teraz wspaniałością Filipa i Podlodowskiego znacznie się powiększyły — dla każdego jakiś gościniec sposobiała, a przechodząc myślą wszystko, co jej się zebrało do opowiadania przez lat tyle, czuła już zawczasu wielką niespokojność języka, i całą czeladź Czarnoleską nudziła więcej niż kiedy swoją wielomównością.

W takich marzeniach i zatrudnieniach przerywanych jak to bywa na wsi, to świąt uroczystych obchodem, to przyjazdem gości, to wreszcie odwiedzinami krewnych i sąsiadów, upłynął prawie cały czerwiec; słowik ucichł, drzewa okwitły i spłowieła cokolwiek dziewicza ich świeżość, trawy urosły i padły pod kosą, zboże się wykłosiło; dzień już się zmiarkował, przybywać go przestało, i zaczęły się mocne dosyć upały; Kochanowski uchodził często w cień ulubionej lipy swojej przed skwarnemi promieniami słońca, a z »lutnią na łonie, przy dzbanie zimnej wody« dumał o pracy i Jakóbie swoim; tam właśnie siedział jednego poobiedzia, kiedy przybył pożądanym i wyglądanym posłaniec od ukochanych podróżnych i cały dom napełnił radością. Obiecywali oni wyjeżdżając wyprawić z pod Bałchanu doświadczonego dworskiego koczaka, starego Iwanuszkę, żeby dać wiedzieć o sobie, i dotrzymali słowa.

Droga szła im pomyślnie; zrazu służba im się roznie mogła i oni sami trochę słabowali, ale jak pan podkoniuszy otworzył obozową szkatułę apteczną, którą i pani wojska zaopatrzyła swemi lekarstwami, jak leczyć zaczął, uzdrowił ich zupełnie i siebie; odtąd wszystko im idzie według tego jak zamierzili i rozrachowali sobie. — Przebywszy granice Polski — w której wszędzie o niczem

tylko o Samuelu mówiono — przejechali przez Wołoską ziemię, przez Bukowinę, owo miejsce smutnej pamięci. »gdzie za Olbrachta, wyginęła szlachta«; potem na Suczawę i Łopuczno dojechali do Kilij, miasta zamieszkałego już przez Turków, gdzie przez władzę byli z wielkiem poszanowaniem przyjęci, gdyż Turcy, zwłaszcza pogranicznicy, wielką cześć niosą królowi polskiemu i mówią, że »Batury Isztywan jest wybrańcą znamienitych mocarzów Chrystusowych, wlokącym poły wspaniałości i powagi, dzierżącym wodze spraw narodów chrześcijańskich«. Z Kilij jechali brzegiem wspaniałego Dunaju pięknym krajem, do Jazu, gdzie łowią wyzinę. Z Jazu jadąc długo, zajechali do miasta Baby, dziwnie nazwanego, ile, że te białołogłowy, co im się w nim ukazały wcale nie były stare. Ztamtąd do Hałapapy, gdzie są wały i mury zburzone i widać dawny gród znaczny. Minąwszy Bazarczyk, Prowadję, dotarli do wsi Ciengiej pod same stopy góry ogromnie wysokiej, pod stopy Bałchanu; tę górę nie przejechać, ale objechać we dwa dni, a ztamtąd na Haidos, Kierglisz, Biegarazar i Bikułce, ruszyć już lepszą drogą do Carogrodu, gdzie spodziewali się byli stanąć z pewnością, na piętnasty czerwca. — Z równą dokładnością opisywali dyaryusz powrotnej drogi i wyrachowanie oczywiste, na trzechkrotnem doświadczeniu oparte: iż zabawiwszy dni kilkanaście w stolicy państwa tureckiego stawią się niezawodnie w Czarnolesie na wigilię święta Wniebowzięcia Najświętszej Panny. »Wtedy — pisał w końcu listu Podlodowski — ujęci naszą rzetelnością i pośpiechem, nie będziecie mieli serca, najmilsi moi, odkładać długo wesela i w tydzień, dajmy dwudziestego drugiego sierpnia, oddacie już na zawsze dziewczkę memu parobkowi. Pobladł mi tu i schudł nieco z wielkiej tęsknoty; zdaje mu się, że nie

zasłużył sobie na miłość Ewulki i że mu ją kto inny odmówi. Przyrządźcież więc wszystko, żeby już żadnej zwłoki nie było: będą sobie uważał tę uczynność waszą za dowód rzetelnej przyjaźni i wdzięczność wam dochodzą do grobu«. Iwanuszkę kozaka, co z temi listami konno jechał, obładowali o ile się dało rozmaitym gościńcem, obiecując »daleko szacowniejsze podarki, gdy już nie przez nieme listy, ale sami osobiście swoje służby złożą«.

— O! niech nam jeno siebie samych całych a zdrowych przywiozą! kwituję ich z reszty — zawołał Kochanowski; Ewa pomyślała to samo, chociaż miała kęs żalu do pana rotmistrza, iż śmiał wątpić o jej wierze, a z rzeczy przysłanych w darze, gdy je matka rozwinęła i kazała wybierać, co chce? wzięła sobie tylko sznurek paciorków różanych, które ponosiwszy przez kilka godzin na śnieżnej szyi a widząc, że jej w nich bardzo do twarzy i że pachną mile, zdjęła przed wieczorem i zawiesiła w izbie u obrazu Matki Boskiej. — Nie chcę je nosić bez pana Filipa — powiedziała w sobie — i ślubuję nie odpiąć je aż piętnastego sierpnia; niech wonieją do tej pory przed najświętszą Panną, może raczy uprosić u Syna swojego powrót pana rotmistrza na wigilię dnia tego.

Kochanowski uradowany wiadomością o zdrowiu dobrem i powodzeniu przyjaciela, poszedł do swego pokoju, zrzucił wszystko z zielonego stołu, księgi, papiery, klepsydrę, pióra, kałamarze i rozłożył mapy jakie miał Europy, Turcyi, Węgier i Polski, chcąc okiem ściagać ukochanych wędrowników i naznaczyć sobie ołówkiem ich drogę. Sztuka robienia map była daleka w owym czasie od dzisiejszej doskonałości i mnogości; były w wielu

szczegółach mylnie, a nierównie rzadsze i droższe niż teraz, ale przecież istniały; kreślili je i nasi Polacy, a każdy człowiek światlejszy, co nie ograniczał świata swego na zagonie, który orał, co choć sercem jedynie przywiązany do ziemi, co go zrodziła i pochować miała, myślą sięgał najodleglejszych, każdy taki człowiek starał się mieć je u siebie, żeby nie wychodząc z pokoju mógł świat znany objechać i widzieć dalekie kraje oczyma imaginacyi. — Kochanowskiego mapy były jedne z roku 1522. Polski, Prus i Litwy, wydane w Strasburgu przez bezimiennego, drugie z roku 1552. z wielkiego dzieła ułożonego po łacinie przez Sebastyana Münstera pod tytułem: *Kosmografia powszechna*, trzecie narysowane w Wenecyi przez Jakóba Gastolda Piemontczyka roku 1568. z napisem: *Il vero disegno del Regno di Polonia*, czwarte z roku 1570. wykonane przez Waclawa Grodeckiego i innych wiele, które pomijam; znalazłszy na nich prawie wszystko, czego szukał, nie mógł się wstrzymać od chęci podzielenia tej swojej serdecznej i rozumowej uciechy z żoną i córkami. Zawołał kochaną Hannę i trzy starsze dziewczęta i znaczył im miejsca w listach wspominate, mówiąc za każdym: — Tu byli, tu może dziś są, tu wnet będą. — Nachylone koło stołu wszystkie cztery patrzyły pilnie, Ewa jednak z największą pilnością. — Dawniej ojciec nieraz opowiadał starszym córkom ciekawe rzeczy z map o Polsce i o innych krajach, Ludwina i Dorota słuchały uważnie, czarnobrewa dziewczeczka zaś mówiła w sobie: — Wolę ja z tarasu ojcowskiego patrzeć na Zwoleń, na Policzną, na Gródek i inne wioski, których dojrzeć nie mogę; co mi tam po tych wsiach i miastach dalekich, żadnej w owem szukaniu nie znajduję przyjemności i nie mogę żadną miarą się przekonać, żeby ów arkusz papieru miał

być świat, a owe napisy kraje i miasta. — Dziś, już inaczej myśli; duch jej sięga dalej niż zmysły; ów arkusz papieru, owe napisy przybrały dla niej wielkie znaczenie, te kraje zdają jej się niemal jak prawdziwe, każde miasto, które widzi w liście i na mapie czyta, pamięta, wystawia sobie i oderwać wzroku swojego od Carogrodu nie może, gdyż tam właśnie według wszelkiego podobieństwa gości teraz Filip z ojcem. — Matka przyglądająca się także ciekawie mapom, nasyciwszy się jednak prędzej niż córka tureckimi krajami, prosiła męża o pokazanie jej Podola i Studzienicy i o wymienienie miejsc, przez które, za parę miesięcy, pani rotmistrzowa przejeżdżać będzie. Uczynił chętnie zadosyć jej woli Kochanowski; od Zwolenia, który na karcie Gordeckiego znalazł, wskazał jej wszystkie znaczniejsze miasta, a skończywszy tak powiedział:

— Dobrze też, cośmy od niechcienia do tej trochę uczonej rozmowy przyszli, podobno od Środopostu nie było pory na takową i możecie już zupełnie zapomniały, dziewczeczki moje, to wszystko com zimowemi wieczorami nieraz wam opowiadał: rozum człowieczy zwłaszcza u płci waszej i w waszym wieku ślizgi jest, snadno się z niego rzeczy umiejętnie wymykają; a przecież, kiedy Pan Bóg dotąd nie dał mi syna, radbym was widział nieco mędrsze od córek naszej szlachty, radbym w was wpoił to przekonanie, że im kto więcej umie, tem większy pan, gdyż tem więcej ma pod władzą swoją. Powtórzcież mi przynajmniej dziś rzeczy najważniejsze; ja was się będę rżędem pytał, wy odpowiadajcie śmiało, a uważnie; różgi w moim pokoju niema, nie bójcie się więc, a która się najlepiej popisie, tej przywiozę z miasta szklanych paciorków i pszennych kukłów — skoro na kiermasz pojedę — dodał z uśmiechem.

Ręczyłoby trudno czy zupełnie temi słowami równie i gładko i od razu szły odpowiedzi, to jednak pewna, że treść rozmowy dnia tego ojca z córkami była następująca:

Pytanie: — Jaki jest początek narodu naszego?

Odpowiedź: — Jako wszystkie niemal insze narody baśniami więcej, niżli czem pewnem początków swoich dowodzą, tak i Polski naród praojców swoich do tej doby nie jest pewien.

P. — Jakichże mu przecie przodków kronikarze nasi podawają?

O. — Scytów, Sarmatów, a nakoniec lud *Słowiański*, od którego już wprost iść mamy.

P. — Czy sami jedni Polacy od Słowian pochodzą?

O. — Nie: wiele innych narodów tenże ma mieć początek, bo owi Słowianie nie zatrzymali się nad Wisłą, ale przeszli Elbę, Dunaj i aż nad morzem Adryatyckiem usiedli; i był to wielki, a zacny naród.

P. — Jaki jest dziś los narodów co od Słowiańskiego szczepu wiodą początek?

O. — Niektóre z nich, jako to: Serbowie, Illiriaki, Bośniaki są w niewoli, inni jako to Moskale w grubiaństwie żyją, sami jeno Polacy i Czechowie cześć utrzymują Słowiańskiego imienia.

P. — Który był pierwszym księciem słowiańskim co go Polskim zowiemy?

O. — Lech, panował koło roku 550. po narodzeniu Chrystusa; a musiał to być możny jakiś książę, gdyż później kilku książąt polskich Leszkami się nazywało, jakby od wielkiego jakiegoś Lecha mniejsi Leszkowie za czasem się pokazali.

P. — A imię *Polaków* skąd?

O. — Jedni mówią, że od tegoż Lecha, to jest ludzie

po *Lechu* czyli *Polacy*; przecież się zdaje, że owo imię Polak nowsze jest i dopiero w tych naszych krainach urosło, od *pola* bez chyby, a jak jeszcze inni chcą od *polania* na chrzcie świętym.

P. — A Ruś dlaczego nas dotąd *Lachami* zowie?

O. — Od wiary Lackiej, to jest łacińskiej, gdyż sami są greckiej, Polacy zaś od początku z Rzymem trzymali i trzymać się go zawsze powinni.

P. — Który był pierwszy ksiązę Polski, co chrzest przyjął?

O. — Mieczysław, roku 965 za namową Dąbrówki, księżniczki Czeskiej, żony swojej.

P. — Od Lecha do Mieczysława, przez lat czterysta z górą, jakie są imiona książąt Polskich godne pamięci?

O. — *Krakus* co Kraków wystawił; *Wanda*, córka jego odważna i piękna, która ślub dziewictwa uczyniwszy bogom swoim, wzgardziła ręką niemieckiego księcia i wrzuciła się w Wisłę; *Przemysław* co dostał koronę fortelem; *Popiel*, co go myszy zjeść miały; *Piast* kołodziej, który od pługą do tronu przyszedł: i syn jego *Ziemiowit* wojownik.

P. — Czy historia od Lecha do Mieczysława pewna jest?

O. — Wiele do niej baśni domieszano, przecież znać ją trzeba, gdyż gęste o niej wspomnienie bywa w księgach i w rozmowie, wreszcie musi być w niej i część prawdy: mogiły Krakusa i Wandy wznoszą się dotąd koło Krakowa nad brzegiem Wisły, a zatem Krakus i Wanda musieli żyć.

P. — Kto był pierwszym królem polskim?

O. — *Bolesław Chrobry*, król i wojownik wielki

i mądry; on to prawdziwie Polskę zbudował, a zbudował potężną.

P. — Czy byli jeszcze inni Bolesławowie?

O. — Było dwóch. *Śmiały i Krzywousty*, a chociaż pierwszy splamił się okropną zbrodnią, bo zabił świętego biskupa, Stanisława, przyznać trzeba, że za Bolesławów Polska była prawdziwie wielką.

P. — A Krzywousty jaki błąd popełnił?

O. — Podzielił państwo swoje między czterech synów, czem na długo osłabił potęgę Polski, a może i podkopał na zawsze byt jej.

P. — Ilu było *Kazimierzów* królami polskimi?

O. — Czterech: *pierwszy Mnichem* zwany, bo nim wstąpił na tron, miał być w klasztorze we Francyi, *drugi Sprawiedliwy*, syn Krzywoustego, *trzeci Wielki*, król chłopków, syn dzielnego króla Łokietka, a *czwarty Jagiellończyk*, syn Jagielly.

P. — Kto to był ten *Jagiello*?

O. — Wielki książę litewski; ożeniwszy się z królową Jadwigą, wnuczką Kazimierza Wielkiego, przyjął chrzest, wziął imię Władysława, i przyłączył Litwę do Korony.

P. — Wyliczcie potomków Jagielly, którzy byli królami Polskimi?

O. — Bitny *Władysław*, co zginął pod Warną: *Kazimierz* Jagiellończykiem zwany, co panował najdłużej ze wszystkich naszych królów, lat czterdzieści pięć i przyłączył Prusy do Polski; *Jan Olbracht* syn Kazimierza; *Aleksander*, brat jego; *Zygmunt* król mądry i wielce kochany i *Zygmunt August*, ostatni król z krwi Jagielly, który umarł dwanaście lat temu.

P. — Po nim co się stało?

O. — Wielka zmiana w układzie naszej Rzeczypospolitej, bo gdy nie było potomstwa po królu Zygmuncie Auguście, panowie Polscy i szlachta postanowili, iż odtąd wolnymi głosami, na otwartem polu, kogo chcą obcego lub swego, na króla sobie obierać będą i o tyle mu będą posłuszni, o ile on przyrzeczonych narodowi obietnic, to jest zaprzysiężonych *paktów konwentów* dochowa.

P. — Jaki był król pierwszy, takim sposobem obrany?

O. — Henryk Andegaweński, dzisiejszy król francuski; po okropnem bezkrólewiu i długich kłótniach został naszym królem, ale na mało się przydał, bo po pięciu miesiącach uciekł do swojej Francyi.

P. — Po Henryku kogoż obrano?

O. — Annę Jagiellonkę, siostrę Zygmunta Augusta, dając jej za męża dzisiejszego króla naszego, Stefana Batorego, który od lat ośmiu chwalebnie nam panuje i bogdajby panował jak najdłużej.

P. — Która z was pamięta pochwałę wierszem najznakomitszych królów Polskich niech ją powie.

Na to wezwanie ojca Dorota się odezwała i wypowiedziała bez omyłki:

Ktoby cię nie znał *Lechu*, słowianinie,
Któryś najpierwszy zasiadł w tej krainie,
I opanował męztwem swoim mocne
Brzegi północne.

Kraka patrz jako siedząc tak wysoko,
Przecie ku miastu swemu skłania oko;
Wandę wydawa ubiór, bo z postawy,
Zda się mąż prawy.

Tu fortelny *Przemysł* jest wniesiony,
I ten co dostał trefunkiem korony,

Dojrzawszy zdrady, gdzie koń prędkonogi
Biegł zawód drogi.

Bóg fałszu nie chce: o jako miłuje
Sprawiedliwego, *Piaśt* i dziś to czuje,
Bo mieszka w niebie, a jego cne plemię
Rządziło ziemię.

Ziemowit stoi wedle ojca, prawie
Z drugimi równo; ty wyżej *Mieczysławie*,
Którego sprawą chrześcijański zakon
Podan Polakom.

Tuż po nim widzę mężne *Bolesławy*,
Przez których dzielność i stateczne sprawy
Polska szeroko swych granic pomknęła
I serce wzięła.

W teźże jest liczbie on zakonnik święty,
Z cieniów klasztornych na królestwo wzięty;
Są dwa *Leszkowie*; jest król wzrostem mały
Ale mąż śmiały.

Widzę *Jagięllę* i dwu *Kazimierzu*
Dobrych tak w boju jako i w przymierzu;
Widzę i ciebie gwiaździe równym prawie,
Cny Władysławie.

To teź jest *Olbracht* król serca wielkiego,
Tuż z *Aleksandrem Zygmuntem*, za którego
Polska zakwitła, a po długim boju
Wytchła w pokój.

Pogłaskał Kochanowski Dorotę za to, że tak dobrze jego wiersze utkwiliły w jej pamięci, i użył zapewne w tej chwili w duszy swojej najsłodszej pisarza pociechy, a zachęcony do dalszej rozmowy natężeniem i ciekawością,

które się malowały w oczach dziewcząt i dumną radością ich matki, tak jeszcze powiedział:

— Dobrze co swoje rzeczy jako znacie, ależ to nasza Polska nie sama jedna na tym wielkim świecie, wszak prawda?

— O! jest wiele innych krajów — odpowiedziały wszystkie razem.

— Będę was się pytał o znaczniejsze; a najprzód wymienicie te co naszej Rzeczypospolitej są bliższe, i mają z nią stosunki; te znać, rzecz najpotrzebniejsza; powiedzcie mi każdego miasto stołeczne, imię panującego, wiarę i znaczenie.

— Naprzód na południe *państwo Tureckie* — odezwała się Ewa płonąć żywym rumieńcem — stolicą jego Carogród, po turecku Stambuł, a po dawnemu Konstantynopol. Panujący zowie się sułtanem czyli cesarzem, ma żon ile chce; dziś jest sułtanem Amurat III.; kraj ten bardzo piękny a nieszczęśliwy, bo w niewoli i prawie w pogaństwie zostaje, dawniej był chrześcijański i miał chrześcijańskich cesarzów, od lat stu trzydziestu zawojowany został przez Turków, którzy nie wierzą w Jezusa Chrystusa, ale w fałszywego proroka, Mahometa. Mieszkańcy są tedy mahometańskiej czyli muzułmańskiej wiary; jest między nimi wielu dawnych chrześcijan, którzy są bardzo uciemżeni. Turcy stali się potężni i straszni; Wołochów, Mołdawian, Serbów i wiele innych ludów sobie zhołdowali, ziemia święta, Betlejem, Jerozolima, gdzie Zbawiciel nasz rodził się i umarł za nas, w ich są rękę, i Bóg jeden raczy wiedzieć, dokądby już doszła gdyby jej Polacy i Węgry nie wstrzymywali. *Tatarów*, którzy także na południu są Polski, dziś już prawie do Turków liczyć należy, bo jednej są wiary i z nimi trzy-

mają. Dawniej byli oni straszliwi dla Polski, dziś nieco upokorzeni dzielnością króla i rycerstwa naszego.

Zadziwił się ojciec nad tem gładkiem opowiadaniem Ewy; nie przypomniał sobie, żeby ją kiedy równie wymowną słyszał, mówiła nawet rzeczy o których on dotąd nie wspominał córkom; ale po chwili zastanowienia roześmiał się w duszy i pomyślał: »Nie masz mistrza nad miłość«. Nie wydając jednak domysłu swojego z bojaźni zawstydzienia dziewczęcia, zapytał się jej jeszcze: — Czy nie wie o jakim wielkiem zwycięstwie, które niedawno panowie chrześcijańscy nad bisurmanami odnieśli?

— Wiem, wiem — odpowiedziała Ewa — pan Filip mi o niem rozповідаł, żałując, że tylko jeden Polak do tego tryumfu należał; było to gdzieś na morzu, przed trzynastu laty; chrześcijanie tak pobili Turków, że im spalili trzysta okrętów, zabili do trzydziestu tysięcy ludzi i zabrali ogromne skarby; byliby może dobili i samego Carogrodu, gdyby się nie byli pokłócili o łupy.

— Widzicie, moje dzieci — przerwał tu Kochanowski — poganiec byłby już dziś wygnany z Europy, gdyby się nie była wkradła niezgoda o marne rzeczy pomiędzy chrześcijańskich panów. Tak to niezgoda ludzka udaremnia największe łaski Opatrzności. Dziś Turczyn już się odgryzł po tak wielkiej klęsce, znowu prawej wierze grozić zaczyna, i bogdaj czy obrona tej wiary nie spoczywa na samych Polakach i ich królu. Obyśmy nie powtórzyli tak gorszącego jak tamci przykładu!... Ale dosyć o Turkach, o których za powrotem naszych kochanych podróźnych, dowiedcie się jeszcze więcej; niech nam Ludwina teraz powie jakie jeszcze kraje leżą na południe i na zachód Polski, z któremi także blizkie mamy stosunki?

— Siedmiogród, Węgry, Czechy, Szlązk, margrabstwo Brandeburskie — wyliczyła bez długiego namysłu, bo jakkolwiek w rzeczach świętych najbieglejsza, obejmowała z łatwością i świeckie; umysł jej wyższy, do zastanawiania się nawykły, przyjmował chętnie naukowe wiadomości, wreszcie w każdej upatrzeć umiała szczegół stósowny do tego, czem żyła jej dusza.

— Powiedzże nam słów kilka o każdym z tych krajów? — ponowił ojciec.

— *Siedmiogrodu* nasz król był księciem dopokąd na tron Polski nie wstąpił — odpowiedziała — dziś, panuje tam synowiec jego Zygmunt. Kacerstwem zarażona jest ta nieszczęsna ziemia, ale nadzieja w miłosiernym Bogu, że za staraniem pobożnych Batorych wróci do prawego kościoła. — *Z Węgrami* niegdyś wspólnych mieliśmy królów: Ludwika, ojca owej prawie świętej królowej Jadwigi, która całą Litwę Chrystusowi zniewoliła, Władysława, króla męczennika, bo zginął młody bijąc się z pogaństwem z rozkazu Ojca świętego. Stolicą Węgier jest Budzyn. — *Czechy* jednego z nami słowiańskiego rodu, dobrymi braćmi nam się okazali, bo im winniśmy wiarę. I Węgry i Czechy dziś osobnego króla nie mają: cesarz Niemiecki, książę Rakuski, Rudolf drugi, jest oraz ich królem; są też mniej wolni niż byli dawniej i mniej od nas szczęśliwi. *Szlązk* do śmierci Krzywoustego był jednym krajem z Polską, a choć dziś osobnych ma książąt idą oni od syna Krzywoustego i polskimi się zowią; lud mówi po polsku i wiarę prawdziwą wyznaje. *Margrabstwo Brandeburskie* nie tyle szczęśliwe, kacerstwo tam okrutnie górę wzięło, a monarcha jego Jerzy Fryderyk, oraz książę Pruski i hołdownik Polski, pochodzi od Alberta

niegdyś mistrza Krzyżaków, który — o czem zgroza wspominać — zrzucił suknię zakonną i żonę pojął!..

— A na północy i na wschodzie Polski jakie są kraje, które nas obchodzić winny?

— *Szwecya i Moskwa.* — Żoną dzisiejszą króla szwedzkiego, Jana Wazy, była nasza królowna Katarzyna Jagiellonka, wielce pobożna pani; jej syn Zygmunt Waza będzie podobno panował nam kiedyś. Król Jan jest katolikiem, i radby jak mówią wszystkich swoich poddanych prawemu kościołowi przywrócić — bo Szwecya oderwała się od Rzymu, ale mu się to nie bardzo udaje. W Carstwie Moskiewskim, rozległym a barbarzyńskim kraju, po niedawnej a okropnej śmierci srogiego Iwana, panuje syn jego Fiedor. Stolica jego zowie się Moskwa, i od niej nazwisko ludu i kraju całego. Bitni oni są bardzo, wytrwali, ślepo swoim carom posłuszni; niedawno wybili się z pod jarzma Tatarów; nie trzymają się rzymskiego ale greckiego kościoła, nie zowią ich kacerzami odszczepieńcami. Przed kilkoma laty, w czasie naszej wojny z nimi głośzono, że car z całym narodem swoim chce wrócić na łono prawego kościoła; w tej nadziei Ojciec święty wstawił się za nimi u naszego króla o pokój, ale gdy zawarty został, ucichła zupełnie ta wieść pożądana.

— Jaki jest jeszcze kraj na zachód Polski położony z którego mamy kupców, rzemieślników, i wiele rozmaitych rzeczy? — zapytał się Kochanowski Doroty.

— *Niemcy* — odpowiedziała. — Zwane są *Rzeszą*, czyli zbiorem wielu państw. Cesarzem i razem naczelnikiem Rzeszy jest wspomniany król Czeski i Węgierski, Rudolf. Cesarze niemieccy noszą tytuł cesarzów Rzymskich, i mocno się trzymają prawego kościoła. Książęta

Rzeszy poszli prawie wszyscy za nową nauką, mianowicie Sascy. Cesarzów obierają wolno, tak jak my królów naszych, z tą różnicą, że nie cała szlachta jak u nas, jeno książęta elektorowie.

— Co mówią o dzisiejszym cesarzu Niemieckim?

— Że oddaje się bardzo astrologii, alchemii a zaniedbuje spraw państwa. Dla tego nie koniecznie go lubią Niemcy.

— A Niemcy czem dziś głównie zajęci?

— Kłótniami o wiarę: w Niemczech kacerstwo się urodziło i coraz bardziej się szerzy; kacerze piszą na katolików niestworzone rzeczy, i wszyscy mówią, że jeżeli Pan Bóg się nie zlituje, nie obejdzie się bez okropnej wojny.

— Jakież są dalsze kraje do których my Polacy chętnie jeździmy, które i ja niemal wszystkie zwiedziłem i często wam o nich powiem?

— Najprzód *Francya* — odezwała się Ewa. W jej stolicy, w Paryżu bardzo sławna jest akademja; panuje tam dziś ów Henryk, co go Polacy swoim królem obrali niewiem za co; nie szkoda, że nam królować nie chciał, bo jego Francuzi jeno nas obmawiali, a on sam rozpustny, słabego charakteru a przytem okrutny. W duchu katolik a przecież z kacerzami się łączy, i Bóg wie na jaki koniec mu przyjdzie. Królowie Francuzcy uważają się za starszych synów kościoła.

— A o Anglii kto mi powie? — zagadnął Kochanowski.

— Ja — zawołała Dorota: — jest to państwo zamorskie, lecz przez handel w stosunkach z Polską, gdyż potrzebuje naszego zboża, naszego drzewa i pieńki. Panuje w niem białogłowa Elżbieta; pisuje często do na-

szego Miłościwego Pana i wielki ma dla niego szacunek. Od niej to niedawno przyjechał do nas poseł Herbert. Mądrą ją mianują, ale to szkoda, że prawie tyranka; niezważa ani na sejmy, ani na wolność ludu swojego. Mówią, że przepisuje nawet krój sukien, jakie powinni nosić jej poddani; pacholiki dworscy biegają po ulicach miasta stołecznego Londynu, i obcinają gwałtem zbyt wysokie kołnierze osobom przechodzącym. Aż trudno temu wierzyć...

— A co gorsza — przerwała ze smutkiem Ludwina — i ona i lud jej sprzyjają kacerstwu, katolicy srodze tam prześladowani; królowa Szkocka Marya Stuart, któraby mogła mieć prawo do korony, więziona jest najwięcej dla tego, że prawej wiary opuścić nie chce; wróżą jej też, że nie długo koronę ziemską na męczeńską zamieni.

— O Hiszpanii pamiętacie com wam rozpowiadał? — zapytał jeszcze ojciec.

— Pamiętamy — to państwo bardzo potężne, naród rycerski — odpowiedziała Dorota — i nasi panowie jeżdżą tam, żeby się w sztuce wojennej ćwiczyć. Dzisiejszy król hiszpański, Filip drugi, jest podobno najbogatszym monarchą na świecie, bo ma w drugiej części świata w Ameryce — zeszłego wieku odkrytej pełne złota kraje; jest on gorliwym opiekunem katolickiej wiary, lecz niestety! okrutny, chciwy, może jej więcej zaszkodzi niż pomoże.

— Czy wiecie jaki kraj temi czasy Hiszpania zyskała a jaki straciła?

— Zyskała Portugalią, straciła Niderlandy — mówiła jeszcze Dorota. Król Portugalski Sebastyan zginął niedawnemi czasy w bitwie z afrykańskimi Muzułmanami, król Filip mianując się — prawem mocniejszego — najbliższym jego dziedzicem, ogłosił się królem Portugalii,

i przyłączył ją do Hiszpanii. Biedna Portugalia musi gorzko opłakiwać utraconą niepodległość, bo to wielkie dla kraju nieszczęście stracić niepodległość.

— Wielkie i bardzo wielkie, moje dzieci — powtórzył Kochanowski. Pan Bóg karze tym sposobem narody za długie i ciężkie grzechy, osobliwie za swawolę, zbytki, niesprawiedliwość, gnuśność i bezrząd. Ale powiedzcież mi jakim sposobem Niderlandy oderwały się od Hiszpanii?

— Znudzone ciężkiem jarzmem króla Filipa, zrzuciły je z siebie parę lat temu, obrawszy sobie naczelnika, Wilhelma, księcia Oranii.

— Cóż im najwięcej pomogło do spełnienia tak wielkiego dzieła.

— Zgoda, wytrwałość i posłuszeństwo — odezwała się Ludwina — i napisali na swoim herbie te słowa: „*Concordia res parvae crescunt*“ (przez zgodę małe rzeczy rosną).

— O moja ty pobożna dziewczeczko — zawołał z uczuciem Kochanowski — módlże się codzień żeby i nasza Rzeczpospolita przybrała i spełniała to godło; tymczasem powiedz nam jeszcze o kraju, o którym wiem co myślisz najczęściej i najchętniej... Prawda też co i stryj Piotr tam ciągle mieszka...

— Włochy — odrzekła z lubym uśmiechem — to państwo złożone z kilku — a między innemi z Wenetów, handlowego i rycerskiego ludu nad morzem — jest w moich oczach najszcześniejsze, gdyż całe katolickie, a w jego stolicy, w starożytnym Rzymie, jest stolica kościoła, mieszkanie zastępcy Zbawiciela naszego, Ojca świętego, papieża. Dzisiejszy zowie się Grzegorz XIII. Panuje od lat dwunastu; choć jego państwo ziemskie nie wielkie, wyższy on od wszystkich królów i cesarzy. Gorliwy jest

bardzo o rozszerzanie wiary prawdziwej, wysyła apostołów swoich w dalekie nieznane dotąd a pogańskie kraje, do Indyi, do Japonii; szkody jakie kacerze kościołowi prawemu, owej matce naszej zadali, Ojciec święty wraz z Ojcami jezuitami stara się z innej strony nagrodzić, i Bóg miłosierny pomagać mu raczy.

Na tych słowach skończyła się uczona rozmowa Kochanowskiego z córkami; tyle się przekonawszy o ich pamięci i uwadze, już nie wypytywał się więcej, ani też tego dnia nie nowego udzielić im nie chciał. Wyraził im tylko ukontentowanie swoje, przyrzekł każdej gościniec z jarmarku i uczynił im uwagę: o ile Polskę zwać należało szczęśliwszą od tylu innych krajów; w wieku sporów i walk o wiarę, ona była prawie zupełnie spokojna z tego względu, i zdawało się, że bez krwi wylewu mimo chwilowego zachwiania się — za czasów nieboszczyka króla — zostanie już na zawsze przy prawowiernym kościele. Kochanowska zaś zstępując poważnie ze schodów, i zasiadając do porzuconej przez parę godzin roboty, nie mogła uciszyć w sobie coraz silniejszej dumy, iż tak mądre miała córki; żałowała tego jedynie, że pan brat, że pan rotmistrz nie byli obecnymi tej rozmowie, i z tej strony wcale jej dziewcząt nie znali. W rzeczy samej, w całym sąsiedztwie Czarnolesia żadna szlachcianka tego wszystkiego nie umiała; równych wiadomości chyba w domach pańskich, senatorskich, szukać wtedy u kobiet należało. Panny dzisiejsze nad któremi od pieluch rodzice i nauczyciele ślęczą, które dni całe nad naukami trawią, zapewne rozśmieją się z owej próżności macierzyńskiej i z owej mniemanej mądrości pańien Kochanowskich, byłoby bowiem ciężkim grzechem wątpić na chwilę, iż każda z nich wie na palcach to,

o czem tu była mowa, i każda o stanie dzisiejszym ojczyzny swojej i wiary, o tem co się dziś na świecie, w każdym kraju dzieje, wie nierównie lepiej i dokładniej, niż one wiedzieć mogły to, co za ich czasów się działo. Dla lepszego jednak przekonania się o tej swojej uczoności, niech sobie podobne i zastósowane do obecnej chwili zadadzą pytania i odpowiedzi ułożą. Badanie takowe nigdy nie zawadzi.

ROZDZIAŁ XX.

Tak rość, mały Michniku, jakobyś mógł sławnych
Przodków swych dorość, onych Rądziwiłłów dawnych.
Abyś nie tylko imię i bogate włości
Brał od nich, lecz dziedziczył w męstwie i w dzielności;

.....
Abyś u swych był wdzięcznym i miłym w pokoju
A pohańcom zaś srogi, i straszliwy w boju

Księga II, pieśń 29.

Już czerwiec się kończył; doroczne święto Sobótek i imieniny Kochanowskiego odbyły się przy dosyć licznym zjeździe, zbliżało się Nawiedzenie Matki Boskiej, dzień, na który Ludwina miała sobie przyrzeczone rozpoczęcie nowicyatu. Pani Kasprowa Kochanowska zajęta jeszcze ostatecznem urządzeniem majątku dla jedynaka, i ciągle słaba, nie mogła jechać z synowicą do Sandomierza, by wraz z nią oblec suknię zakonną; ojciec przeto odwieźć ją był obiecał, ale im bardziej ten dzień stanowczy się zbliżał, tem mniej o podróży mówiono, rodzice z żalu, córka przez względność dla nich. Lecz, że wtedy powaga słowa ojcowskiego była wielka, a starsi najwięcej na prawdzie i na stałości panowanie swoje i władzę domową gruntowali,

rodzice oboje — jakkolwiek z bólem serca — postanowili pomówić otwarcie z córką, gdyby tego pragnęła koniecznie, spełnić natychmiast uczynioną obietnicę, gdyby się zaś uprosić dała, zatrzymać ją jeszcze parę miesięcy.

Nie tyle własnej chęci — bo nie lubił Kochanowski zmiany raz postanowionych układów — ile słabości macierzyńskiej folgował w tej okoliczności. Jego Hanna acz rzetelnie pobożnej a przeto mężnej i zgadzającej się duszy, nie mogła przemódz tego na sobie, żeby rozpocząć sama dobrowolnie rozdzielenie się z dziatkami. Znają dobrze matki jaka to uciecha, jaki tryumf dla nich, mieć jeszcze w wyłącznem posiadaniu wszystkie dzieci swoje, panować nad nimi bez podziału, i módz na każdą chwilę zebrać je koło siebie jak kokosz zbiera pisklęta swoje, chlubić się nimi, pieścić, osłaniać je. Prócz tego wspólnego wszystkim matkom uczucia, szczęśliwa Kochanowska nie utraciła dotąd żadnego dziecięcia, wszystkie wykarmiła sama i nigdy od żadnego rozłączonej nie była; nigdy jeszcze dnia takiego nie spędziła, żeby na każdej córce z osobna i na wszystkich razem nie spoczęło jej baczne oko, nigdy nocy takiej nie pamiętała, w którejby swoją ręką nie okryła, nie otuliła każdej, nie słuchała czy spi, jak spi? nigdy takiego poranku nie miała, żeby każdej nie wydzieliła pracy, nie zarządziła — że tak powiem — losem całego jej dnia; zgoła, była do tej pory wszechwładną królową tego prawdziwego *narodu* swojego.

Nie wiem tedy, czy znalazłaby się tyle nieczuła albo tyle doskonała matka — bo ostateczności często się tykają — któraby za złe wzięła naszej Kochanowskiej, ów wstręt do rozerwania, nawet dla Boga, swego macierzystego wieńca, któraby nie wtórowała jej słowom do męża: — Tak mi słodko — mówiła mu — mieć je wszy-

stkie koło siebie; pozwólcie niech tak zostaną dopokąd się da; skoro mi pan rotmistrz Ewulkę zabierze, oddam natychmiast Ludwinę i razem je opłacę, w moim stanie, unikać należy ile możności rozkwilania się i utrapienia; mogłabym wam jakiego kodjaczego chłopaka urodzić... Jać wiem, że nasza święta w klasztorze bezpieczniejszą i świętszą będzie niż u nas, ale już ja na to patrzeć nie będę, już wszelkie prawo do niej utracę. Kiedyć ją Panu Bogu oddaję z serca na całe życie, wszak nie grzechem zatrzymać ją choć dwa miesiące? A właśnie tak mi jest potrzebna! Ewa już nie ta co była, już ona połową ducha swego w Studzienicy; Dorota jeszcze niewprawna, a wszystkoby chciała swoją głową robić; tyle zaś w tym czasie kłopotu w domu z wyprawą, na wsi z choremi.

Co do Ludwiny samej, łatwiej przyszło otrzymać od niej pożądaną zwłokę niż rodzice sądzili. Jakkolwiek bardzo pilno jej już było rzucić świat, żeby się oddać bez żadnej zapory służbie Bożej, jakkolwiek pragnęła rozpocząć ów żywot klasztorny, cichy, jednostajny, żywot bez wczora i bez jutra, raczej bez żalu za wczora, bez zachodu na jutro, żywot błogosławiony, którego opisy zachwycające w księgach świętych czytała, o którym — jak wiemy — ciągle marzyła, przecieź, za pierwszym objawieniem chęci ojca i matki uległa im bez żadnego szemrania, i zostać z nimi przyrzekła, dopokąd będą chcieli, dziwiąc się tylko, że ją prawie prosili, kiedy rozkazać mogli. — Ludwiny pobożność choć bardzo wznieśiona i niepospolia, była przecieź prosta, gruntem jej była pokora i uległość; znała ona i pamiętała te słowa ś. Jadwigi księżnej Polskiej: »Nic nie czyn, córko, bez dozwolenia starszych, bo wielką ma zapłatę u Boga po-

słuszeństwo». Nie tam przeto widziała wolą Boga, gdzie ją własna jej wola ciągnęła, ale tam, gdzie ją prowadzili przełożeni; najlepszy uczynek, pewną była, że na jeszcze doskonalszy zamieni, skoro go odstąpi z uszanowania dla starszych, z miłości bliźniego. I dnia tego kiedy żądaniu rodziców uległa, i zwlekła chwilę upragnionej szczęśliwości nikt nie ujrzał chmury na pięknem jej czole, ani łzy w błękitnem oku; nieco dłużej wieczorem pod swoją jabłonią klęczała, a kiedy za powrotem matka spytała jej się, czemu jej mogła wynagrodzić doznany zawód? ona rzuciła jej się do nóg, prosząc, żeby jej wolno było godzinę później się kłaść dla modlenia się, a w tygodniu dzień jeden więcej pościć.

Kiedy Kochanowska ze skrytem uwielbieniem, ale przecież nie bez upomnień i uwag ulegała nabożnej prośbie córki, Ewa z Dorotą wbiegły do izby całe zadyszane z oznajmieniem, iż wracając ze wsi, gdzie do chorych chodziły z lekarstwami, spotkały pod Bożą męką przy drodze pielgrzyma. Usiadł sobie na kamieniu bardzo znużony, i powiedział im, że wraca z ziemi świętej, a dalej dla słabości iść nie może. One mu obiecały przynieść posiłek jaki, a teraz proszą rodziców o nocleg dla niego. Bo wiedzieć trzeba, że gościnnym obyczajem ojców naszych była w Czarnolesie obok izby pana Łukasza Gupolskiego izdebka ogrzana w zimie, chłodna w lecie, gdzie na świeżej słomie zmęczony przechodzień mógł wygodnie noc przepędzić i odpocząć strudzonym członkom. Dziwny to jakiś pielgrzym — mówiły jeszcze dziewczęta — suknia jego szara bagazyowa mocno wytarta, kostur w rękę, sznur gruby zamiast pasa, przecież jakby jakieś państwo z oczu mu patrzy. Kochanowski, który wszedł był do izby na te ostatnie słowa, usłyszawszy je

zawołał: — O! pójść ja muszę do tego pielgrzyma, a wy przynieście co tchu dobrego wina. Jakoż wzięwszy czapkę wyszedł z pospiechem. Żona i córki pobiegły za nim domyślając się czegoś; nawet Ludwina nie została na ten raz w domu, gdyż słowa »pielgrzym, i ziemia święta» miały dla niej niepojęty urok.

Nieznajomy powstał choć z trudnością, za ich zbliżeniem się, a Kochanowski ledwie nań spojrział, rzucił mu się na szyję, i zawołał: — Księżę Sierotka. Zdumiały kobiety na ten widok, lecz wnet zrozumiały rzecz całą; znużony a nieco dziwny pielgrzym był to ów sam, którego odwiedziny zapowiedział na pół w swoim liście pan Kochanowski, dworzanin królewski: był to Krzysztof Mikołaj Radziwiłł, księżę na Nieświerz i Ołyce, wojewoda wileński, Mikołaja Czarnego i Elżbiety Szydłowieckiej syn, *Sierotką* zwany, dlatego, że w czasie godów weselnych Zygmunta Augusta z Katarzyną Austriaczką, zostawiony był od matki w królewskich pokojach; król idąc do sypialni swojej zobaczywszy uśpione na ławie czteroletnie dziecię i same, spytał się: — Cóż to za sierotka? — i ten smutny przydomek mu został. Pełen wielkich nadziei i rychłych przymiotów, wychowany był w nauce kalwińskiej, którą ojciec wyznawał, ale za staraniem złotoustego Skargi, do kościoła Rzymskiego przeszedł, i wnet okazał się gorliwym katolikiem. W roku 1575 kończąc lat dwadzieścia sześć, potargawszy zbytkiem zdrowie od natury wzięte całe i dobre, wpadł w ciężką chorobę okrutnych boleści głowy i innych przyпадków pełną. W tej chorobie ślubował, iż skoro go Bóg dobrotliwy powróci do pierwszego zdrowia, on grób Zbawiciela w Jerozolimie nawiedzi, czasu jednak pewnego temu przedsięwzięciu nie postanawiając. Długo, dotkliwie

cierpienia, podróże do Cieplic niemieckich, dalej, wojna moskiewska, w której pułkiem własnego zaciągu z wielkiem męstwem dowodził, przeszkodą mu były. Nareszcie gdy pod Połockiem ciężko ugodzony kulą w głowę, i zrzucony z konia został, w ponowionem niebezpieczeństwie życia, ponowił ślub dawny, a skoro pokój zawarto, napisał testament, urządził wszystko w domu swoim jakby już nigdy się nie spodziewał wrócić do ojczyzny, a pożegnawszy się z królem Stefanem w Grodnie, 19. września 1582. roku wyruszył z Nieświeża. Wiedziała o tej jego drodze cała Litwa i Korona, wiedział lepiej od wielu Jan Kochanowski. Rodzina Radziwiłłów wówczas tyle znakomita i zasłużona, zaszczycała poetę wysokim szacunkiem, a on jej się odwdzięczał wierszami, które pewno równie długo jak Radziwiłłowie żyć będą; księżę Sierotka wyrósł prawie w jego oczach: on to pieszcząc się z jego imieniem *Mikołaja* przezwął go jeszcze w dzieciństwie *Michnikiem*, pięknym rymem drobny jego wiek wślawił, nie dziw więc, iż księżę pamiętny tych lubych wspomnień, jadąc z Krakowa do Grodna oddalił się od gościńca i od służby, a jakby dopełniając ostatku ślubu swojego, zdjął bogate szaty, przywdział zszarżane pielgrzymkie, by się ukazać dawnemu przyjacielowi przy życiu, i w owej szacownej sukni, w której miał zamiar leżąc kiedyś w grobie. Uszedłszy blisko milę pieszo, sam, z tłomoczkiem pod ramię, a jeszcze nieco osłabiony po odbytej we Włoszech chorobie, zmęczył się nadzwyczajnie, i może by już zejść do dworu nie był potrafił, gdyby kielich wina, który mu Ewa podała, nie postawił go na nogi.

Radość Kochanowskiego na widok zacnego i tak ciekawego gościa była wielka, niewiem jednak czy wy-

równywała troskliwości samej Kochanowskiej o zdrowie jego. Znikły z jej oczu tytuły, miliony, zaszczyty możnego Radziwiłła, widziała tylko chorego pielgrzyma. Z należytym przeto uszanowaniem, ale bez owej mimowolnej trwogi, jaką w niej zwykle wielcy panowie i senatorowie wzbudzali, wzięła księcia wojewodę pod ramię, i wraz z mężem poprowadziła go do domu; tam, sporządziwszy mu na prędce lekką a posilną wieszczkę, naznosiła sama pościeli do bawialnej komnaty — gdzie podobno dotąd nikt nigdy nie spał — usłała mu wygodne łoże, zmusiła żeby się wcześniej położył, nie pozwalając mężowi trudzić go by najmniejszym wypytywaniem o jego podróż. Jutro, jutro — mówiła — jeśli Wasza księżęca Miłość czuć się lepiej będziesz, to nam może co o ziemi świętej opowiedzieć raczysz; mam córkę, któraby zawsze podobnych opowiadań słuchać rada, ale dziś zdrowie pierwsze. Bronźże wielki Boże, aby tak świętą a daleką odbywszy pielgrzymkę, w własnym kraju, i z drogi do Czarnolasu przyszło Waszej Miłości zachorzeć. I nastawiała jeszcze koło niego różnych wódek, kordyałów, napojów, żeby ciało natarł jednemi, drugie wypił, to dla pokrzepienia sił, to ku ochłodzie, i nie odeszła póki nie przyrzekł, że nazajutrz użyje łaźni, i że gdyby w nocy czego potrzebował zawoła Nastki, która w przyległej izdebce całą noc czuwać będzie.

Przyjął z wdzięcznością księżę Sierotka te wszystkie życzliwej przyjaźni oznaki, i usnął smaczno ze słodkiem przekonaniem, że już jest na ziemi ojczystej, kiedy tak uprzejmej gościnności doświadcza.

Nazajutrz wstał zdrów prawie, a użyta łaźnia z aromatycznymi nacieraniami i dobre śniadanie nadały mu zupełną czerstwość. Dziękując serdecznie gospodar-

stwu chwalił sobie, że już oddawna tyle rześkim się nie czuł; zasiadł z całą rodziną w ganku, pieścił się z Orszulką, żartował z Ewą i z Dorotą, rozmawiał świętobliwie z Ludwiną, a wciągnięty nieznacznie trafnymi pytaniami obojga Kochanowskich, nim przyjechała kolebka jego ze służbą — stósownie do rozkazów, jakie był wydał odchodząc — opowiedział im w krótkości całą pielgrzymkę swoją.

To opowiadanie było prawie w tym sposobie:

— Nikt lepiej nie wie od was, panie wojski, gdyż znacie mnie z dzieciństwa, ile zmarnować potrafiłem darów od miłosiernego Boga mi danych, i jakiej doznałem od niego łaski. Wybawiony od dusznej i cielesnej śmierci umyśliłem, lat temu dziewięć, nabożną drogą do ziemi świętej i do grobu Zbawiciela do reszty złe w sobie ukrócić, a gorętszą miłością ku panu Jezusowi się zapalić. Przeszkód doznałem nie mało, znaleźli się też i tacy, co mnie od mego zamiaru odmawiali strasząc trudnościami na ziemi i na morzu, niewolą turecką i najezdami. Jam się niczego nie uląkł i wyjechałem z Nieświerza blisko dwa lata temu, z liczną dosyć służbą; ze znaczniejszych a wam znanych byli ze mną Michał Konarski, Jędrzej Skorulski, Jerzy Kos, Piotr Bylina, Włoch, doktor, Abraham Bero de Dona, którego wzięłem dla biegłości w różnych językach, i mój poczciwy kucharz Jeremi.

— W dzień Niepokalanego poczęcia Najświętszej Panny, której szczególnej opiece oddałem tę peregrynację moją, stanąłem w Wenecyi, w owem osobliwym mieście, gdzie ulicami są kanały, a wozami łodzie. Tam stanąwszy w klasztorze ś. Franciszka, rozmawiałem często z gwardyanem, Jeremim de Boessa, który dwanaście lat w ziemi świętej mieszkał, i bardzom wiele się od

niego nauczył. Jadąc do obcego kraju lepiej daleko rozmówić się z jednym rzetelnym człowiekiem co w nim był i mieszkał, niż przeczytać dziesięć ksiąg. W Wenecyi bawiłem nad zamiar długo, a to najwięcej z powodu niesposobnego zdrowia; nareszcie otrzymawszy od Ojca świętego pozwolenie i błogosławieństwo, dnia siedemnastego kwietnia 1583. roku wsiadłem w imię Boże na okręt. Gdy lekki wiatr powiewał, i budynek nie koniecznie się bujał prawie bez mdłości i cierpień jechałem, i na drugi dzień minęliśmy szczęśliwie odnogę Tergestyńską. Zastanowiwszy się, dziwnać to rzecz i bardzo straszna bujać tak na kilku zbitych deskach między bezdennem morzem a wysokim niebem. Jak mi Bóg miły, wolę iść na wojnę, tam przynajmniej człowiek stąpa śmiało. — Koło wyspy Kandy nagle wiatr gwałtowny się zerwał i okręt w wielkim był niebezpieczeństwie; liny i powrozy się rwały, kotwica przepadła, ale uciekliśmy się wszyscy pod Matki Najświętszej obronę, wołaliśmy wielkim głosem do tej gwiazdy morskiej i nastąpiła cisza, a wnet ujrzeliśmy Cypr, gdzieśmy ostatnich dni maja wysiedli i wypoczęli nieco z wielką moją pociechą; dziwnie miły wydawał mi się stały ląd, po owem długim kołysaniu się na niepewnej wodzie.

— W Cyprze nająłem okręt niewielki, który tam karamuzem zowią, już jeno dla siebie i dla mojej służby; patronem jego czyli sprawcą był Arab, ale nie Muzułman, dobry katolik; pierwszego czerwca, o godzinie wtórej w nocy odbił od brzegu, i ku południowi, to jest ku ziemi świętej się obrócił; gdy mi to oświadczył, zdało mi się jakoby dopiero wtedy prawdziwie peregrynacją moją rozpoczął, i nie tęskniłem sobie na wodzie tyle co z początku, chociaż nie zatrzymał się tak

rychło. Minęliśmy bowiem Cezareę, Ptolemaidę, Tyr, Sydon, owe wszystkie miejsca, których samo nazwanie świętą pamięć obudza, i nie wysiedliśmy aż w Tripoli. Tam widziałem pierwszy raz owe przesławne cedry Libanowe i miałem ochotę pokłonić im się, boć one są jakby wybrane między drzewami, takie częste o nich w Piśmie świętem wspomnienie i spór jest dotąd nie rozstrzygnięty czy nie z cedru był krzyż Zbawiciela?... Wydały mi się wspanialsze od wszelkich drzew, które widziałem, nieco podobne do naszych modrzewiów, jeno gęściejsze, ciemniejszej zieloności i nie gubią igieł swoich na zimę.

— Z Tripoli, opatrzwszy się w kilkunastu zbrojnych Janczarów — gdyż tam drogi bardzo niepewne — puściłem się łądem, a przebywszy Liban, ujrzałem Damaszek, miasto rozłożone na pięknej równinie u samej krawędzi góry, dziwnie nadobne i w oko wpadające; wielu rozumie, co Adam w tem miejscu stworzony został i snadno temu uwierzyć, iż Pan Bóg obrał je na raj ziemski: nie wiem, czy już gdzie piękniej być może, chyba w niebie. Lecz w owym cudnym Damaszku źli ludzie mieszkają i gdyby nie Janczarowie co nas obronili, byłbym rozszarpany i ze służbą moją.

— Pragnąc jak dusznego zbawienia ujrzeć coprędzej Jerozolimę, z Damaszku ruszyłem konno, najprostszą drogą pojazdu, choć mnie na to namawiano, używać nie chcąc; mimo słabości zdrowia i pospiechu nie opuściłem żadnego miejsca wspomnianego w starym i nowym zakonie, nawiedzałem każde; miałem wielce miłą i spokojną nad podziw drogę, a spotykałem wiele karawanserów czyli gromad kupieckich z wozami, końmi i wielbłądami. Z niesłychanym wzruszeniem serca przyszedłem nad Jor-

dan, nad ową rzekę, której wody omywały niegdyś święte ciało Zbawiciela naszego i były pierwszemi wodami chrztu; nacerpałem sobie jej dużą flaszę; mętna jest Jordanowa woda, ale nie psuje się. Nie mniej błogo było mi patrzeć na jezioro Tyberiady, po którym żeglował Pan nasz; za niem zaczyna się Galileja, ojczyzna Chrystusowa, kraj dosyć wesoły, żyzny i pachnący; rozmaryn rośnie tam w polu jak tu jałowiec, hodować go nie trzeba, a niektórzy w spore drzewka wyrasta. Widziałem studnię starego patryarchy Jakóba, cofnąłem się pamięcią na jakie kilkadziesiąt wieków; byłem w Baetsaidzie, miejscu rodzinnem ś. Piotra. Niedaleko miasta Sichar, w granicach Samaryi spotkaliśmy sandzaka, a raczej księcia tureckiego, który wiódł z sobą stu Mameluków męźnych i bitnych. Nie było tam do rzeczy srożyć węża i dobywać korda, choć była niezmyślona ochota, bo nam hardzo się stawił; zsiadłem przeto z konia i z całą służbą, a zapominając na ten raz iżem Radziwiłł i lepszy ksiązę niżeli on, pozdrowiłem go zwyczajem pielgrzymów chyląc głowę bardzo nisko. Ta pokora ubłagała sandzaka i nie zrobił nam przecie nic złego; opłacić się jednak musiałem: kazał sobie dać po dwa cekiny od każdej głowy, a cekin znaczy dwa nasze złote. Ziemia Judzka właściwa, w którą wjechaliśmy wtedy, podobała mi się dosyć z wejrzenia; są w niej liczne ślady dawnej uprawy i żyzności, mury winnic trwają jeszcze, owoców wiele rośnie same z siebie, mianowicie daktyl, cięży jednak na niej przepowiadane kilka razy spustoszenie... Ależ nareszcie doczekałem się chwili tyle pożądanej: dnia dwudziestego piątego czerwca 1583. roku, ujrzelśmy miasto święte nad świętami, Jerozolimę. Padliśmy natychmiast wszyscy na kolana bijąc twarzą ziemię, a według zalecenia stolicy apostolskiej, każdy z nas

odmówił na głos jedno Ojcie nasz i jedno Zdrowaś Marya. Na półtorej godziny przed zachodem słońca wstąpiłszy w święte mury.

— Dopieroż tam zaczęły się nabożne stacye nasze i pokłony Zbawicielowi; miejsca one, na których były ślady nóg Jego, odprawa przedziwna zbawienia naszego, męki i śmierci pamiątki, całowałem wszystkie i oblewałem łzami. Kiedym przyszedł tam, gdzie ukrzyżowany został Pan nasz, Jezus Chrystus, upadłem i nieśmiałem podnieść oczu, pewny, że go ujrzę na krzyżu; a niewiedziałem sam, czy mnie przejmuje żal srogi nad cierpieniem Jego, czyli też wdzięczna radość, że podjąć raczył, aby nam niebo otworzyć... Z miejsc, które Ewangelia święta mianuje, tak w Jerozolimie jak w okolicach, nie opuściłem żadnego, wszystkiem oglądał, ale te najbardziej, które się cudem wstawiły; wszystkiem zaś obchodził nie jazdą, ale pieszo. Widziałem w Betlejem miejsce, gdzie się urodziło Boskie Dzieciątko, a to miejsce, które Pan Bóg sobie obrać raczył na ten cud miłosierdzia i mnie dziwnie się upodobało; zbudowany tam jest kościół i kaplica wielkiej piękności. Byłem na górze Tabor, gdzie stało się Przemienienie Pańskie, byłem i na tej puszczy, gdzie Pan Chrystus lud siedmiorgiem chleba nakarmił. Największą miałem trudność w dostaniu się do wieczernika Pańskiego, gdyż poganie Turcy z tej świętej gospody zrobili meczet, ale przecież wszedłem i mogłem podziękować Bogu za ten dar cudowny, na tem samem miejscu, gdzie go postanowił. W kościele grobu Pańskiego, czciłem owe kamienie, między którymi Boskie ciało leżało; widząc okropne zniszczenie tej przezacnej świątyni, zobowiązałem się za siebie i za następców moich, płacić wiecznemi czasy corocznie z sumy złożonej w Wenecyi, sto dwadzieścia

pięć czerwonych złotych; dałem także dwa wielkie kielichy szczerozłote, jeden tu, drugi do Betlejem, szczęśliwy, iż czemkolwiek przyłożyć się będę mógł do uczczenia i przechowania tych najdroższych pamiątek, które widząc w srogiem zaniedbaniu, serce się kraje w człowieku... O! na zupełne tych miejsc świętych podźwignienie, trzaby znowu drugiej Heleny cesarzowej, która w ziemi świętej do trzechset kościołów postawiła, trzaby nowej, a pomyślnej wojny krzyżowej, nowego Gotfreda Bulioniusza... Widziałem też w Jerozolimie grób jego i Baldwina; przypominałem sobie Tassa i brata waszego, który go tak pięknie przekłada, a przez pamięć owego króla rycerza i towarzyszków jego, zapragnąłem też i ja być uczynionym rycerzem grobu Pańskiego. Pasował mnie i sześciu tych co ze mną byli, Ojciec gwardyan Angelus Stella; pozwolił mi nosić krzyż i herby ś. Jerzego, patrona rycerzy i mianował mnie prowizorem generalnym. Przed ostatecznem rzuceniem Jerozolimy, poszliśmy na puszcę, gdzie ś. Jan Chrzciciel mieszkał i znużeni całodzienną podróżą, prosiliśmy o gościnność w klasztorze ś. Sabby, niedaleko ztamtąd będącym; przyjęli nas zakonnicy wielce uprzejmie i zabawne miałem zdarzenie. Kiedyśmy siedzieli przy stole jedząc skromną, a smaczną strawę, jam rozmawiał z memi sługami po polsku; aż tu jeden z mnichów odezwał się tym językiem wcale dobrze i opowiadać nam zaczął, że przed laty bywał w Litwie; pytał o różnych panów, a między innemi o księcia Radziwiłła co go Sierotką zwano, którego znał młodzieniaszkiem; — ale Wasza Miłość — dodał obracając się ku mnie — zapewne tam tak wysokich nie masz znajomości. — Jam mu odpowiadał na wszystko i na to odpowiedziałem, nie wydając się wcale, cieszyło mnie bowiem kiedy mnie za prostego człowieka

brano; słodko mi było uniąć się na tej ziemi, gdzie Zbawiciel nasz tak się uniął.

— Ósmego lipca zaczęliśmy się wybierać ostatecznie z Jerozolimy, lubo mi żal było rzucić owo miasto na zawsze. Poszedłem sam do kadego, żeby mi przydał straż na drogę; choć Turek, okazał się dobry człowiek i co rzecz osobliwa nie łakomy. Bo trzeba wiedzieć, że na owych wszystkich świętych miejscach, jakby dla pamięci, że w rękę są pogan, wszędzie srodze okupować się trzeba. — Nająwszy muły i osły wyjechałem dziewiątego lipca z Jerozolimy; uwoziłem z sobą drogie pamiątki, i relikwie i spory kawałek słupa porfirowego, przy którym Pan nasz Jezus Chrystus biczowany był; własną ręką udało mi się ułupać. Nie brakło nam przez długi czas miejsc świętych do nawiedzania po drodze; byliśmy w Emaus, w Jope i jeszcze w kilku. W Jope pamiętam, miły traf mi się nadarzył. Spotkałem biskupa katolickiego, któremu Turcy zagrabili wiezione z Egiptu różne rzeczy; bardzo rozpaczał nieborak; jam je zakupił potajemnie wszystkie od Turków i kazałem mu oddać, nic mu nie powiadając, skąd; on też sobie wystawił, że pogan sumienie choć raz ruszyło, i jam go zostawił w tym obłędzie. — Z Jope wyjechawszy, bawiłem kilka dni w Tripoli, nagradzając sobie pierwszy krótki pobyt w tem mieście; trzydziestego lipca nająwszy dżermę, statek dosyć duży, wziąłem z sobą janczara Achmeta, który dobrze słowiański język umiał i popłynąłem do Egiptu. Najprzód, dobiliśmy do Cypru, gdzie miło mi było, znowu się znaleźć i wypocząć; tym razem zajęła mnie mocno na owej wyspie uprawa bawełny i bardzo mi smakowały wina tameczne czerwone, szkoda jeno, że zbyt tęgie, nie można ich pić do woli. — Z Cypru płynąc do Damiety, dozna-

liśmy zupełnej ciszy morskiej; jest to rzecz prawie równie okropna jak burza, zdaje ci się jakoby wszystko koło ciebie skamieniało, umarło i ty tak skamienieć i umrzeć będziesz musiał. — Za gorącemi modłami naszemi powstała z martwych natura, rozdał żagle wiatr pożądany i ósmego sierpnia wpłynęliśmy we wrota Nilu, a w godzinę później w przystań Damiety. Ztamtąd mniejszą dżermą puściliśmy się Nilem do Kairu. Nieustannej przez tę drogę musieliśmy używać baczności, gdyż pełno tam jest rozbójników nurków, którzy wyskoczywszy z pod wody, niespodzianie napadają przejeżdżających, odbierając im chudobę, a często i życie. Tak są wprawni ci łotrowie, iż po kilka godzin pod wodą wytrwać mogą. Długo przed Kairem ujrzelśmy owe sławne piramidy Egipskie, dawnych żydów — jak mówią niektórzy — ciężka i opłakana robota. Skorośmy przyłądowali do miasta, Turcy przemytnicy rzucili się na nas, myśląc, że towary mamy; między nimi był żyd; skoro usłyszał moją służbę mówiącą między sobą, zagadał do niej po polsku: odkryło się, że jest rodem z Chełmna, że dziwnym sposobem się tu dostał i zamieszkał; i pókim tylko bawił w Kairze, służył mi gorliwie, a natrętnie, jak to i nasze żydki umieją. Z porady konsula francuskiego, męża wielce zacnego, najałem sobie w Kairze gospodę i pomieszkałem czas jakiś. To miasto większe jest trzy razy od Paryża, lecz nie tak porządnie osadzone i murowane; powiadali mi jednak, że ma domów do dwóch kroć sto tysięcy, a samych meczetów blisko siedm tysięcy, a samych żydów półtora miliona. Krajowcy Egipcyanie są oracze, gospodarze i rzemieślnicy, Turcy urzędnicy, żydzi i murzyni kupcy, a Arabowie rozbójnicy. Murzynów atoli mają za najgorszych, potomstwo to Chamowe bez

wątpliwości żadnej; tak są okrutni, źli i zepsuci i tak nieufni względem siebie, że mąż żony, pan sługi na noc zamyka, bojąc się być od nich zabitym, a ojciec z dorosłymi synami jeno na ulicy rozmawia, w dom ich nie wpuszczając.

Z owej wielkiej ludności Egipskiej ledwie trzecia część ma zdrowe oczy; reszta wszystka choruje i prawie ślepa, a to dla wielkiego gorąca i kurzu. Okropne, niesłychane tam panują upały; wzdychałem za naszemi litewskimi mrozami. We dnie piasek tak bywa rozpalony, iżem ja, choć w trzewikach, ledwie przez pacierz wytrwać mógł ogniu takiemu, krajowcy zaś bossemi nogami chodzą. Ośm tysięcy wielbłądów, każdy z dwiema beczkami skórzanemi, wnosi codzień wodę do Kairu; czego ludzie nie potrzebują leją na ulice, ale to mało co wielkiemu kurzowi zapobiega. Przecież ta kraina żywności jest pełna; winna to dobrodziejstwom Nilu: owa rzeka oczywistym jest dowodem opatrności Boskiej i przemyśłu ludzkiego; napatrzeć jej się i nadziwować dosyć nie mogłem, ile żem był świadkiem dorocznego otwarcia grobli Nilowych, co jest rzeczą prawie cudowną. Lecz cały ten kraj wielce jest ciekawy, zwiedziłem go ilem mógł; ta jedna szkoda, że ludzie źli, zbójów i złodziei siła, i wielu w ciężkiej niewoli żyć musi. Kilku tych nieszczęśliwych wykupiłem, rad byłbym wszystkim to uczynił, choćby na pokazanie tym pogańcom czego to uczy nauka Chrystusa, i nieraz płakałem iżem tego dokazać nie miał mocy. Wydało się też pieniędzy dosyć na różne ciekawości; zwierząt żywych nawiozłem, koziorożców, lampartów, kota, który piżmo czyni, dwa szczurki Faraonowe i inne zwierzątka rzadkie, jako i ptactwo, papugi zwłaszcza cudne; zakupiłem też i mumii kilka; jużem to

wszystko posłał prostszą drogą do Nieświeża, i podobno nie jedna z tych oszalełości pierwszy raz w naszym kraju będzie widziana.

— Zabawiwszy dwa miesiące w Egipcie, żaląc się nieraz w duszy nad tem, iż tak wiele ludzi Chrystusa nie zna, dziewiątego października wsiadłem na nawę Francuską, Saicyą zwaną i ruszyłem z Aleksandryi. W drodze i od żywiołów i od ludzi mieliśmy strachu nie mało. W czasie wielkiej burzy, moim mumiom przyszło na koniec; przesąd jest głęboki między żeglarzami, iż okręt co mumią wiezie utonąć musi, dopatrzyli moich i musiałem wrzucić je w morze. Ściagała nas też i Turecka armada, która gdy kogo potka, w niewolę bierze. Lecz dozwolił Bóg miłosierny, uprosiła Matka Najświętsza, iżeśmy uszli tego nieszczęścia i przypłynęliśmy do Kandyi. Tam gościłem aż czternaście niedziel, a lubo z wielką ludzkością przyjmowany, lubom odbierał cześć tak bardzo wielką, iżem jej sam unikał, a przecież tak wyglądałem chciwie sposobności po popłynieniu do Wenecyi. Już mi strasznie było tęskno do ojczyzny, i już mnie bawiło, to co mogłem widzieć ciekawego. Nareszcie przypłynęła nawa, a w niej dwóch Polaków, z których jeden Piotr Broniewski przywoził mi list g dejtowy od króla naszego, u cesarza Amurata wyrobiony. Powitałem ich jak Zbawców, ile że mi zdrowie nie służyło: trapiła mnie mocno febra z kaszlem. Szlachcic jeden handlujący oliwą, miał mnie zabrać na swą galerę, ale iż się bardzo niesporo wybierał, upatrzyłem sobie inną, niedawno przybyłą, Lorenza Prynla, i w imię Boże wypłynęliśmy z wyspy Kandyi, czwartego lutego bieżącego roku.

— Po szczęśliwej żegludze stanęliśmy na ziemi Włoskiej i zdało mi się, żem własny kraj powitał. Nie był

to jednak koniec utrapień moich. Jadąc z Baru — gdzieś widział ciało starej królowej, które leży w zakrystyi niepochowane, a wierzchnia warga już się psuć zaczyna — jadąc z Baru, mówię, napadli nas zbójcy pod hetmanem Jakóblem de Montebando, bo tam i szlachta tem pięknem rzemiosłem się bawi, a chcąc ująć ich napaści, trzeba mieć znajomość albo z nimi albo z ich krewnymi. Napadli mnie tedy; bronić się im ani nie było podobieństwa; zabrali mi pieniądze i kosztowności jakie miałem przy sobie, obrali mnie z kosztownych sukien, dobrze, com ze służbą z życiem uszedł. Po tej przygodzie i innych, które już pomijam, tak byłem zmieniony i do siebie niepodobien, iż przyjechawszy do Ankony, gdym się stawił przed rządcą miasta wziął mnie za oszusta i za łotra, choćem mu listy papieżkie i naszego Miłościwego Pana glejt turecki ukazywał, nie pomogło, niechciał żadnem prawem uznać księcia w podartych sukniach, nie chciał dać żadnej pomocy, i pewny był, że ja z ludźmi memi okradłem a może i zabiłem prawdziwego Radziwiłła i teraz samozwańcem się czynię. — Ledwie sprzedawszy kilka kosztowności, które rąk zbójceckich cudem uszły, zdołałem najać wóz czterokonny, i pojechałem do Ferrary, gdzie odprawiłem wielkotygodniowe nabożeństwo; we wtorek wielkanocny przybyłem do Wenecyi, a padłszy na kolana, w kościele grobu Pańskiego, dziękowałem Matce Najświętszej za powrót szczęśliwy. Tam wkrótce przybyła ta część służby mojej, ze świętami a drogiemi zabytkami, którąm był w Tripoli osobną nawą wyprawił; chorzałem czas jakiś w Wenecyi, i leczyć się musiałem, nareszcie trzeciego maja puściłem się do kochanej ojczyzny przez Trydent, a Dunajem do Wiednia; zkąd wyjechawszy przed dziesięciu

dniami, oto tu dziś jestem, a skoro służba moja nadjedzie, ruszam dniem i nocą do Grodna, podziękować Miłościwemu Panu; dobę tam jedną zabawię a potem jak najprędzej pospieszę do mego Nieświeża, zkąd mnie chyba jaka nowa wojna, usługa Rzeczypospolitej, lub rozkaz królewski poruszy. Tyle świata zwiedziwszy nie rzucę dobrowolnie gniazda swego, ani póki życia za granicę Polski nie wyjadę. Dobrze jest podróżować, zbawiennie święte odbywać peregrynacye, ale odbywszy je, trzeba, ziarno zebrane daleko we własnej ziemi zasiał i pielęgnować. Dobrze jest ciekawości niewidzianych nazwozić, ale jeszcze lepiej przywieść skarb myśli zamiarów użytecznych, i do skutku je doprowadzić. Ja com jedno widział dobrego w oświeceńszych krajach, wszystko to chcę w moich dobrach naśladować. Będę włości lepiej urządzał i ozdabiał żeby przecież znać było, żem zjeździł Włochy, Francją, Niemcy; będę zakładał nie tylko same kościoły, ale i szpitale, szkoły, domy dla ubogich sierót, w dowód, że przybywam z ziemi świętej, żem się rozmiłował w Zbawicielu, który wszystkie niemoce leczył i dziećmi przychodzić do siebie kazał. Dał mi Bóg dostatek chleba, abym i sam pożywał i swoim udzielał; niech mnie nie zowią Radziwiłł, ale Rad-żywiłł, a zwłaszcza ubogich i potrzebujących. Muszę także podać do druku opis peregrynacyi mojej. Chciałbym takim sposobem w dojrzałym wieku moim spełnić wróżby, które Wasza Miłość o małym chłopięciu składałaś; już się bywało »straszliwym w boju« teraz być należy »u swoich wdzięcznym i miłym w pokoju«.

Łatwo wystawić sobie jak szczerze i serdecznie Kochanowski podpierał i chwalił owe piękne zamysły, jak mu było błogo, że wierszyk jego utkwiał tak silnie w pa-

mięci, a raczej w sercu księcia. Gdy służba nadjechała, rozstać im się przyszło z przykrością: poeta obiecał na rok przyszły zajechać do Nieświeża a księżę nie odjechał, póki — z owego tłumoczka, który z sobą był przydźwigał — nie dobył różnych świętych kosztowności i nie obdzielił niemi całą rodzinę. Ludwinie jednak dostało się najwięcej, a między innemi flaszeczka poświęconej wody z Jordanu, i piękny turkusowy różaniec, przez samego papieża pobłogosławiony. Modliła się też rzewnie dziewica za pobożnego księcia, i Bóg wysłuchał tej prośby, gdyż Krzysztof Mikołaj Radziwiłł żył długo i szczęśliwie, spełnił wszystko co zamierzał, na chwalebłą pamięć zasłużył, i może niema u nas dotąd z owych czasów więcej popularnego imienia nad *księcia Sierotki*.

ROZDZIAŁ XXI.

A to węzeł jest mocny i nad inne trwały,
Który pięknej pamięci córki zawiązały.
Księga IV. pieśń XXII.

Parę tygodni upłynęło od odwiedzin księcia Sierotki, i od tej chwili ciężkie panowały upały i zupełna susza, rosy nawet skąpo było; słońce jasne i gorące nie zakryte nigdy cieniem dobroczynnego obłoku królowało samowładnie na czystym błękitcie, a w podobieństwie do znużonego i opuszczonego despoty kładło się zwolna krwawe i bez promieni, i wstawało smutne. Stosownie do słów naszego poety: »ziemia spiekła się prawie na popiół, świata nie znać w kurzawie, rzeki dnem uciekały, a zagorzałe zioła wołały dżdżu z nieba«. Kochanowski krwisty z natury

swojej i do bólu głowy skłonny, cierpiał mocnej jeszcze niż ktobądź inny, na owym afrykańskim spieku; często jakby z sił opadł, i do żadnej pracy nie był sposobny; upewniał, że Muza jego wyschła wraz z sadzawkami domowemi: przecież jednego poranku przejęty widokiem ogólnego cierpienia, wznosił umysł swój tam, z kąd naj-
snadniej przyjść może ratunek i natchnienie, i złożył następującą modlitwę:

Wszego dobrego dawco i szafarzu wieczny!
Tobie ziemia spalona przez ogień słoneczny
Modli się dżdżu, i smętne zioła pochylone,
I nadzieja oraczów, zboża upragnione.
Ściśnij wilgotne chmury świętą ręką swoją
A one suchą ziemię i drzewa napoją
Ogniem zjęte. O! który z suchej skały zdroje
Niesłychane pobudzasz, okaż dary swoje!
Ty nocną rosę spuszczasz, Ty dostatkiem hojnym
Żywej wody dodawasz rzekom niespokojnym;
Ty przepaści nasycasz i łakome morze
Zkąd gwiazdy żywność mają i ogniste zorze.
Kiedy Ty chcesz wszystkim świat powodzią zatonic,
A kiedy chcesz od ognia jako pióro płonie.

W wieczór przy wspólnych pacierzach, Kochanowski powtórzył rzewliwie modlitwę swoją z dziećmi i z cze-
ladką, i zaraz nazajutrz, jak gdyby w rychły skutek tych prośb wszystko od rana zaczęło wróżyć zmianę powietrza i deszcz nieochybny: kury piałły w niezwy-
czajnym czasie, gęsi kąpały się w stawie, jaskółki latały nisko i trwożliwie, kot się mył siedząc na ganku, muchy nad obyczaj dokuczały, sól zwilgotniała, Nastkę darło okrutnie po nogach. Jakoż, w rzeczy samej koło połu-
dnia zaczęły się zbierać chmury; wychodziły jedne za drugą ze wszech stron, a coraz czarniejsze jakby goście

wezvani na stypę; zeszło się ich tyle, iż zdawać się mogło, że miejsca im braknie w przestrzeni, a przeciążone niemi niebo spuści się na ziemię jak namiot; dzień oblókł się prawie zupełnie w noc, lecz wnet błyskawice rozjaśniać zaczęły tę ciemność; ozwały się dalekie, niemal ciągłe grzmoty i zagroziła wielka, straszliwa burza, a Kochanowskiego mimowolnie strach tajemny przeszedł, czy on nie nadto naprzykrzał się Bogu, i czy ukaranym nie będzie — jak się to często człowiekowi zdarza — samem wysłuchaniem próśb jakie składał.

W owym czasie nie tylko nie znane jeszcze były konduktory, ale mało kto wiedział naturalną przyczynę grzmotów i piorunu; uważano je niemal powszechnie jako dowód gniewu Boskiego. »Pan zagrzmiął niebem! — mówiono — piorun, to słowo jego karzące; zemsta pańska pobudza okrutne na powietrzu trwogi!« — Jednak mimo tego przekonania może mniej było rzetelnej, szkodzącej zdrowiu bojaźni grzmotów, niż dziś. Ten sam Bóg co straszyl, ten i cieszył, z jednej ręki trwoga i uspokojenie spływały, chwila walki żywiołów była chwilą uroczystą, religijną; było to, że tak powiem, święto domowe, do obchodzenia którego miano osobne obrzędy i modlitwy, o którym przez cały ciąg roku myślano. Najprzód, z początkiem wiosny, w dzień św. Marka ewangelisty, odbywała się w każdej parafii procesya w polu, już to dla uproszenia urodzajów, już dla odwrócenia szkodliwych gromów i gradów; prócz tego, pobożna gospodyni, w wigilią Bożego ciała składała wianki z ziół na ołtarzu, któremi potem w czasie burzy dom cały okadzała, gospodarz w oktawę tegoż święta zakopywał w czterech rogach włości swojej cztery ewangelie, nareszcie w dzień oczyszczenia Najświętszej Panny, wśród srogiej

jeszcze zimy, każdy niósł z kościoła do domu poświęcaną świecę, *gromnicą* nazwaną, gdyż przeznaczeniem jej było, oświecać izbę bladem ale łagodnym i jednostajnym światłem, wtedy, kiedy na dworze ogniste a przemienne błyskawice rozparły chmury i raziły oczy jaskrawym swym blaskiem.

I w pobożnym Czarnolesie wszystkie te środki bezpieczeństwa i ochrony, i inne jeszcze wiernie były opatrywane i wypełniane. Skoro w letniej porze spostrzeżono już zbliżającą się burzę, cała dużyna w cichej modlitwie podnosiła serce do Tego, który i gromu nie potrzebuje, ażeby w każdej chwili pozbawić nas życia, bo śmierć i żywot w jego jest ręku. Za każdą błyskawicą widać było pobożne głów nachylenie i słycać święte wyrazy: »A Słowo stało się Ciałem, i mieszkało między nami«. Kochanowska zapaliwszy gromnicę i okadziwszy dom cały poświęconemi wiankami, wychodziła przed ganek, a biorąc w rękę najszacowniejszą że wszystkich relikwii — szczątek drzewa z owego krzyża, na którym wisiało Zbawienie ludzkie — żegnała nadchodzącą chmurę wzywając miłosiernego Boga, aby ją odwrócić raczył od mieszkań człowieka, a puścił na bory, na lasy, na miejsca niedostępne; Ludwina zaś uzbrojona w dzwonek loretański — który Kochanowski niegdyś z samego Loretu przysłał był matce swojej — odziana w płaszczyk fiałkowy jedwabny, już z umysłu do tego sporządzony, obiegała po trzy razy dwór i gospodarskie zabudowania, błagając z pokorą opieki Boga Rodzicy nad niemi. Nie raz już chmury rześystem deszczem lunęły, pioruny latały jak strzały ogniste, wiatr dał gwałtowny, dziewczeczka ufną w obronę Tej, która światu wszystkiemu jest obroną i ucieczką, w oczach której, czystość i niewinność nieporównaną ma cenę, spełniała swoje posłannictwo bez

żadnej trwogi, a ktokolwiek z domowych, lub z włościan ją spostrzegł, albo jej dzwonek posłyszał, nabierał pewnej otuchy, że nic złego w całym Czarnolesie się nie stanie, skoro święta panienka czuwa nad nim i poleca go Bogu. Nareszcie jeżeli srogość burzy nie uśmierzała się i coraz mniejszy był przedział czasu między błyskawicą i hukiem, wypędzano z domu wszystkie psy i koty, wszystkie nieme stworzenia, a ktokolwiek miał mowę i głos, wszyscy panowie i słudzy, starzy i dzieci klękali przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, i śpiewali powtarzając prośbę każdą po trzy razy, ów hymn potężny jeszcze od św. Ambrożego w pierwszych wiekach kościoła ułożony, a który u nas oddawna narodowym się stał:

Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny! Zmiłuj się
[nad nami!

Od powietrza, głodu, ognia, wojny i niewoli! Wybaw nas Panie!
Od nagłej i niespodziewanej śmierci! Zachowaj nas Panie!

My grzeszni Ciebie Boga prosimy! Wysłuchaj nas Panie!

Abyś nas do prawdziwej pokuty przyprowadzić raczył! Prosimy
[Cię Panie!

Abyś karanie Twoje od nas oddalić raczył! Prosimy Cię Panie!

I dnia, o którym mówimy, wszystko podobnie się odbyło w domu Czarnoleskim, a mimo trwożliwych przeczuć Kochanowskiego, mimo nadzwyczajnej srogości burzy, żadna szkoda się nie stała; uderzyło wprawdzie kilka piorunów niedaleko, ale dwa wpadły w staw Dzbukiem zwany, a jeden rozdarł na dwoje starą wieżbę przy drodze stojącą; deszcz zaś, który padał rześisty przez godzin kilka, ożywił całą naturę, ochłodził powietrze, opłukał, odświeżył ziemię. Miły to był widok patrzeć jak wszystko się budzi, powstaje, uśmiecha prawie i dziękczy-

nienia wznosi, Kochanowski nasycić się nim nie mógł: — Tak będzie z stęsknionem sercem mojem — mówił w sobie — skoro mój Jakób powróci, a zdrowiem swoim mnie rozweseli, i o długim życiu upewni. — I chodził po ogrodzie i po sadzie, od kwiatka do kwiatka, od drzewa do drzewa, radując się nad każdym, winszując każdemu. Ledwie go żona zwołać potrafiła do wieczerzy, chociaż dobrze miarkował po wolnej głowie, po lekkości i rześkości całego ciała, że lepiej dziś jeść będzie, niż we wszystkie dni poprzednie. Jakoż jadł smaczno, ile że cała wieczerza była na zimno: chłodnik litewski ze śmietaną, z ogórkami, z rakami i z boćwiną, pieczeń cieleca, szynka, ser, jagody, owoce świeże i w cukrze.

Kiedy tak Czarnoleski gospodarz z drużyną swoją ochoczo dar Boży pożywał rozmawiając mile o minionem niebezpieczeństwie, i o tym nowym dowodzie Opatrzności nad niemi, wjechał człowiek obcy konno na podwórze, a wnet jeden z domowych pacholików wszedł do izby i oddał panu list. — Umyślny z nim przyjechał — rzekł — uwiązał konia u żelaznego kółka i powiedział, że czekać będzie na odpowiedź.

— Doroto! — zawołała Kochanowska, która już używać zaczynała córki średniej do ważniejszych posług — ukrój chleba, i wynieś mu; widać sługa jakiś.

Wstała Dorota żwawo, a ojciec powiedział: — Raczaj go do kuchni zaprowadzić i dać mu wieczerzę; jak widzę na kopercie domagają się odemnie odpowiedzi na piśmie, to czas zajmie: ile że najadłszy się, wcale mi się nie chce iść na górę i pisać.

A otworzywszy list i przeczytawszy go, zawołał: O! niespodzianie chcą mnie zajechać i uczcić.

— Któż taki? — spytały się córki i żona.

— Bracia w Apolinie — odpowiedział z uśmiechem. W Babinie, w owej wesolej — jak wiecie — a nie zbyt dalekiej od nas rzeczypospolitej, zjechało się na sejm doroczny, czy też z innej jakowejś okoliczności dziewięciu mężów piszących wierszem, lubo i proza nie jest im obcą. Tych tedy dziewięciu poetów, a jak piszą sami, te dziewięć Muz w żupanach, szukają sobie Feba z wąsami, i chcą tu niedalej jak pojutrze na obiad zjechać i ruszyć z Bogiem przed wieczorem. Pytają się czy pani wojska nie ulęknie się tej napaści?

— Dziewięciu mężów piszących! — przebaknęła — wielki Boże! cóż to będzie mądrości!

— Ja ich się tam nie boję — dopowiedziała Ewa — pewno żaden z nich nie mędrszy od was, panie ojcze?

Tego nie powiem — odrzekł Kochanowski — z niejednym mierzyć bym się nie śmiał, zwłaszcza po łacinie i w niewiązanej mowie?

— Czy to księża? — zagadnęła nieśmiało Ludwina, która nad ojca tylko duchownych widziała.

— Minęły już te czasy — odpowiedział — kiedy nauki były prawie wyłącznem przywilejem duchowieństwa; są przecież i dziś w naszej Polsce bardzo uczeni i wymowni księża, lecz między tymi co do nas się wybierają, dwóch jeno świętą sukienkę nosi.

— Powiedźcież nam, panie mężu, jak się zowią, co za jedni, żebym naprzód wiedziała czy ich się mam lękać czy nie? może oni i byli już w naszym domu, boć do was każdy Polak sławny a mądry, czy pan czy szlachcic, czy duchowny czy świecki, prędzej czy później zajrzeć musi.

— Niektórzy nie byli jeszcze nigdy, drudzy zaś bywali. Starego pana Reja na przykład — że kolejną wieku

zacznę — nie znacie wcale; on się mi obiecuje od lat dwudziestu i dopiero teraz mu przyszło...

— Pana Reja! czy owego Reja z Nagłowic — krzyknęła Kochanowska — owego wyuzdanego szatana, jak go zwali u nas w klasztorze, owego opilcy, obżercy nieumiarkowanego? Toż on jeszcze żyje?... Jam sądziła co oddawna gdzie się zapił i zajadł... Nie godzi się przed nikim wrot zamykać, wołałabym jednak, żeby sobie był został w Babinie. To dla niego przyzwoite miejsce, tam mu być spowiednikiem, albo kaznodzieją...

— Zwolna, zwolna, nie sroźcie się tak, pani żono, nie unoscie się, upamiętał się on; za młodu do zbytku świeatek mu smakował, dziś dobiegł siódmego dziesiątka, broda i czupryna biała, to i statek przyszedł za starości szronem. Dużo też tego człowieka czernili, ba! i on sam siebie nie oszczędzał; prawda, co dawniej był sobie próżniak, warchoł, drugi nasz pan Franciszek nie przymierzając, bo go też rodzice kubek w kubek tak pieścili, jak pani Kasprowa swojego, a że mu Pan Bóg dał dowcip i rozum jak mało komu i pieniędzy dosyć, to jak nie nauczony puścił się między ludzi, zrobił się snadno z niego odstępca, rozpustnik; ale teraz, zapewniam was wcale on inny, mówią nawet niektórzy, że i katolikiem został; jeno sobie zawsze wolny żywot prowadzi bez pracy i urzędu, w domu, ani nigdzie miejsca nie zagrzeje i rad zjeżdża gdzie o biesiadzie posłyszycie. Je i pije, co się zmieści; jakem go widział w zeszłym roku u kanclerza w Knyszynie, silił się, żeby nas wszystkich młodszych przetrzymać i dokazał swego, bo znacie, jak to niejedyn szlachcic ma sobie za chlubę wepchać i nalać w siebie za dziesięciu chłopów; prawdziwie zwierzęca chluba!

Boć szkoda zwać człowiekiem co bydłeco żyje... *)

A co prawie równie nagannie zawsze takowi ludzie chwalców i dziwowidzów znajdują...

— Co o jadło i o napój to najmniejsza — przeważa tu pani wojska — pociechę owszem dla gospodyni widzieć gości zajadających smaczno, ale nie będzie on obrażał uszu naszych dziewcząt, nie będzie przeciw wierze świętej bluźnił?

— A pamiętacie »Żywot człowieka poczciwego« — zapytał się tu Kochanowski — który wam nieraz czytuję zimowemi wieczorami i tak rade słuchacie tej księgi.

— Pamiętamy — ozwały się wszystkie.

— Wszak on go napisał, a jestże tam co gorszego? przeciwnie najzbawienniejsze nauki i przykłady, a w niejednym miejscu, jakby iskry wyższego światła. Otóż stary Rej im starszy, tem pilniej się wpatruje sam w to swoje *Zwierciadło* i radby w niem własne podobieństwo upatrywał. Jeśli chcecie, jest on sobie wesół i rubaszny, liche wiersze i grube żarty sypią mu się z ust gdyby z rękawa; przy stole trudno by w nim mędrca dopatrzeć, niema jednak w jego rozmowie wiele co gorszego niż w rozmowie naszej pospolitej szlachty. Bo choć on z jakie pół kopy ksiąg napisał i jest pisarzem u nas najwięcej czytany, choć na zawsze należeć mu się będzie ta chwała, iż pierwszy zaczął pisać czystą polską mową i o takich rzeczach, o jakich dotąd żaden człowiek świecki pisać się nie poważył, jest on sobie prosty szlachcic całą gębą. — Co do mnie, mam dla niego wdzięczność osobistą, on pierwszy moje wiersze polskie publicznie pochwalił. Młody jeszcze i mało komu znany, przysła-

*) I. 19.

łem był z Włoch pieśń jedną; na wielkiem zgromadzeniu czytano ją i czytano obojętnie, dopiero obecny tamże Rej wziął ją, rozebrał, pochwalił i wróżył, że go daleko w poezyi wyprzedzę...

— Jeśli tak, niechże przyjedzie, rada mu będę z duszy — upewniła Kochanowska — a inniż?

— Najznakomitszy majątkiem, godnościami, układnością, a może i nauką, to mój dawny współpracownik w królewskiej komorze, Łukasz Górnicki, starosta Tykociński...

— Ten co »Dworzanina polskiego« napisał?

— Ten sam i rzec można śmiało, że był i jest żywym dzieła swego wizerunkiem; od śmierci nieboszczyka króla mieszka on na wsi z żoną i dziećmi i wiele rzeczy po łacinie i po polsku, wierszem i prozą napisał i pisze, ale podawać ich do druku nie śmie, bojąc się obrazić. Starszy on odemnie z jaki dziesiątek lat, lecz dobrze się trzyma i dworskiej grzeczności wcale nie zaniechał...

— Ja wiem, ja go znam — przerwała Kochanowska — był przecież w naszym Czarnolesie, temu lat trzy, kiedy to dziewczeczki nasze i sąsiedzkie przedstawiały wasze Sobótki; był wtedy i ten poeta z Lublina, co ma złą żonę, zły urząd, ale gładko pisze, choć czasem złośliwie; ten co *Flisa* ułożył i tak lubi wszystkim prawdę mówić...

— Sebastyan Klonowicz — dopowiedział Kochanowski — przyjedzie i on. Ja wysoko cenię tego poetę, choć nieborak pod niefortunną gwiazdą się rodził; zawsze krucho koło niego, zaniedbany, narzekający i wcale dać sobie rady na świecie nie umie. Drugi także pisarz nieszczęśliwy — ale podobno w jego skargach więcej jest udania, niż prawdy — to ksiądz kanonik Strykowski, kroniki polskiej i litewskiej autor, wielki bywalec i doświadczony człowiek, żołnierz, wędrownik, a nareszcie ka-

płan. Ostrzegam was dziewczki moje, żebyście się, broń Boże, z niego nie roześmiały. Jemu się trafił dziwny przypadek w dzieciństwie: wpadł w wodę, wyciągniono go jako umarłego i już chować miano do grobu. W tem huk dzwónów obudził go, powstał, ozdrowiał, z wielką rodziców pociechą i żyje dotąd, lat już temu czterdzieści; wszakże od tego czasu bardzo się jąka. Każde kalectwo i ułomność każda od Boga są, równie jak wdzięki i uroda, kto tedy z nich urąga, Boga obraża. Ale ksiądz Maciej nie dlatego nieszczęśliwy, że jest nierychłego języka, tylko dlatego, że ma wiele zarozumiałości i że go opanowała chęć wierszowania, a talentu Feb nie dał. — Wielce też przekładam nad niego Bielskiego Joachima, którego podpis także tu widzę; gdy on dopełni i poprawi pracę ojca swego Marcina i wyda ją kiedy, dopiero będziemy mieli kronikę polską po polsku: a obok zalet pisarskich ileż on liczy cnót jako człowiek...

— Ja go znam dawniej niżli was, panie mężu — on się ożenił z Borzechowską moją powinowatą i odwiedzali mnie jeszcze w klasztorze; prawda, lepszego syna szukałby na próżno ze świecą; sama Bielska mi mówiła, że to on tę całą kronikę polską wypracował i chce koniecznie udać ją za ojcowską, bo stary Bielski był o kacerstwo posądzony i jego kronikę świata katolicy źle przyjęli; syn radby tem drugim dziełem plamę pierwotnego zmazać. I mąż i ojciec dobry!...

— Nie dałabyś pewno takich pochwał, Hanno moja — przerwał tu Kochanowski — panu Bartoszowi Paprockiemu, który także ma nas obecnością swoją uraczyć, z czego bym go chętnie pokwitował. Pracowity i obfity pisarz, ani słowa przeciw temu; o czem mało komu jeszcze u nas się śniło, zbiera z mozołem piątą czyli herby

szlacheckie, chcąc o wszystkich znaczniejszych rodzinach polskich wspomnieć; objechał w tym celu Litwę i Koronę, zwertował publiczne, klasztorne, domowe archiwa, ale cóż kiedy w tym człowieku rzetelności niema, a jest chciwość, próżność, żółć; ożenił się jedynie dla pieniędzy i dla imienia ze złą i ze starą białogłową: już oddawna owdowiał, a jeszcze na całą pleć obelgi miota, a co gorsza wielkie jest o nim podejrzenie, że się zaprzedał nieprzyjaciółom kanclerza...

— Gdyby tak było nie przyjeżdżałby do Czarnolasu — odezwała się Ewa, — musi przecie wiedzieć ile wy, ojcze, kanclerzowi sprzyjacie?

— Alboż to ludzie na świecie ułożyć się nie umieją, — odpowiedział Kochanowski — on mi tu gotów z jakim pochlebstwem w oczy wyjechać, lubo wiem dowodnie, że mnie nie lubi. Lecz kto jest przyjacielem kanclerza i moim, o kim wiem, że pani wojska rada mu będzie, to o pewnym młodzieńcu, nie starszy od pana Filipa, uroda rzadka i dowcip, a skromność większa nad te wszystkie zalety...

— Zgaduję, zgaduję — zawołała Kochanowska śmiejąc się — Szymon Szymonowicz, co przy boku kanclerza bawi, listy mu czasem pisuje i wierszami swemi go broni, co tu był kilka razy z panem Andrzejem; prześladujcie mnie nim jako chcecie, ja zawsze będę mówiła, że jego poezye są mi do smaku, zaraz po waszych. Pamiętam tej zimy, słuchając jego sielanek, przy kominie w ciężki, a mglisty mróz, zdało mi się, że wiosna, żem w gaju, trzody i pasterzy widzę.... — Ależ jak sobie uważam — powiedziała jeszcze rachując na palcach — już do dziewięciu owych Muz w żupanach, dwóch jeno brakuje...

— Rybińskiego Jana i Stanisława Grochowskiego —

powiedział Kochanowski — młodzi oba nie wiele jeszcze prac swoich podali do druku, lecz zwłaszcza pierwszy już wytrawny poeta; jego wiersze zdają mi się dzielniejsze od moich, a i Grochowski lubo jeszcze bardzo młody, już dobrze pisze i niepospolitą posiada naukę; zwłaszcza od czasu jak księdzem został i do nabożnych wziął się rzeczy, wcale pięknie mu się udaje. Ludwinie smakowałyby jego wiersze — jaśnieje w nich czysta i słodka pobożność.

— Mój ojciec — przemówiła tu Ewa, która od początku tej rozmowy ściegu nie zrobiła w krosnach, tylko trzymając igłę nieruchomą patrzyła się w oczy Kochanowskiemu, iluż tam jest owych [mężów piszących w naszej Polsce, kiedy tak na raz dziewięciu wytrząsnąć można, a każdy według słów waszych ma swoje zalety?

— Moja dziewczeczko, nie skończyłbym ja do nocy, gdybym wam chciał wyliczać tych wszystkich, których nauką, zdatnością do wiersza, piękną wprawą w prozie, szczerzyć się nam godzi. Wiek dzisiejszy przeszedł wszelkie inne w tej mierze, wiek to prawdziwie ozdobny i wielki; mamy nie tylko grono ludzi znakomitych, Muzom przyjemnych, ale mamy i uczonych we wszystkich rodzajach: historyków, ludzi stanu, mowców, filozofów, lekarzy, astronomów, fizyków. Śmiało rzec mogę, dziś w żadnym kraju wyjąwszy Włochy, nauki nie stoją równie wysoko jak u nas; mamy trzysta drukarni rozrzuconych w ośmdziesięciu miastach, a każda ma robotę, a co najlepsza, język nasz ojczysty niedawno gruby i prosty w piśmie, sztukujący się czeskim, zostawiony białogłowom, dzieciom i domowym potrzebom, obecnie przeszedł wszystkie słowiańskie, wyścignął francuski, niemiecki i o mało co włoskiemu nie sprostą... Prawdziwie serce we mnie ro-

śnie, tajemna дума powstaje mi w duszy, kiedy wyprzedzając wieki posunę myśl w przyszłe czasy i niecielesnemi oczyma spojrzę na to, co będzie u nas za paręset lat. Do jakiej doskonałości dojdą wszelakie nauki? czem stanie się język, który w młodocianej dobie już męską okazuje dzielność i nieprzebrane odkrywa bogactwa. Ledwieśmy rozpoczęli pracę koło niego, a już się hojnie wywdzięcza. W tem nagłym, a skutecznym hodowaniu mowy polskiej, dank się należy nieboszczykowi królowi, on wspierał ją i zachęcał jak żaden jeszcze z monarchów; większy zaś jeszcze starej matce naszej, akademii krakowskiej: tam my się nauczyli po polsku i młodszy od nas pisarze, co zapewne nas przejdą, także są jej uczniami... — Lecz ja tu z wami, Bóg wie o czem bzdurzę, a zapominam, że człowiek czeka, koń retoryki słucha; wybaczcie mi panowie Babińscy, już idę na pokój i odpiszę wam jak najspieszniej, nawet wierszem, jeśli się uda. — Oni Apollina szukają — dodał list odczytując — przyznać się nie mogę do tej godności parnasowej. Raczej w ich gromadzie, gdzie i młodzieńców jest kilku, piękny Feb się mieści, mnie staremu i mieszkańcowi lasów, słuszniejby Chirona imię przystało. — A tak sobie mówiąc i śmiejąc się sam do siebie, poszedł wesoło i śpiesznie. — Pół godziny nie minęło, gdy już wrócił z odpisem i przeczytał go żonie. Był w tych słowach:

Jako Chiron ze dwojej natury złożony
Wzgórę człowiek, a nadół koń nie objeżdżony
Rad był kiedy przyjmował do swej leśnej szopy
Nauczonego syna pięknej Kalliopy,
Na on czas, gdy do Kalchów rycerze wybrani,
Pławili się przez morze po kożuch barani:
Równiem wam i ja tak rad, zacni Poetowie;
A jeśli u Chirona cni bohaterowie

Przyjmowali za wdzięczne wieczerę ubogą,
(Bo tam wszystka cześć była mleko z świnią nogą)
Nie gardźcie i wy tem, co dom ubogi niesie,
Bo jako Chiron takżeć i ja mieszkam w lesie.
Będzie ser, będzie szoldra, będą wonne śliwy;
Każecieli zagrać, i na tom ja cheiwy;
Owa prosto będziecie mieć ze mnie Chirona,
Tylko że ja nie włóczę za sobą ogona. ¹⁾

Śmiech pusty i serdeczny nie dozwolił odczytać wyraźnie ostatnich dwóch wierszy, wtórowały mu wesoło żona i córki; całe zaś pismo opieczętowane i zapisane: *Do Poetów*, oddane zostało posłańcowi z Babina. Gdy już pojechał, Kochanowski zaczął wypytywać się żony, czem przyjąć myśli tak zacnych gości? — Na tobie, moja Hanno podstawa rzeczy — powiedział — choćbym ja im zaśpiewał jak Horacy i Wirgili, jeśli będzie głodno i na sucho, nie pójdzie im w smak. Obiecałem im wprawdzie w moich rymach nie wiele, to, cośmy dziś na wieczerę mieli; ale i to może za nadto, bo kiedyśmy jedli, tośmy i zjedli.

— Wiecie przecież, panie mężu — odpowiedziała z lekką urazą — że ja Bogu dzięki resztkami nie gonię, owsa z pudeł nie wytrząsam, i nie spię do południa, bo są na grzędzie kury co nas budzą rano. Kiedyście wy odpowiedź waszą pisali, ja tu z dziewczętami radziłam o obiedzie. Jak wam się zdaje, byłby dobry taki: dwie polewki: jedna rosół krakowską kaszką zasypany, w którym będzie kura, wołowina, para jarząbków, korzeni i włoszczyzny jak najwięcej, druga: barszcz zabielany z rurą, z uszkami, z pieprzem i z kiełbasą. Właśnie zabilismy wczora wołu, a dziś każę cielę zabić; po-

¹⁾ Księgi IV. p. 29.

stawię wam na pierwsze danie mostkową sztukę mięsa z chrzanem i z ogórkami i pieczeń przekładaną z cebulą; będzie do tego kopa ogromnych raków i trzy misy jarzyn: groch cukrowy z marchwią, rzepka młoda z baraniną, i kapusta kwaśna z wędzonką, choć przeszłoroczna jeszcze całę dobra. Na drugie danie przyjdą potrawy: kapłony z kluskami, mostek cielęcy na białę z mózdzkiem, młode kaczkę z zielonym agrestem rumiano, tłuste prosię czarnym sosem podlane, zrazy z kaszą i flaki z szafranem po sandomiersku; pospolite jądło, ale wy je lubicie, to i ujdzie. Dalej nastąpi piecyste: dwie gęsi, dwa indyki, paw, pieczeń cielęca, zwierzyna, jaka teraz być może, a ponieważ kilku z owych panów jako i wy we Włoszech gościli, dam wam i trawy różne: sałatę głębiastą, rzerzuchę wodną, chmiel młody. Na czwarte i ostatnie uracę was słodyczami: będzie ciasto wysokie przekładane migdałami, posypane maczkiem, zaprawione piżmem, które ja sama upiekę: Ewa z Ludwiną zrobią piankę i fortele z ryżem... a Nastęce doskonale się zawsze udaje arkas i rosiata...

— Dobrze, wyśmienicie — zawołał uradowany Kochanowski — jedno znowu nie sadźcie się do zbytku pani żono; chędogo, obficie, smaczno, a z prosta, tegoć od nas żądać mają a nie więcej; wiedzą, że ja nie pan, że kasztelana w domu nie chciałem, żeby nie strwoził tego, co zebrał Kochanowski, wiedzą i to, że kucharza Balcera po nieboszczyku królu nie przyjąłem a Stanisławski dzisiejszym zajęty.

— I jać dobrze o tem wszystkim wiem, przecięż trzeba żeby było przyzwoicie i uczciwie, wszak prawda, panie mężu? Jutro skoro świt, wyślę Nastkę do Kazimierza; musi mi nakupić kilka rzeczy: muszkatowej

gałki i kwiatu; karuku, cukrowego maku różnej barwy i piżma...

— Bez tego by się obeszło, nie trzeba wydawać pieniędzy, apteki zbogacać...

— Nie dam jej też więcej nad sześć złotych na sprawunki, ale już tego nie żałujcie. Któż mnie to w pierwszym roku zameżcia nauczył owego przysłowia:» Przy gościach lepszy talar szkody niż szeląg wstydu?» — O napojach sami jak zwykle pomyślicie: już to wasza rzecz i Marcina. Co do porządku stołowego i co do usługi, można być spokojnym, starsze dziewczki nasze tego dojrzą, i ja też rzucę okiem. Zresztą, cóż mi to za wielka osobliwość, obiad, gdzie tylko jeden starosta i czternaście osób? Stary Zubek za nic sobie nie będzie miał tak małej liczby gości, boć więcej nas się nie zbierze, choćbym też i ja ze trzema córkami do stołu siadła; a — dobrze, co mnie na pamięć przyszło — miałam się was zapytać! Panie mężu, czy mamy zasiąść z wami? — Raczcież powiedzieć.

— Myślę sobie — odpowiedział po chwili milczenia — że mężczyźni u stołu, zawsze wolniejsi bez płci białej. Zasiądź przecież z nami ale z jedną Ewą, jako z pierworodną naszą i już narzeczoną; weźcie między siebie pana Reja, a obok, ty, pana starostę, ona księdza kanonika; i miła Hanno moja, — dodał z przymileniem — bądź gościom naszym rada jak to umiesz a pewno wszystko dobrze przyjmą. Atoli skoro zbyteczna wesołość nastąpi, odejdźcie pod jakim pozorem albo też i bez pozorów; wiecie, że skoro mężczyźni dobrze sobie podchmielą, płci białej dosiadywać z nimi nie wypada.

I tak stańło; Kochanowska zaraz nazajutrz zajęła się całym sercem, całą przytomnością umysłu — jak

zwyczaj miała przygotowaniem wszystkiego, na ucziwe podjęcie spodziewanych gości; nie nie ujęła z pierwszego planu obiadu, raczej dodała, dosypując do każdej potrawy korzeni i zapachów, znała ona bowiem obyczaje lepszych kuchni ówczesnych, znała męża swojego, iż on jakkolwiek o prostocie, o mierności i o oszczędności mówi i pisze, lubi przecież, żeby w jego domu wszystko było jak najlepiej, osobliwie przed osobami, które niemal wszystkie po dworach pańskich i królewskich bywały, za granicą gościły. Gdy już nadszedł dzieńznaczony, dzień dwudziesty drugi lipca, i zbliżało się południe, sama ze starszemi córkami dopilnowała urządzenia izby i zastawy stołu. Do fontanny z kurkiem w rogu, pod oknem będącej, nalano świeżej wody, i nagotowano wiązkę haftowanych ręczników koło ogromnej miednicy. Konieczne było albowiem wówczas — i dla słusznych przyczyn, jak się poniżej wykaże — mycie rąk przed jedzeniem i po jedzeniu, a liczba i piękność ręczników stanowiły część zasobu domowego, dowodząc oraz staranność i zręczność gospodyni. Na licznych dębowych pułkach, które jak wiemy — osłaniały ściany izby, w szafach olszowych za drewnianemi kratami śklniły się stojące stosami i rzędem talerze i misy cynowe, flaszki, konwie z uszami, czary, kubki, puhary, roztruhany; w kominie gdzie już przecie od trzech blisko niedziel ogień nie powstał — rozpierały się na ligarach dwie ogromne beczki wystawłego, dwurazowego piwa a opodal stał rząd beczulek i gąsiorków z miodem, z wiśniakiem, dereniakiem, maliniakiem i lekkim węgrzynem; piec cały otoczono butlami lepszego wina, lubo najszacowniejsze i wiekiem i smakiem, kryło się jeszcze w lochu, unikając ciepła izbowego. Stół jaworowy na nogach toczonych, długi a nie

szerszy nad dwa łokcie wysunięty został na sam środek; Kochanowska pokryć go kazała kobiercem, a potem nałożyła aż czterema obrusami z których najcieńszy a najmniejszy był na spodzie. Zwyczajem to było w porządniejszych domach zdejmować za każdym daniem spluskany obrus, a odkrywać świeży; żeby zaś plamy nie przesiąkały, pod każdą misę podścielano tak zwane miśniki, czyli »prawdy» okrągłe ze słomy; mniejsze zaś takowe miał każdy stołownik przy swoim talerzu dla oparcia srebrnej łyżki i żelaznego sztucca; odmiany bowiem sztucców za każdą potrawą nie znano wtedy, chyba na królewskich stołach, i srebrne widelce i noże nie były wcale upowszechnione; już to był znak dostatku domowego, kiedy się znalazły jak w Czarnolesie srebrne łyżki dla wszystkich; nie wszędzie nawet kładziono przed każdym sztuccę, nie były konieczne potrzebne, gdyż prawie każdy nosił z sobą własną łyżkę i nóż, i najchętniej niemi jadał. Już to przyznać należy, iż w owych czasach, kiedy tyle u nas jadano, porządek polskich stołów szlacheckich nie był wzorowy, myślano o tem co dać, a nie jak dać, usługa także nie była wcale wyszukana i trudna; pachołcy nie mieli prawie innej roboty jak stawiać i zbierać półmiski, nalewać kufle, kubki i szklanice, a w dzień ciepłe oganiać gości z much zawsze licznych i natrętnych. Nie jeden biesiadnik odbywał na jednym i tym samym talerzu cały obiad, choćby też z kilkunastu potraw złożony; kości podawał psom domowym, które wiernie u stołu pilnowały, a sosy i inne resztki zmiatał sobie chlebem. Kobiety jedne zawsze obyczajniejsze od mężczyzn, mniej i przyzwoiciej jadały, a podobno dopiero od królowych Francuzek i dam ich dworu, rozszedł się po naszym kraju zwyczaj

serwet dawniej zupełnie nie znany, i do którego nie jeden prostaczek długo nawyknąć nie mogąc, usiadłszy do porządnego stołu, kładł serwetę pod talerz, a usta obrusem obcierał. Dziś, na eleganckich stołach często zastawa przechodzi wartość jadła: dadzą jednego kapłona i dwie kuropatwy na dwanaście osób, ale jakże to wybornie urządzone, jak subtelnie pokrajane. Bez wątpienia, szlachcic polski z szesnastego wieku posłałby mieszkańcom piekła równie szczupły obiad, albo zjadłby sam co dla dwunastu zgotowano, lecz przyznać należy, iż jest w tym wstrzemięźliwym wykwincie jakaś cecha wyższości człowieka; już się nie pasie, nie rozpycha jak zwierzę, ale pożywa jako stworzenie z ciała i z duszy złożone, które je, bo musi, i tę konieczność zwierzęcą uszlachetnia ile może.

Ale wróćmy do naszych gości.

W dzień naznaczony, o umówionej godzinie zajęchali w dwóch sześciokonnych kolebkach — dostarczonych im przez pana Pszonkę dziedzica Babina — a w których już nie raz bujały się równie dojrzałe a wesołe dzieci. W głębi pierwszej aksamitem żółtym wybitej, w piękne kwiaty malowanej i dosyć suto złoconej, rozpierał się stary Rej zasypany i czerwony, w żupanie karmazynowym z adamaszku, spiętym na wielkie bursztynowe żołędzie, które przyszyte rzędem od szyi do nóg coraz prościej sterczały, gdyż okrągły brzuch pana z Nagłowic, bogatym pasem podparty, wystawał pewno na ćwierć łokcia dalej niż biała i długa jego broda. — Chociaż na takimże samem siedzeniu na przodzie trzy osoby siedziały wygodnie, koło Reja ledwie się wcisnął i to bowiem sam jeden Łukasz Górnicki także nie złej tuszy człowiek i latami poważny, ale jako dworak i by-

walec umiejący zajmować mało miejsca w potrzebie. Naprzeciwko tych dwóch mężów — których nawykliśmy wszyscy kłaść razem imiona i warzyć zasługi — siedziało tedy trzech; rozprawiali żwawo językiem i ramionami i jeśli nie ostremi słowy, to przynajmniej szerokimi rękawami, krajami ferezyi dotykali się często wzajemnie: był to Bielski, Paprocki, Strykowski; zaszła między niemi sprzeczka historyczna, każdy obstawał z zapalem za swoim zdaniem, mało słuchając argumentów drugiego; pan Joachim z przekonaniem, pan Bartosz hardo i obficie, a ksiądz kanonik szybko i namiętnie, tylko że czasem w największem uniesieniu więzło mu słowo w otwartych ustach, i dopiero po kilku sekundach, albo po silnem tupnięciu nogą w pokład powozu, wylatywało skwapliwie. W drugiej kolebce nierównie mniejszej i skromniejszej, także pięciu mężów się mieściło, prawda wszyscy szczupli, smagli, bo jeszcze młodzi, ale co dziwnego, najmłodszemu z pośrodku siebie tyle potrafili zostawić miejsca, iż żaden z nich nie dotykał się szerokiej jego kapy włoskiej z czarnego bławatu; zdawało się jakby mu tym sposobem jakąś cześć wyrządzić chcieli; jakoż suty złoty łańcuch, którym miał owiniętą szyję trzy razy i który do samego pasa mu spadał, coś cudziemskiego w całym układzie, oznaczały osobę znakomitą obcą, i ledwie obie kolebki zajechały na podwórze, młodzieniec ten wpadł zaraz w oko stojącemu w ganuku Kochanowskiemu, ile że mu był całkiem nieznanym, a twarz jego ściągła i blada, małemi tylko rumieńcami okraszona, żywe oczy czarne, czoło wysokie i przed czasem poorane okazywały umysł bystry i pracujący. — Jeszcze też Rej podnieść się i wygramolić z głębi kolebki swojej nie podążył — lubo mu pomagali Górnicki

i Bielski — kiedy po pierwszych słowach pozdrowienia wołał na głos śmiejąc się:

— Otóż panie wojski, kiedyście Apollinem być nie chcieli, i jedno wam stać na Chirona, przywozimy wam młodego Feba.

— Prawie że z nieba.

— Już on świat swoim geniuszem zadziwił, i imię Polskie daleko rozślawił, poeta uwieńczony, *Stanisław Niegoszewski*...

— A — odrzekł z widoczną radością Kochanowski — ów młody mędrzec, któremu uczony *Aldo Manucci* równego na całej ziemi nie widzi, co dziwem był Wenecyi, gdzie właśnie tej zimy tak nadzwyczajnie odbył posiedzenie. Zaszczyc dla mnie rzetelny mieć go pod moim dachem.

I podał rękę wysiadającemu młodzieńcowi, który uściśnawszy ją z uszanowaniem powiedział może z nieco udaną skromnością i w rzymskiej mowie: — Trąby sławy często są omylne, zwłaszcza gdy odgłos idzie z daleka; pragnąłbym jedynie Waszej Miłości kiedyś sprostać, i żyć w pamięci ludzkiej tak długo, jak Jan Kochanowski.

— Jeno wróć do ojczyzny, bracie, a pisz po polsku i po polsku rozprawiaj; Włochy bez naszego rozumu się obejdą, łacina też już od Horacego dojrzała i wyrobiona. Tak się odezwał najbliższy stojący młodzieńca i sam jeszcze młody, a po prawdzie tych słów i po zaniebanym ubiorze poznać było Klonowicza.

— Wejździeż do komnaty, panowie bracia — mówił gospodarz skończywszy powitania — niechże was przedstawię mojej Hannie i starszym córkom.

— To pani i paniątka w komnacie? — przerwał Rej — tam do licha, bracie;

Kiedy Jejmość w izbie bawi,
Gość się czystą słinką dławi.

— A biedny Mikołajek — dodał głaszcząc się po brzuchu — już od dwóch godzin nic nie dostał. Bo Wasza Miłość, która mnie pierwszy raz w życiu widzisz — powiedział jeszcze wchodząc do komnaty, u drzwi której stała Kochanowska ze starszemi córkami — może nie wiesz, że stary Rej nic nie umie, jedno czapkę zdjąć, dobry dzień dać i o jadło pytać.

— Godzisz się obmawiać siebie — odrzekła z uśmiechem gospodyni — w Żywocie człowieka poczciwego innego Reja poznałam i takiego tylko znać pragnę. A skłoniwszy mu się głową, witała innych gości w miarę, jak ich mąż mianował, wyrażając im po prostu ale uprzejmie szczerą radość, że tylu zacnych panów na raz w domu swoim przyjąć może. Córki kłaniały się także, otwierając wielkie oczy i nastawiając pilnie uszy, żeby i twarzy tylu sławnych osób się nauczyć, i jednego słowa z owych mądrych ust nie utracić. Kochanowski tymczasem obnaszał się z flaszą anyżówki i ze srebrnym kubkiem, zachęcając do różnych przekąsek, które na stole na farfurkach leżały, a Rej zapijając i zajadając smaczno powtarzał: — Przeglądzenie najwdzięczniejszy przysmak żołądkom naszym; wszystko mi się tu nektarem i ambrozyą być widzi.

— Bo i jest tak — wymówił dwornie Górnicki — czyż bogiń niema? — dodał wskazując na matkę i na córki. Rozmowa z początku na przysadny ton nastrojona szła dosyć kulawo, jak to zwykle na wstępie, kiedy wiele jest osób, a każdaby rada coś grzecznego i dowcipnego powiedzieć. Wysunęła się też wkrótce gospodyni i z córkami; po niedługiej chwili ukazała się już z jedną tylko Ewą,

a z nadobnem przymileniem wzywając gości na skromny obiadek, podała rękę Rejowi. Pan starosta podał swoją pannie Ewie, lubo już Niegoszewski ramię był wyciągnął w tej samej chęci. Paprocki ze Strykowski zetknęli się biodrami w progu i wtłoczyli się razem, inni certowali się przededrzwiami, prócz Grochowskiego z Rybińskim, którzy czekając spokojnie na boku, poszli w ostatniej parze do izby, gdzie stało czterech pacholków w porządnej barwie: Janaczek z wielką gałęzią lipową do much oganiania, Szymek przy kredensie dla podania mis i talerzy; Jurek zaś i Gąsiorek wraz z starym piwnicznym pilnowali napojów, surowy mając od pana przykaz, żeby broń Boże żaden kufel, żadna szklanica nigdy próżne nie były.

Umywszy ręce u fontanny taką koleją jak przyszli, i otarłszy je szacownemi ręcznikami, goście zasiedli do stołu bez drożenia się i wahania, gdyż gospodarz sam znaczył każdemu miejsce. Rej tylko dopytywał się usilnie, gdzie misa? i tam chciał siedzieć, mówiąc:

Zawdy ci więcej jedzą

Którzy bliżej misy siedzą.

Ale mis jeszcze na stole nie było; kurzyły się w dwóch głębokich donicach z uszami z pięknej gliny łżeckiej, korzenne i treściwe zupy; do wyboru rozdawane były dla każdego wielkimi chochłami cynowemi, lecz wszyscy za przykładem pana Mikołaja zjedli i barszcz rumiany zawieszisty i złotą polewkę. Barszcz ojciec, a polewka matka; mój żołądek dobry syn; oboje miłuję zarówno, — tak się tłumaczył z tego apetytu. Jeden przecież Niegoszewski poprzestał na samym rosole; ledwo pokosztował ciężkich mięs z pierwszego dania, a kiedy mu Ewa nałożyła — jak innym — talerz pieczeni z cebulą, zakręcił

nosa, i wyjąwszy z zanadru jakąś flaszeczkę wachał ją nieznacznie; odstawił też był na samym początku obiadu kufel tęgiego piwa, a prosił o jakie lekkie słodkie wino, albo o wodę. To obejście się kawalera rzeczypolitej Weneckiej w niesmak poszło panu Rejowi, który po dwa razy nabierał każdej potrawy, a za każdym wypróżniał kufel chmielowego soku, twierdząc, iż to najlepszy sposób rychłego trawienia; mimo więc pełnych ust mięsiwa i ogórków, przebaknął z przekąsem jakby sam do siebie:

Włochy tem się chlubią, że perfumy mają,
A też śmierdziec nie mogą, bo cienko jadają;
Od Polaka perfuma, pieczenia z cebulą,
A potem konew piwa, aż się oczy stulą.

Mimowolnie wszyscy głośnym śmiechem parsknęli na ten wierszyk trochę gruby ale niespodziany, a zwany młodzieniec dobrze się znalazł, bo chociaż pokraśniały mocniej okrągłe jego rumieńczyki, przecież rozśmiał się także i rzekł:

— Raczcie mi folgować, panowie bracia, kilkunastoletni pobyt we Włoszech a może więcej jeszcze praca osłabiły moją naturę; żołądek zczudzoziemczał, ale serce zawsze polskie, wierzajcie. Zresztą możebym zwolna wrócił do dawnego, lecz teraz nieszczęsne losy chciały, aby wysiadłego z pocztowego woza panów Montelupich, skołatanego długą drogą z Wenecyi do Krakowa, synowiec pana Pszonki zdybał w Krakowie, i natychmiast porwał do Babina, gdzie mi przez cały dzień wczorajszy gwałtem jeść, pić i śmiać się kazano, a ja był chory i tęskny. Podobno ów tryb rzeczy pogorszył jeszcze mój stan, i zupełnie nie swój, wcale nie taki, jakimby tu rad się pokazał, jakim zwykle jestem.

— Ale też Wasza Miłość tą kordyaka i niesmakiem zasłużyłeś sobie na urząd *Wesołka* i *Żartoka* rzeczypospolitej Babińskiej — przemówił ze śmiechem Paprocki — rzadsza nierównie godność niżeli szlachcica i kawalera rzeczypospolitej Weneckiej — bo jedyna.

— I od tej nominacyi jeszcze tęskliwszy i mniej jeść mogę niż przedtem, jakby na potwierdzenie słuszności mego patentu. To mówiąc dobył z kieszeni zwój pergaminu z pieczęciami i podpisami, pokazując go Kochanowskiej i Ewie.

— Przyjmij ofiary kanclerza, panie Stanisławie — przemówił prawie ojcowskim uczuciem Joachim Bielski — zostań z nami, a inne patenta i dyploma będziemy wnet widzieli w twoim ręku. Akademia krakowska niebawem uczeiłaby się katedrą, a król zaszczytami. Na te słowa młodzieniec szukał odpowiedzi ale mu nie szła; Kochanowski widząc to, zwrócił rozmowę na tor dawny i zapytał:

— Długożeście bawili w Babinie, panowie bracia, i bawiliżeście się dobrze?

— Niechący zjechaliśmy się jak nas tu widzicie w przeciągu trzech dni — odpowiedział Górnicki — i pan Pszonka nazwał ten nasz zjazd sejmem.

— Mnie już zastali — odezwał się Klonowicz — wiecie, panie wojski, że ja, jako bliski sąsiad dobiegam tam ile razy mogę, uciekając od urzędu i od żony.

— Chcieliśmy też gwałtem — przerwał Rej, który wypoczywał nieco, gdyż właśnie po zdjęciu pierwszego obrusa, pacholki drugie danie zastawili — chcieliśmy wydać przywileje Babińskie panom Klonowiczowi i Paprockiemu i dozwolić jednemu dobrać sobie drugą żonę do żyjącej, a drugiemu wziąć aż trzy na raz, ale uciekali

od płci białej jak djabeł od święconej wody. Dała im się snadź we znaki. Pan Bartosz zwłaszcza z takim zapalem powstawał przeciw małżeństwu, i bluźnił temu boskiemu wynalazkowi, iż ja sam go podałem na *dziwosłeba* rzeczypospolitej Babińskiej: co pan Sebastyan ten został zausznikiem wysokich dygnitarzy, i pierwszym myśliwym rzeczypospolitej.

— Przecież nie tak już gładko idzie w Babinie — przemówił jeszcze Górnicki — lubo zawdy tęgo jedzą i piją, jak szło za nieboszczyka pana sędziego. Kiedy stary Pszonka przewodził i był starostą, a uczony Piotr Kaszowski kanclerzem, wtedy jaśniały złote czasy Babinia, i już podobno się nigdy nie wróca.

— Snadziej to przekazać następcy wioskę i piwnicę, niż dowcip i wesołość — zawyrokował Klonowicz.

— Może się nam i tak wydaje, panie Łukasz — powiedział Kochanowski — młodość wszystko krasi barwą swoją, wschodzące to słońce przy jego promieniach czarne skały rumiane się widzą. Jakieżście tam jeszcze urzęda rozdali, i kto trzymał protokół na tym waszym sejmie?

— Ja — odpowiedział Strykowski — znacie co mnie łatwiej pisać niż mó-ó-ó-wić.

— A co się tyczy urzędów i godności — dokończył Paprocki — udało się nie najgorzej je porozdawać; panu Rejowi do dawnych zaszczytów dodaliśmy urząd *Postka* czyli *Suchotnika*; pana Joachima, który od wszelkiej czci się bronił, pan starosta przezwał *Chamem*. I ksiądz kanonik z kwitem nie odjechał, ma patent.

— Ksiądz kanonik — przerwał Strykowski — sam prosił o urząd ora-a-a — i minęło kilka sekund nim mu z ust wypadło — *tora*.

— I dowodzisz nam czarne na białem, bratku — powiedział tymczasem Klonowicz — iż nie żadną intrygą stał się ten wybór znających się na rzeczy Babińczyków.

— A mójże Szymon kochany — zapytał gospodarz lękając się, żeby z tych żartów do grubych przycisków nie przyszło — cóż przecie dostał?

— Jako młodzieniaszka, przepomniano go na ten raz — odrzekł Rej oblizujący właśnie palec w tej chwili po chrupiącym uszku prosięcia — ale co tych dwóch panów — dodał wskazując na Rybińskiego i na Grochowskiego — którzy tam tyle mówili co i tu mówią — ja sam podałem na *Gadułów* Babińskich; i przeszło bez oporu.

— Trzeba przecie, żeby ktoś słuchał kiedy inni rozprawiają — rzekł na swoją obronę Rybiński.

— I na świecie i w klasztorze przy starszych młodszy mileżą — przytoczył skromnie Grochowski.

— Panowie wracają ztąd do Babina? — zapytała gospodyni.

— Wracamy dziś jeszcze na całą noc, jakeśmy to w liście naszym powiedzieli — odrzekł Bielski — musimy odwieść panu Pszonce jego kolebki; u niego też zostały jakby w zastawie nasze konie i powózki, którymi każdy ruszy jutro wieczorem do domu; Wasza Miłość wiesz najlepiej, że kiedy luba żona i miłe dziatki czekają z utęsknieniem, trzeba wracać.

— Ja jutro skoro świt pospieszę do Krakowa — dodał Niegoszewski — mam tam niektóre sprawy, a czas mego bawienia się w ojczyźnie krótki. Muszę się stawić w końcu jesieni w Wenecyi, na drugi publiczny popis, który spodziewam się lepszy będzie od pierwszego.

— Chciejże nam Wasza Miłość powtórzyć — ode-

zwał się Górnicki — z czego to był złożony on pierwszy; jako mieszkańca wsi wieść o nim niedokładna mnie doszła.

— Długo by o tem mówić — odpowiedział kawaler — lecz dosyć będzie powiedzieć, że mając z przyrodzenia i z pracy łatwość wielką do tworzenia wierszów każdego rodzaju — przytem ogromną pamięć jak nikt podobno na całej ziemi, bom gotów tysiąc wierszy przeczytać i spamiętać — ogłosiłem na kilka miesięcy naprzód: »jako w dzień Najświętszej Panny Gromnicznej, roku bieżącego w kościele św. Jana i Pawła zacznę dowodzić wszelkie teologiczne twierdzenia i całą Arystotelesa naukę, na zarzuty zaś, jakieby mi kto czynił, odpowiem wierszem heksametrem i pentametrem, równie jak na bądźjakie w przedniejszych naukach zadanie lub zapytanie. — Zbiegło się ludzi uczonych i ciekawych pełno, dotrzymałem obietnicy, rozprawa trwała całe dwa tygodnie, wszyscy się pomęczyli prócz mnie jednego, byłem okryty pochwałami i zaszczytami, a chciałbym drugim razem zebrać ich jeszcze więcej, przeto wcześniej sposobić się muszę.

— Zadziwiająca rzecz prawdziwie — przemówił Kochanowski — tego rodzaju sławy nam dotąd nie dośtawiało.

— Nie będzie ona jednak zupełna póki podobnego ogłoszenia na rynku Krakowskim nie otrąbią — dopowiedział Bielski — i do kościoła Panny Maryi na polski popis nas nie wezwą.

— Bez wątpienia, Polak winien siebie polskim rzeczom poświęcić — uchwycił Paprocki wyglądający zdawna podobnej sposobności — bierz ze mnie przykład, panie kawalerze. Oto niesłychaną pracą i wielkim nakła-

dem napisałem dzieło, które ściągnie na mnie chmurę nieprzyjaciół, ale póki stanie szlachty w Polsce — to jest zapewne do skończenia świata — póty o Bartoszu Pa-prockim wspominać będą. — To mówiąc, dobył z kieszeni księgę w czwórkę, kosztownie oprawną. — Jeszcze prawie wilgotna, przed kilkoma dniami wyjęta z pod pras Garwolczyka; godny przypis do Miłościwego Pana złożyłem nie dawniej jak szóstego bieżącego miesiąca, długom się wahał czy jego, czy swój konterfekt umieścić, ale rytownik niecnota nie wygotował Bartosza, musiałem na Batorym poprzestać. Jak się wam widzi? podobnyż?

Kochanowski wyciągnął rękę i rzekł spojrzawszy na wizerunek królewski: — Wcale podobny, i jego brwi w łuk podniesione, jego wąs, broda przystrzyżona, czupryna niewielka, nos może ma nieco więcej zadarty, a tuszę mniej okazałą, ubiór, taki, w jakim go widziałem raz ostatni: bekiesza z sobolem, żupan z złotogłowi, guzy jakby konchy kamieniami nasadzane, czapka niska z piórkiem kapłoniem, jedna ręka w kieszeni, jak ma zwyczaj, ależ — ducha gdzie szukać? owego mądrego a przenikliwego spojrzenia, owej bochaterskiej postawy; włoskiego by pędzla na to potrzeba... Lecz zapominam patrzeć tytułu waszego dzieła: *Herby rycerstwa polskiego*; dziękuję wam panie bracie.

— Podziękujecie spodziewam się jeszcze lepiej — odpowiedział pawiać się autor — obaczcie jedno stronicę 556.

— Domyślam się — wyrzekł Kochanowski spoglądając ukradkiem na żonę i zamykając księgę. — Wszak już są raki na stole, czegoż Wasza Miłość chcesz, abym i ja stary raki piekł?

— To ja przeczytam — wniósł Górnicki biorąc

księgę — wiem naprzód co tam nie nadto nie będzie: „*Herb Korwin, ptak z pierścieniem*“. O klejnocie *Korwin*, który zkał a jako dawno do Polski przyniesion, o tymes już czytał pod Slepowronem, co za przodkowie tej fam-
milion jakiej zacności bywali. Tu w Polsce jakiej zacności, jakiego zawołania, jakiej ozdoby dom Kochanowskich, samego Jana imię daleko o tem znać dawa; z greckimi poety, które on wiek stary za najprzedniejsze liczył, porównał; w naszym polskim języku przed nim nigdy, a po nim trudno będzie o takiego, coby z nim porównać miał.

— A ja dodam jeszcze coś więcej do tej pochwały — przemówił Paprocki — wiersze, które złożyłem w tej chwili:

Jan Kochanowski w Czarnolesie,
Wsi ojczystej mieszkając; takim wierszem spiewa
Jakiego i Helikon podobno nie miewa;
A snaćby mieli mówić po polsku Bogowie
Jużciby z Kochanowskim przestali na mowie.

— Dosyć, dosyć — wołał Jan zasłaniając sobie twarz talerzem, z którego właśnie zmiotł był dobrą porcją ulubionej sobie potrawy — co tam chwalić czeze wiersze, oto lepiej jedzcie a chwalcie Sandomierskie flaki.

— Kapusta i flaki, dobry obiad taki — powiedział Rej podsuwając powtórnie swój talerz Kochanowskiej — smaczna potrawa mnie zawsze do powtórzenia wzywa. — Ależ pani wojska — dodał — u was widzę nie obiadek jakeście mówili prowadząc nas tu, jeno całą gębą *obiad*; każdy wstawszy — jeśli wstać podoła — będzie mógł śmiało powiedzieć, że się *objadł*.

— Wasza Miłość — odpowiedziała ze śmiechem gospodyni — zaraz, by z bicza, z jednego słowa dwa uczynić umie.

— Bo jeno uważcie, moi mili — mówił dalej Rej, który mając już słuch nieco przytępiony nie zupełnie słyszał co na drugim końcu stołu mówiono — uważcie wielki rozum naszych przodków w układzie języka, na którym my szaleńcy długo się nie znali: jaka to trafność w nazwaniu codziennego a rozmaitego jadła: *śniadanie*: kiedy się je, na dworze jeszcze *śniado*; *obiad*, już wyłożyłem; *podwieczorek*, *wieczerza*, dosyć nazwać żeby wytłómaczyć; *podkurek* zaś, wielki mój przyjaciel, danym być powinien do łóżka o północy na zapianie kurka.

— Wy jednak pierwsi panie Reju — odezwał się tu Górnicki — dopatrzyliście owych szczególności, wy pierwsi z polską mową tak igracie.

— *Taki gracie!* pięknie panie starosto, wymyślać staremu, a pamiętaj no Wasza Miłość coście i wy nie dzisiaj. A kto to mnie już blisko przed dwudziestą laty w jakowymś *Dworzanie* o podobne rzeczy obmawiał? Zresztą, może tam z młodu był kęs dowcipu w tej głowie, ale co dziś są nierównie lepsi odemnie, którym igraszka słów wypada z ust jak kamień z procy, z którymi ani się dogadasz. Naprzykład *vere nobilis* pan Smolik, młody jeszcze a już kuty w conceptach. Wiecie co powiedział tej zimy? Oto idącemu ulicą w Krakowie zaszedł drogę żebrak, i mówi do niego: — Proszę Waszej Miłości na chleb. — A on mu na to: — Jedz bracie sam, ja wolę iść do księdza biskupa, który mnie prosił na zraz pieczeni. — On także kiedy go się niedawno pytano jak sobie uważa świętych odpowiedział: — U mnie najlepszy To-masz, a najgorszy Ja-dam.

— Wybornie, udało się — mówili obecni śmiejąc się. — Niech żyje Smolik i Rej.

— Lepszego pono od nas obudwóch spotkałem nie-

dawno, zwłaszcza w sztuce odpowiadania na to, czego mu nie mówiono — prawil dalej rozochocony staruszek — a to prostego chłopa, kiedy zaś mówię prosty, nie to ma się znaczyć co nie krzywy, ale że zgoła gbur. — Kasztelan międzyrzecki jechał tej wiosny na zaloty, i mnie obrał sobie towarzyszem. Przyjechawszy rano do Łęk, pięknej wsi pod Krosnem, pytam się chłopa, bo lubię z nimi rozmawiać:

— A kto tę wieś trzyma?

— Ziemia a płoty — odpowiada mi.

— A któż tu panem?

— Ten co ma najwięcej pieniędzy.

— A któż tu starszym?

— Jest tu baba co jej już przeszło sto lat.

— A któż tu najwyższym?

— Lipa nad kościołem, co ją oto widać.

Zmiarkowawszy, co już o wieś się nie dopytam, chciałem się dowiedzieć jaka pora: — Dalekoż południe? — mówię mu.

— Nie szło tędy, miły panie, nie wiem jak daleko może być.

Rozgniewany taką przebiegłością krzyczę na niego: — Ej! widzi mi się chłopie, wezmiesz w gębę.

— Nie wezmę panie, bom nie pies, wolę w rękę jako człowiek. — I to mówiąc nadstawia łapę, i dalibóg dałem mu złoty, bo mnie rozumu nauczył. Teraz znowu będąc w Żarkach pytam gospodyni: — Biję tu zegar? — Zegaru nie ma — odpowie — ale pan tego bije.

— Nasz lud ma swój własny, nienauczony, lecz wielki rozum — przemówił Górnicki gdy ustały śmiechy temi konceptami wzbudzone.

— Tak — zwłaszcza kmiecie i pasterze pana Szymona — rzekł Klonowicz.

— Temu zaprzeczam — mówił dalej pan starosta — właśnie bawiąc teraz parę tygodni w Krakowie, uczęszczałem oczywiście do kanclerza, i pan Szymon w gronie uczonych, które zawsze tego wielkiego męża otacza, mówił nam najnowszą swoją sielankę: „*Zalotnicy*“. Niech się schowa Teokryt i Wirgili.

— Czyby jej też usłyszeć nie można? — ozwała się zgodna, a należąca prośba z ust wszystkich, nawet z niewieścich.

— Całej nie pamiętam i byłaby zbyt długa — rzekł z przyzwotą skromnością młody poeta — ale kiedy taka łaskawa wola wasza, powiem drugą połowę: pani wojskiej i pannie Ewie podoba się lepiej, w pierwszej Mopsus opiewał zaloty Amintasa do pięknej lecz leniwej i ospałej Neery, w tej Licydowe do mniej urodziwej, ale dobrej gospodyni Likory:

Wtenczas Likorys krowy w dojniku doila,
Licydas sieczkę rzezał. »Zawsze mnie żywiła,
Ręko moja; Kto Bogu dufa, a pracuje,
Do ostatniej starości nędzy nie uczuje.«
Dziś sieczkę rzeżesz, sieczka nie rzeże się sama.
Likorys, przy tej ręce będzie dobrze nama.
Ręko moja, kto Bogu dufa, a pracuje,
Do ostatniej starości nędzy nie uczuje.
Panem się nikt nie rodzi; siła zostawiają
Dzieciom rodzice, siła dzieci utracają.
Praca skarb najpewniejszy; kto się spuści na nie
I za żywota ma chleb i po nim zostanie.
I ty Likory u mnie nie będziesz żebrała,
Nie będziesz, gdy nie będziesz ze mną próżnowała,
Ręko moja...

Widziałem cię u tańca i tak mi się zdało,
 Iżeć tamto igrzysko najmniej nie przystało.
 Lubo cię w płasy wzięto lub do gonionego,
 Trudno ciągnąć, kto nie ma umysłu do czego.
 Piękniej ci u roboty, w tejesz przodek miała
 U robotys mi naprzód do serca przystała.

Ręko moja...

Pomnisz? kiedyśmy byli pospołu na żniwie,
 Pszenicę wtenczas żęto na siedzianej niwie.
 Zagon twój był wedle mnie; tak ci tam służyło
 Szcześnie, że sierpa w ręku ledwie dojrzeć było.
 Jeszcze nam przyśpiewała; przyznać ci się muszę,
 Chcąc się tobie przeciwieć, siliłem się z dusze
 I mówiłem do siebie: »Boże! jeśli zdarzysz,
 Niech taki zawsze robi wedle mnie towarzysz.

Ręko moja...

Widziałem, pod kądzielą kiedyś siadywała,
 Samać się do wrzeciona nić z palca puszczała,
 Jedwab nie będzie taki; u ciebie i spanie
 Najpóźniejsze, u ciebie i najrańsze wstanie.
 Tobie czeladź nakarmić, tobie pochędożyć
 Wszystko w domu i wszystko na miejscu położyć.
 Ława zawsze chędogo, pomyte naczynie;
 Mówiłem; komu cię Bóg da, z tobą nie zginie.

Ręko moja...

Jeśliś mi przyjacielem, podobno nie zgadnę;
 Gdyś chusty polewała onegda czeladne,
 Były też tam i moje, a iż w ręce były
 Przyjaznej, przed inszemi jawnie to świadczyły.
 Biało mię sobie nosisz, noś mię sobie biało,
 Równemu z równym zawsze na świecie przystało.
 Chędogo, choć ubogo; bodaj się święciły
 Ręce twe zakasane, bodaj memi były!

Ręko moja...

Dworniczko, ty się teraz przesypiasz w południe,
Likorys krowy doi; nie bardzo to cudnie
Spać we dnie gospodyni; jeszcze się nie dała
Znać czeladka; snać żeś jej mało doglądała.
Teraz masz wierną, potem nie wiem jaka będzie.
Jakobys sama siadła, gdzie Likorys siędzie:
I kropla tam nie zginie i nie zadojone
Cieleťa i mleka są skopce napełnione.

Ręko moja...

Koso, palec to; czyli kto zaloty stroi,
Albo się zamyśliwa, a przy kosie stoi,
Prędzej w palec zawadzi? O moja Likory,
Wiesz ty jakom cierpliwy i jakom nie skory.
Róbwa już raczej na się; służba nie na wieki.
Niech ja twej pewien będę, ty mojej opieki.
Ręka rękę umywa, noga wspiera nogi,
Przy wiernym przyjacielu żaden nie ubogi.
Więcej Bóg ma niż rozdał; jest nasza u niego
Cząstka też; nie opuszcza on człeka żadnego.
A kto w zakonie jego prowadzi swe życie,
Wszystko się zdarza, wszystko płynie tam obficie.
Dufajmy mu, a on nam niechaj błogosławi.
I kiedyż ten dzień będzie, gdy nas obu stawi
Przed ołtarzem? uspokój prosię myśli moje,
Wszakęś i ty człowiekiem; uspokój i swoje.

Tak śpiewał, a już sieczki wielka kupa była
I Likorys namyślnie u krów się bawiła.

Gdy skończył i powszechnie zabrzmiały pochwały
gładkości wiersza, naturalności obrazu, czystej moralności
każdego zdania, a zwłaszcza zwrotki, Ewa powiedziała
cicho do matki: — O! gdyby to można uprosić tę śliczną
sielankę u pana Szymonowicza, nasz pan Łukaszby prze-
pisał, a jabym się nauczyła dla pana Filipa.

— Wartałoby coby każdy z was, panowie bracia
w Apolinie — rzekł gospodarz już nieco podchmielony

i nie słysząc wcale słów córki — podobnie nas uraczyć chciał jak zacny pan Szymon, jużemy się piwa, miodu i lekkiego wina opili; czas się zbliża na lepsze, na alikanty, małwazy, na starego ojcowskiego węgrzyna, muzyka brzmi za oknem i do pieśni wzywa, trzecie danie na stole, pieczyste i trawy, jedzmy co żywo, skoro zdejną trzeci obrus i słodycze nam postawią, pora będzie najlepsza. Daj Biernas, dobywaj pleśnią okryte butelki, nagotujcie kolejne puhary. A niech tu Nastka — rzekł obracając się do pachotka — przyprowadzi naszą Safo, dziedziczkę mojej lutni.

— Orszulkę! Orszulkę! ową nieporównaną dziecinę — ozwali się ci wszyscy, co już w Czarnolesie bywali i znali ją. — Zaprawdę godzi się nam pokazać to utajone bóstwo. — I wpuściła stara piastunka śliczną dziecinę, która już oddawna stojąc podedrzwiemi prosiła się do uczonych gości. Prosto z otwartymi rączynkami do szyi ojca pobiegła, a gdy ją postawił na swoich kolanach, wszystkim obecnym wdzięczne oddawała ukłony, przykładała różane swoje paluszki do ust koralowych i tym, którzy jej znani byli, posyłała głośne i lube pocałowania.

— Żywy anioł z nieba — mówił Rybiński z Grochowskim. — Istna cnej Wenery dziecina — powtarzali drudzy z Szymonowiczem.

— Słuchaj powiedział do niej ojciec, gdy już trochę z pochwałami ucichli — ci panowie umieją składać wiersze, tak jak i ty składać zaczynasz, może który z nich powie nam co swego, może i ja co powiem, pomyśl i ty i powiesz nam także.

— Zgoda — odpowiedziała głaszcząc ojca po wąsach — jedno pozwólcie niech pierwiej trochę posłucham i napatrzę się. — I to mówiąc oczy jej ścigały różne

ciasta i przysmaki, które pacholki znosili na farfurach i cynowych półmiskach i ustawiali już na ostatnim obrusie. Matka to spostrzegłszy dała jej kawałek piżmowanego ciasta i ciało dziecięcia jadło, a duch widać było, że uważa i myśli.

— Któż zacznie? — spytał Kochanowski nalewając szacowny puhar sędziwym węgryzmem.

— O! już wybaczcie, panie Janie, nie wszyscy mówić będziemy — przerwał Górnicki — ja zupełnie się wymawiam; minęły już owe czasy, kiedym składał rymy, kiedy to Wasza Miłość zwałęś lutnię moją Orfeową. Jenow Babinie mogłem podpisać się poetą.

— I ja toż samo — odezwał się Bielski — moje wiersze w kole niewiastby uszły, ale nie w tem Muz siedlisku.

— Będzie mówił, kto zechce i komu co ślina do ust przyniesie — oświadczył gospodarz — przymusu żadnego, wolność i swoboda bez granic. Puhar obejdzcie kolej, dawniej częstokroć na dnie znajdowało się natchnienie, może tak i dziś będzie. Po starszemu na gałęź! Panie Mikołaju, wam wino i piosnka.

— Wiecie co ja nie poeta, jedno wierszokleta — odrzekł Rej kładąc z pokorą lewą rękę na piersiach, a prawą wyciągając po kielich.

Jam prosty polak, nigdzie nie jeżdżając
Tum się pasł na dziedzinie, jako w lesie zając;
Z granice Polskiej milej nigdzie nie wyjechał,
A z młodu bardzom długo nauki zaniechał*).

*) Ostatni ten wiersz inaczej jest wydrukowany w dziełach Reja, znać zmienił go do okoliczności.

— Otóż i mamy wierszyk! — zawołał Kochanowski wesoło. — Z Waszą Miłością sprawa nie trudna, spełnijcie puhar, do kogo wola wasza, już z popisu kwitujemy.

— Rej, równie do wiersza jak do napoju ochoczy, spełnił duszkiem złote naczynie i zawołał na Klonowicza:

W ręce wasze, panie Sebastyanie;
Wiersze u nas latoś bardzo tanie;
Powiesz byle co: ita, fita, mita,
I jużci kwita.

— Tem ci lepiej -- przebąknął Klonowicz — i wysączył wino z puharu co do ostatniej kropli, — ale choćbym chciał z czem wystąpić ladajakiem, nie wiem zgoła, czy potrafię — dodał powłócząc oczami i głosem zmienionym, a rozwlekłym:

Trunek kto zbyt pije, rozum w nim wygasza;
A kto bardzo dolewa — i duszę wystrasza,

— Dajcież sobie święty pokój z podobnie zdroźnemi prawidłami — okrzyknął się Kochanowski — komu głowa bardzo cięży, dalej go pod kurek, oblać zimną wodą. — I dał znak dobrze znany Szymkowi i Jurkowi, którzy wzięwszy Klonowicza pod ramiona zaprowadzili go do fontanny; nie wzgardził ową ablucyą, a kiedy tego zmaczany otrząsł się jak dziki źrebiec w kniei i usiadł znowu do stołu żwawy i przytomny, kurzyło się z czupryny jak z kotła wrzącej wody.

— Ja tam — przemówił Kochanowski odpowiadając na dwuwiersz Klonowicza — wcale inaczej trzymam o trunku i większy mam dla niego szacunek:

Jam nie dbał nigdy o złoto,
Alem tylko prosił o to,

Aby kufel stał przedemną,
A przyjaciel pijał ze mną;
A tymczasem robotnicy,
Pieczę mieli o piwnicy.
To wszystko moje staranie,
To skarb, złoto i zebranie.
Ani dbam o kasztelana,
Trzymając się mocno dzbana.

— Oto wierszyk gładki i uczony, choć pracy nie wi-
dać — wyrzekł półgłosem Rybiński — prawdziwy mistrz
nasz pan wojski.

— I chciano, żeby przy tym stole my młodzi się
odzywali — dopowiedział Grochowski.

— Panu Kochanowskiemu snadniej niżli wielu innym,
ofiary składać Muzom — rzekł tu Klonowicz — ma po-
kój w domu i na własnym zagonie siedzi, ale zrób co
przy uciążliwym urzędzie i przy złej żonie, dalipan, le-
piejby sobie kamień młyński u szyi uwiązać i cisnąć się
w wodę. Nieraz w mojej ubogiej komórcie szukam spo-
czynku, natchnienia, a tu wbiega żona zapłomieniona, siada
mi na karku, żebym jej dał pieniędzy na stroje, na wino.
Ledwie jej się ciężkim kosztem pozbędę i do pióra wra-
cam z rozkoszą, wpadają pacholcy miejscy wołając: —
Sądź sprawę — wyznacz gospodę — wyszukaj konia
dla sługi pana wojewody, co z listem do pana starosty
jedzie. — Przyjdzie z nędzy i z rozpaczy skończyć gdzie
życie w szpitalu, a dalibóg, gdyby człowiek miał swo-
bode, pisałby i tworzył jako tako.

Ja kiedy się nad prosty gmin ku niebu na chwile,
Do Febusa wychylę,
Wnet frasunek zazdrościwy jakiś wróg przytoczy,
Który mnie zaś w gmin włoczy.

Trzeba bowiem animuszu niezamarszczonego,
Do wiersza uczonego.
Kiedyby się nad rzeczka mogła włóka dostać,
Mogłoby się co sprostac.

— Piszecie wy i tak pięknie, a niepospolicie — powiedział Górnicki — jeno zaczniście podawać do druku dzieła wasze, niech je świat pozna.

— Jeszcze nie tak rychło — odrzekł Klonowicz — ja lubię z niemi się pieścić samotnie, odczytywać, poprawiać, przepisywać, czytać temu kto mi się podoba, póki w tece, póki pisane, póty moje; a to mój skarb jedyny, Muzy całą moją pociechą...

— A któż z śmiertelnych, któremu wyższego ducha dali bogowie, znajdzie ją gdzieindziej? czyżby u ludzi szukać jakiej osłody? jeden cię nie oceni, drugi cię oczerni, trzeci okradnie. — Te dumne, a gorzkie słowa, wymówił długo milczący Strykowski, a wymówił je zupełnie gładko, język jego bowiem miał tę własność, że go wino rozwiązywało. — Ja od dzieciństwa — ciągnął dalej — z księgami żyłem, w nich się kochałem:

Małom darów Cerery — mogąc słusznie użył,
Bom cnoście, sławie wiecznej nie brzuchowi służył;
Częstom obiad przerywał usilnem czytaniem,
I rozmaitych rzeczy w mózgu rozmyślaniem,
Częstom łyżkę porzucił, a jak w zachwyceniu,
Wziąwszy pióro stawiłem wieczerzę w ćwiczeniu.

— Szczęście przynajmniej, co Wasza Miłość dziś ni łyżki ni szklenicy nie rzucił — przebaknął z lekką urazą Rej, który skoro była o brzuchu mowa, zawsze to brał za przymówkę do siebie.

— Ja się też bynajmniej nie zapieram — odpowie-

dział Strykowski żywo — iż z Bachusem potykam się często i chętnie; w rocie Sylena rzadko bywam, a ilekroć mnie płomienie cypryjskiej pani chcą ogarnąć, helikońskimi zdrojami je gaszę...

Tu Kochanowska spojrzała nieznacznie na męża, pytając go oczyma, czy jużby nie wypadało jej i córce wstać od stołu? ale on trząsnął głową. Orszulka jeszcze z niezem się nie popisała. Nie dojadłszy pachnącego ciasta oparła czoło na ramieniu ojca, patrzyła błędnie i prawie było widać myśli snujące się na tem czole.

— Słowiczku mój, odezwiźże się nam — powiedział Kochanowski całując ją w głowę — cóż dziś tak długo usta twoje zamknięte? nigdy tego nie bywało.

A ona odpowiedziała poważnie:

Myślę ojczy. — Gości wiele.
Zda się kwitnie nam wesele;
A tu może już gdzie z boku,
Łza jest w sercu, łza jest w oku.
Kto wie, czy za tą pogodą,
Chmur czarnych wiatry nie wiodą.
Jedna jest błoga kraina,
Gdzie trosk niema ni goryczy;
Tam tonie każda godzina,
W źródle szczęścia i słodyczy;
I znowu wypływa,
Słodka i szczęśliwa.
Tam słońce wieczyste świeci,
Dla ludzkich dzieci.
Bo wszelka człowiecza trwoga,
Ginie u Boga.

Zdumieli się wszyscy zacząwszy od ojca, może nie tyle nad wierszykiem — gdyż wiedzieli, że dziewczę rymuje z taką łatwością, jak ptaszki śpiewają — ile nad

duchem wierszyka, lecz nikomu nawet ojcu nie przyszedł w porę, nie przypadł do smaku. — Kochanowski, w którym przy wesołej biesiadzie odzywała się światowa żyłka i nałogi swawolnej nieco młodości, nierad smutnym myśлом — tem bardziej, że mu zaraz stawał przed oczami oddalony przyjaciel — powstał żwawo, oddał Orszulkę matce, a już nie źle podpiły, porwał pełny puhar, kazał pootwierać wszystkie okna, muzyce grać huczno i wesoło i jakby na kiel biorąc tak się z Anakreonom odezwał:

Skoro w rękę wezmę czaszę,
Wnet ze łba troski wystraszę;
Więc iż mniemam, że mam wiele,
Zład mi łączno o wesele.
Wieniec musi być na głowie,
A fraszka wszyscy panowie.
Kto się chce bić — obuj zbroję;
Ja przy kuflu przed się stoję;
Bo tak mniemam, iż upitym,
Lepiej leżeć niż zabitym.

Skoro taką notę podał gospodarz, natychmiast Rej, Klonowicz, Górnicki, Paprocki, Strykowski, wszyscy zgoła całym gardłem wtórować mu zaczęli, przemówił i Rybiński z Grochowskim, bo któż przy dobrem winie, w gronie wesołych przyjaciół nie rozochoci się, przyszła i łacina na stół, rozruchał się też i kawaler Niegoszewski, któremu lekkie na pozór, bo słodkie wino, także w głowie zaczmyczyło. Zaczęły się snuć koncepta, żarty, dwuznaczne ucinki bardzo dowcipne i śmieszne; niejednen z nich mógłby zająć przyzwoite miejsce między owemi *fraszkami*, których zacny Bohomolec nie wydrukował; ale skoro podobny tok rozmowa przybrała, a wina coraz natarczywiej wołano i dolewano, Kochanowska z Ewą

i z Orszulką wyszła z izby. — Nie zdziwi to zapewne, ani rozgniewa nikogo, że i ja pójdę za jej przykładem.

ROZDZIAŁ XXII.

Błędziłem gdym trosk nie znał, dziś lepszy karany.

Psalm CXVII.

Ostatni to był dzień wesóły dla Kochanowskiego. Nić złota, którą usługne Parki przędły dla niego od lat tyłu, jakby zczerniała nagle w ich ręku, wróżąc zapewne rychłe całego wątku wysnucie, albo raczej chrześcijańskich używając wyrażen: Opatrzność chciała tej pięknej ale jeszcze do świata lgnącej duszy nadać hart najzbawienniejszy, hart nieszczęścia, by doskonalszą i oczyszczoną powołać do siebie. Widzimy nieraz dotąd podobne przykłady. Człowiekowi zacnemu wszystko dobrze się powodzi, ma szacunek u ludzi, on w sobie, drudzy między sobą mówią: — Słusznie że tak jest, tak się należy, tak być powinno do końca. Tymczasem niespodzianie gdyby nawałnica spływa na tego człowieka niedola, jak w wysokie i nad inne wybiegłe drzewo grom po gromie uderza, i wnet pada wśród przerażenia całej okolicy, może sam jeden przygotowany do tego ciosu, i wzbudza w znajomych sobie tę zbawienną trwożę: — Kiedyć jemu tak — cóż mnie?

W kilka godzin po rozjechaniu się uczonych i podochoconych gości, po odmówieniu spólnych pacierzy — na ten raz bez gospodarza, gdyż rzuciwszy się na łóżko tak jak był ubrany zasnął, jeszcze przed zachodem słońca — Kochanowska, gdy się już wszyscy położyli

i usnęli, wstała koło północy i zaczęła według swego codziennego zwyczaju śpiącą dzia twę oglądać, patrzeć, czy której czego nie brakuje, czy dobrze i przystojnie leży? Otulając Orszulkę, która wszystko z siebie zrzuciła, dostrzegła w jej główce i rączkach wielkiego gorąca, i strwożyła się bardzo — jak zwyczajnie matka. Już nie wróciła do swego łóżka, nie położyła się, tylko zarzu ciwszy biały mentlik, to stała po całym kwadransie nad kołyską córki, a zasłaniając świecę ręką wpatrywała się w nią, to znowu chodziła niepewnym krokiem po sypialnej izbie, i koiła coraz wzmagającą się niespokojność mówiąc w sobie: — Ej! próżno się turbuję, jeszcze sobie zaszkodzić mogę... ona dziś tyle osób widziała, tyle słyszała rzeczy, sama u stołu na taki poważny wierszyk się zdobyła, jadła więcej niż codziennie, ciasta, słodyczy, pokarmów niezdrowych, podobno i wina dał jej ojciec, nie ma nic dziwnego, nic strasznego w tej gorączce. Już jej tak nie raz bywało: ona miewa często główkę rozpaloną. Oto niedawno po odwiedzinach kanclerza — pamiętam — takżem się wylękała, całej nocy nie zmrużyłam oka, a ona Bogu dzięki wstała nazajutrz zdrowa i wesoła. Będzie tak i jutro, da Bóg. Muszę jednak prosić męża, żeby przez czas jakiś nie zachęcał jej do rymowania, do śpiewania, żeby się nie popisывał z nią przed nikim, żeby nawet psalmów swoich przed nią nie powtarzał. Muszę i Nastce przykazać żeby jej nie usypiała dumkami, innym dziewczętom naszym to nie szkodziło; ale ona wszelką mądrość jakby piła, jakby brała w siebie, wybujała nadto, rozwinęła się za prędko, jak kwiatek zbytęcznie ho dowany... kiedyć ona przed rokiem mówiła! żadne z naszych dzieci takie nie było... bo i kiedyż i gdzie, równie cudownem dzieckiem rodzice

się chlubili... Pan Bóg zabrał jak swoje... — A na to wspomnienie dreszcz zimny biedną matkę przechodził, krew jej cała zbiegała się do serca, serce biło prędko i boleśnie, najokropniejsze ogarniały ją przecucia, prze-
rażało ją wskrós samo milczenie w około niej panujące, przerywane tylko ciężkiem chrapaniem męża w alkowie, za kotarą. Były już chwile, kiedy usłyszawszy bolesny jęk Orszulki, dziwacznych słów kilka, albo przyspieszonego jej oddechu, chciała budzić jak najprędzej Ewę, Ludwinę, Nastkę i dom cały, użyć wszystkich swoich sekretów lekarskich i zapasów apteki, ale bała się znowu zatrwożyć ojca może napróżno, zaszkodzić jego zdrowiu. On staropolskim zwyczajem utrzymywał, że kiedy niekiedy upić się, stanie za lekarstwo, byle po takowej przeprawie użyć snu ciągłego najmniej przez godzin dwanaście, a potem przetrwać całą dobę o jednej misie czystego a kwaśnego barszczu.

Przeżyła więc caluteńką noc Kochanowska nie śpiąc, nie kładąc się nawet i biedząc się sama jedna, dopóki pierwszy błysk zorzy wpadający przez okiennice nie obudził Ludwiny, która zawsze przed wschodem słońca wstawała, i szła albo do ogrodu pod jabłoni swoją albo do komórki na górę, zacząć dzień z Bogiem.

Zwierzyła się jej matka z niespokojnością swoją znacznie nawet pomnożoną, gdyż Orszulka zamiast ochłodzić nad rankiem coraz była gorętsza. Pobożna a niedoświadczona dziewczeczka mniej daleko się zatrwożyła od Kochanowskiej, uspokoiła ją nawet cokolwiek słowy swojemi, pełnemi jak jej dusza spokoju i świętej nadziei, a chcąc obecnością swoją matce ulżyć, i dać jej czas do naradzenia się z Nastką o sposobach ratowania prędkiego chorej dzieciны, nie wyszła już dnia

tego na swoją poranną modlitwę; usiadła przy kolebce i nie odstępowała jej na chwilę, dopóki Ewa i inne siostry nie wstały, a i wtedy zamiast się udać na ulubioną samotność, wołała dzielić trudy i zachody rodziny i całego domu.

Orszulki gorączka za każdą chwilą wzmagać się zdawała, a nabrzękłe jej policzki ogniem pałały. Koło szóstej godziny zerwała się, obudziła i usiadła na posłaniu, ale rysy jej twarzy były zmienione, oczy obłąkane, słowa bez ładu. Zrazu ani matki, ani Nastki, ani sióstr przybiegających do niej skwapliwie nie poznawała, owszem odpychała je od siebie, widać było, że mocno cierpi, a gdy jej pytano co ją boli? nie odpowiadała wprost, tylko z jękiem mówiła: — Kto mnie kocha, kto Jezusa kocha, niech mi weźmie głowę: spali się, rozpadnie, nie wytrzymam. Poznawszy z tych słów gdzie było siedlisko choroby, Kochanowska przecuciem macierzyńskim wiedziona, chciała koniecznie okładać część cierpiącą zimną wodą, lodem gdyby był, ale Nastka i inne służebne, z których każda coś innego raiła, nie dopuściły tego najlepszego w takim razie ratunku: — zabiłby panienkę jak muchę sposób taki — mówiły ze zgrozą — kto zaś słyszał w gorącu oziębić nagle! a to śmierć gotowa, tu potów trzeba gwałtem — potów — a wszystko złe wyjdzie. I jedna po drugiej, znosiły dziecinie tęgie i wrzące napoje, przykrywały ją futrami, chcąc wzbudzić owe pożądane poty. Kochanowska przerażona nie mając odwagi leczyć własne dziecko ową nauką, której tyle dla innych ufała, i wziąć jakby na siebie odpowiedzialność życia Orszulki, nie śmiała im się sprzeciwić; otrzymała przecież, że jej pozwolili przystawić dziecinie po parze pijawek za uszami, i gorczy-

cowe plastry położyć na nóżki. Lecz mimo tych wszystkich środków żaden znak polepszenia się nie objawiał, i kiedy Kochanowski przebudziwszy się nareszcie koło dziewiątej godziny, wyszedł z za swojej kotary, kiedy po zebraniu i krzątaniu się tyłu kobiet, po ich twarzach pomieszanych poznał zaraz, że coś się stało jego Orszulce, kiedy w całym nieładzie wczorajszego ubioru, z włosami najeżonemi od przestradchu, z osłupiałemi oczyma stanął nad jej kolebką, i obaczył ją zmienioną i całą we krwi, zawołał okropnym głosem: — zabiliście ją, już po niej, już nie mam Orszulki, ona umrze.

I w rzeczy samej każda chwila jakby potwierdziła ów straszliwy wyrok. Śmierć gdyby cień, kiedy noc się zbliża, zachodziła coraz wyraźniej na te wczora jeszcze pełne życia oblicze, trzęsła widocznie z coraz większą siłą, ów owoc niedojrzały. Wszystkie używane domowe i stręczone z całej wsi i z okolic lekarstwa, żadnego nie robiły skutku, Napróżno Nastka i Świtkę przyzwała po kryjomu do dworu, a o północy wpuściła ją do sypialnej izby, nic nie pomogły wszystkie sztuki mniemanej czarownicy: odżegnywania, zaklęcia, mierzenia, smarowania, spluwania, na które Kochanowscy patrzyli z daleka z pewnym wstrętem, ale przecież nie śmieli ich zabronić; dziecina ciągle pałała, zdawać się mogło, że na węgiel spłonie, taki żar bił od niej, osobliwie od głowy, która jakby rosła w oczach patrzących, tak były mocne w niej bicia pulsów, tak silne bóle. Dzień i noc dziecko leżało w srogiej wewnętrznej walce i prawie bez zmysłów, rzekłbyś, że mdłe jeszcze i niedojrzałe ciało objąć już dłużej niemoże nadzwyczajnego ducha, że przerwała się nagle równowaga, która je czas jakiś w towarzystwie trzymała, i idzie w ziemię roztrzaskane

śmiertelnie naczynie, a anielski jego mieszkaniec leci w górę, zając godniejsze między swemi miejsce. Głosiły tę walkę ducha z ciałem, rychły jej koniec i tryumf, słowa wymykające się czasami z ust dzieciny. Były w nich własne jej myśli i wyrażenia, były i zastosowane psalmy ojca, a w każdym z tych słów z niewypowiedzianą boleścią rodziców, którzy prawie ciągle siedzieli nachyleni nad jej kołyską, było oczywiście znamie, że coś w niej przeczuwa rychłą i niechybną śmierć, że to już wyrok zapadły, niecofniony, że nawet — co wyrzec okropnie, ale czego zapewne niemal każdy z nas doznał przy łożu śmiertelnem ukochanej osoby — już i modlić się za nią za późno, bo już sam Bóg dekret śmierci podpisał.

Raz szeptała dziecina jakby sama do siebie:

Jam trawa com nie czekała
Razu kosi siekającej,
Ale przed czasem zniszczała
Ogniem plagi gorącej.

Drugi raz siadając nagle w kołysce, patrząc śmiało w najciemniejszy kąt izby wskazywała palcem i mówiła mocnym głosem:

Śmierci! próżno mi grozisz.
Nic mi nie straszliwe
Twoje strzały popędliwe
Choć tu stoisz tuż przedemną
Nie lękam się — Bóg mój ze mną.
Ustąp miejsca aniołowi!

a to mówiąc wskazywała w drugą stronę izby koło okna gdzie Ludwina się modliła w cichości:

Widzisz go jak składa ręce,
Słyszysz jak słodko on mówi:
Przyszedł koniec twojej męce

Wezmę cię na me ramiona,
Orszulko będziesz zbawiona.

I wznosząc oczy w górę śpiewała z psalmistą:

Bóg nadzieja moja od pierwszego ranka!
Wisiałam u piersi drogiej matki mojej
A już byłam w opiece, liche dziecko, Twojej.

To powiedziawszy wyciągała ręczyny, szukała wzrokiem matki, przykładała z uczuciem ręce jej do spiekłych ust swoich, a widząc ją napół żywą, wybladłą, łzami zalaną, odzywała się do niej po swojemu, mową zupełnie naturalną, prawie wesołą:

A płacz, matko, proszę;
Ja idę do nieba,
Na czyste rozkosze;
Mnie zazdrościć trzeba.
Twoja luba córka,
Oblecze się w piórka,
Z aniołkami siedzie.
Matko! źleż ci będzie
Mieć swego aniołka?

I zdawało się po nagłej zmianie jej twarzy z cierpiącej w swobodną, z ludzkiej w Boską prawie, że już jest owym aniołkiem, że już używa owych rozkoszy; głos czysty, silny, a słodki i nadziemski wypuszczając z siebie śpiewała jak w niebie śpiewają:

Mój wiekuisty pasterz mnie pasie;
Nie zejdzie mi nic na żadnym czasie,
Zawiódł mnie w pasze niepospolite,
Nad zdrowie żywej wody obfite.
Wszystkim on łaskaw którzy służą Jemu
Tak w małym wieku jako dorosłemu.

A zaprzestając znowu i śpiewu i wiersza, jakby dla silniejszego przekonania rodziców mówiła z powagą,

nie jak maleńka dziecina, ale jak dojrzała świętą mądrością osób: — Umrzeć! i co złego umrzeć? Jezusowi umrzeć — to wiecznie żyć. I wpadając jakby w zachwycenie, klękała w kołysce, składała ręce i modliła się z zapalem: — O! rychłoż pójdę? — wołała — rychło się ukaże Jezusowi memu? I po chwili jak gdyby już widziała spełnienie modłów swoich mówiła z najwyższą radością:

O! idzie, idzie mój Jezus drogi!
Trzyma go Dziewica w bieli
Otaczają ich anieli;
Rzucę ja im się pod nogi,
Przyjmie dzieciątko dziecinę
Przytuli matka sierotę...

I w tem miejscu przerywając sobie nagle, jak gdyby na ów ziemski wyraz *sieroty* coś ziemskiego odezwało się w niej całej, zaczynała płakać do łez, przychodziła na chwilę zupełnie do siebie, poznawała wszystkich wracała do dziecinnego rozumu, do dziecięcej tkliwości wołała na siostry po ich imieniu, żegnała się z każdą z osobna, zwłaszcza z najmłodszą, z pięcioletnią Hanną, żegnała się z Nastką, z czeladzią, wołała nawet do kolebki psy domowe, kazała sobie przynosić łątki i zabawki swoje, i z niemi także się żegnała, matkę i ojca przyciągała do siebie, całowała ich ręce, głaskała po twarzy mówiąc żałośnie: — Już ja wam służyć nie będę — już nie zasięde mego miejsca za wdzięcznym stołem waszym — już nie będę za matką z kluczami chodzić — muszę jechać sama w ciemną, w daleką i nieznaną drogę — muszę zaniechać waszego domu na zawsze... I prosiła żeby okiennice i okna w izbie otworzyli, żeby się mogła jeszcze choć trochę napatrzeć światła słonecznego...

I w takim, w podobnym stanie trwała trzy dni i trzy noce w ciągłym ogniu, w ciągłym cierpieniu, przyjmując i biorąc chętnie wszystkie lekarstwa, znośząc bez szemrania wszelkie boleści, dziękując za każdą usługę, nareszcie czwartej nocy jeszcze dobrze przed świtaniem, wyrzekłszy wyraźnie i głośno te trzy święte imiona: — Jezus, Marya, Józef! — umilkła, mowa w niej ustała zupełnie, oczy się przewróciły i zamknęły na pół, wzmogło się okropne robienie piersiami, zaczęło się granie w gardle, zgoła, nastąpiło ostateczne pasowanie się śmierci z życiem, straszliwe konanie.

Już od trzech dni w srogiem i prawie pewnem oczekiwaniu tego nieprześląganego gościa, rodzice na tak wyraźne objawienie bliskiego jego nadejścia, padli na środku izby na kolana bez siły, zbladli, skamieniali, ciężki żal, głośne szlochania, trwoga opanowały młode siostry umierającej Orszulki, sędziwą Nastkę i obecną czeladź domową, jedna tylko Ludwina zachowała przytomność, jak gdyby najwięcej oswojona z owym posłańcem wieczności, albo najmniej mająca przyczyn obawiać się go. Ona rozpałała gromnicę, wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela postawiła przy kołysce, wzięła święconej Jordanowej wody, pokropiła nią męczącą się dziecinę i wszystko co koło niej było; obrazek Matki Boskiej włożyła jej w rączki, a klękłszy przy ogromnej świecy, zaczęła czytać z książki uroczyscie a rzeźliwie akty konających. Mimowolnie wszyscy poklękli i mówić za nią zaczęli. Matka odzyskała nawet tyle władzy i siły, że przyczołgała się do konającego dziecięcia swojego, a uniżywszy się przed Bogiem zdobyła się na owe wielkie słowa: »Panie stań się wola Twoja!» I w tej samej chwili zatrzęsała się kołyska, głęboki jęk dał się słyszeć,

dech lekki wionął, płomień gromnicy zadrżał, i nagle wszystko przestało, zrobiło się wielkie, głębokie, uroczyste milczenie, a każdy poznał, że przyszła śmierć, bo takie milczenie to mowa śmierci.

Nie mam siły, nie mam serca, a podobno i słów nie mam do opisania tego co działo się w Czarnolesie przez pierwsze chwile po tem spełnionem nieszczęściu. Żal matki któżby poważył się oddać? ktoby wysłowił ów ból jakiego doznawać musiała tracąc część samej siebie, umierając za życia, i musząc żyć, mimo tej cząstkowej śmieci swojej. I na odmalowanie żalu ojca nie łatwoby się odważyć, ale jak w tym razie nie ma żadnej potrzeby się silić, i byłoby rodzajem świętokradztwa, gdyby na wydanie uczuć Kochanowskiego po stracie Orszulki szukać słów innych, kiedy nam zostawił *Treny*.

Po pierwszych momentach osłupienia jakie ogarnia najczęściej po wielkiem nieszczęściu, po oddaniu ostatniej posługi »swojej wdzięcznej, niepospolitej dziecinie» głęboka i czarna rozpacz objęła Kochanowskiego. Póki jeszcze była w domu jego Orszulka, póki leżała w trumience na środku komnaty otoczona świecami, okryta kwieciem, póki się mógł wpatrywać w tę twarz ukochaną, której śmierć wróciła anielską pogodę i uśmiech, póki mógł całować te rączki złożone, w których błyszczał ów krzyżyk turkusowy, dar kanclerza, póki się nie zamknęło nad nią wieko grobowe, póki jej nie złożył obok matki swojej, nie przysypał ziemią — póty znał jeszcze jakieś granice w żalu swoim; ale kiedy wrócił ze Zwolenia i dom pusty zastał, przez kilka dni chodził jak obłąkany, albo też pogrążony w myślach siedział gdyby martwy po całych godzinach, o nic się nie pytał, nic nie słyszał, nie jadł prawie, nie spał wcale, sprawy

gospodarskie, przyjmowanie życzliwych krewnych i sąsiadów — którzy na odgłos niedoli zbiegali się do Czarnolasu — wszystkie trudy i zabiegi potocznego życia, wszystko to ciążyło na biednej matce, i może z rzetelnem jej dobrem, bo te konieczne zachody odrywały ją od jej żalu, albo też rozrzewniały do łez, co także ulgą jej było. Kochanowski zaś czuł i okazywał zupełną oschłość i rozdrażnienie w smutku swoim, z gniewem, częściej z cierpką ironią odpowiadał na słowa pociechy przyjaciół, na zalecanie mądrości i pobożnego męstwa, na przytaczanie przykładów, jak ten lub ów karę nieba wytrzymał. Obrażało go kiedy dostrzegł w domu, że już tak wszystko idzie jak szło za życia jego Orszuli, kiedy dosłyszał kogo bądź mówiącego o czem innem jak o niej, spostrzegłszy raz w kącie na ziemi jedną z jej zabawek, obruszył się jakby na bezbożność jaką, pozbiierał sam wszystko co do niej należało, całe jej ochędoztwo, wszystkie ubiory, zaniósł do swego pokoju, rozłożył na najlepszem miejscu i karmił tym widokiem wzrok swój, nie pozwalając nawet żonie dotknąć się najdrobniejszej szaty. I ta tkliwa dusza, znękana, pogniębiona, nie ukołysała się cokolwiek, nie wróciła do siebie dopóki ręka nie uchwyciła pióra, dopóki przepęlnionych uczuć swoich nie wylał na papier. Dziesiątej nocy po śmierci Orszulki siedząc samotny w swoim pokoju, tak skreślił swoje żale, a łzy z oczu mu płynęły:

I.

Wszystkie płacze, wszystkie łzy Heraklitowe
I lamenty i skargi Simonidowe:
Wszystkie troski na świecie wszystkie wzdychania
I żale, i frasunki, i rąk łamanie;

Wszystkie a wszystkie zaraz w dom się mój znoście
A mnie płakać mej wdzięcznej dziewczki pomóżcie:
Z którą mię niepobożna śmierć rozdzieliła,
I wszystkich moich pociech nagle zbawiła!
Próżno płakać, podobno drudzy rzeczenie;
Cóż prze Bóg żywy, nie jest próżno na świecie?
Wszystko próżno, macamy gdzie miękcej w rzeczy,
A ono wszędy ciśnie; błąd, wiek człowieczy.
Nie wiem co lżej, czy smutku jawnie żałować,
Czyli się z przyrodzeniem gwałtem mocować.

II.

Jeślim kiedy nad dziećmi piórko miał zabawić,
A kwoli temu wieku lekkie rymy stawić:
Bodajżebym był raczej kolebkę kołysał
I z drugimi nieważne mamkom pieśni pisał,
Ktoremiby dziecińki noworodne śpiły
I swoich wychowawców lamenty tuliły.
Takie fraszki mnie zbierać pożyteczniej było
Niżli w co mię nieszczęście moje dziś wprawiło:
Płakać nad głuchym grobem mej wdzięcznej dziewczyny
I skarżyć się na srogość ciężkiej Prozerpiny.
O prawo krzywdy pełne! o znikomych cieni
Sroga, nieubłagana, nieużyta ksieni!
Tak li moja Orszula jeszcze żyć na świecie
Niemiawszy, musiała w rannym umrzeć lecie?
I nienapatrzywszy się jasności słonecznej,
Poszła nieboga widzieć kraj ów uocy wiecznej.
A bodaj ani była świata oglądała!
Co bowiem więcej jeno ród, a śmierć poznała?
A miasto pociech, które winna z czasem była
Rodzicom, swym, w ciężkim je smutku zostawiła.

III.

Wzgardziłaś mną, dziedziczko moja ucieszona!
Zdałaś się ojca twego bardziej uszczuplona
Ojczyzna, niżlibyś ty przestać na niej miała.
To prawda, żeby była nigdy nie zrównała

Z rannym rozumem twoim, z pięknymi przymioty,
Z których się już znały twoje przysze cnoty.
O słowa, o zabawo, o wdzięczne ukłony,
Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony!
A ty pociecho moja, już mi się nie wrócisz
Na wieki, ani mojej tęsknicy ukróćisz.

IV.

Zgwałciłaś, niepobożna śmierci, oczy moje,
Żem widział umierając miłe dziecię swoje;
Widziałem kiedyś trzęsła owoc niedojrzały.
A rodzicom nieszczęsnym serca się krajały.
Nigdyby ona była bez wielkiej żałości
Mojej umrzeć nie mogła; nigdy bez ciężkości
I serdecznego bólu, w któremkolwiek lecie,
Mnieby smutnego była odbiegła na świecie:
A nim ja już z jej śmierci nigdy żałościwszy,
Nigdy smutniejszy nie mógł być, ani tęskliwszy,
A ona (by Bóg chciał) dłuższym wiekiem swoim,
Siła pociech przymnożyć mogła oczom moim,
A przynajmniej tymczasem mogłemy odprawić
Wiek swój i Persephonie ostatniej się stawić
Nie uczuwszy na sercu tak wielkiej żałości,
Której równia nie widzę w tej tu śmiertelności.
Nie dziwuję Niobie, że na martwe ciała
Swoich najmilszych dziełek patrząc, skamieniała.

V.

Jako oliwa mała pod wysokim sadem
Idzie z ziemi ku górze macierzyńskim śladem:
Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,
Sama tylko dopiero szczupłym prątkiem wschodząc:
Tę, jeśli ostre ciernie, lub rodne pokrzywy
Uprzątając sadnik ów podciął skwapliwy,
Mdleje zaraz; a zbywszy siły przyrodzonej
Upada przed nogami matki ulubionej.
Tak ci się mej najmilszej Orszuli dostało;
Przed oczyma rodziców swoich rosnąc, mała

Od ziemi się zniósłszy, duchem zaraźliwym
Srogiej śmierci otchniona, rodzicom troskliwym
U nóg martwa upadła. O zła Persephono
Mogłaś tak wielu łzom dać upłynąć płono!

VI.

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo Słowiańska,
Na którą nietylko moja częśćka ziemiańska,
Ale i lutnia moja dziedzicznym prawem spaść miała!
Tęś nadzieję już po sobie okazowała
Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając
Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając.
Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym
Całą noc prześpiewa gardłkiem swoim ucieszonym.
Prędkoś mi nazbyt umilkła; nagle cię sroga
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga.
Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami
I tę trochę teraz płacę sownie łzami:
A tyś ani umierając śpiewać przestała —
I matkę ucałowawszy takeś żegnała:
»Już ja tobie, moja matko służyć nie będę,
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasięde,
Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać.
To i czego żal ojcowski nie da serdeczny
Przypominać więcej... był jej głos ostateczny
A matce słysząc żegnania tak żałośliwe
Dobre serce, że od żalu zostało żywe!

VII.

Nieszczęsne ochędodztwo, żalosne ubiory
Mojej najmilszej córy;
Po co me smutne oczy za sobą ciągniecie?
Żalu mi przydajecie.
Już ona członeczków swych wami nie odzieje.
Nie masz, nie masz nadzieje!
Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany!
Już letniczek pisany

I uploteczki w niwecz i paski złocone,
Matczyne dary płone.
Nie do takiej łożnicy, moja dziewczko droga,
Miała cię mać uboga
Doprowadzić, nie taką dać obiecała
Wyprawę, jakąć dała.
Gieźleczo tylko dała, a lichą tkaneczkę;
Ojciec ziemi bryłeczkę
W główki włożył... Niestetyż! i posag i ona
W jednej skrzynce zamkniona.

VIII.

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim
Moja droga Orszulo, tym zniknieniem swoim;
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było;
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.
Tyś za wszystkich mówiła, za wszystkich śpiewała
Wszystkieś w domu kąciki zawdy pobiegała;
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani ojcu myśleniem zbytniem głowę psować.
Teraz wszystko umilkło, szczerze pustki w domu,
Nie masz zabawki, nie masz rozśmiać się nikomu.
Z każdego kąta żalność człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje.

IX.

Żaden ojciec podobno bardziej nie miłował
Dziecięcia, żaden bardziej nad mię żalował,
A też ledwie się kiedy dziecię urodziło
Coby łaski rodziców swych tak godne było!
Ochędóżne, posłuszne, karne, niepieszczone,
Śpiewać, mówić, rymować, jako co uczone;
Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę,
Obyczaje panieńskie umieć i zabawę.
Roztropne obyczaje, ludzkie, nie rzewliwe,
Dobrowolne, układne, skromne i wstydlive.
Nigdy ona pokarmu rano nie wspomniała
Aż pierwiej Bogu swoje modlitwy oddała;

Nie poszła spać, aż pierwiej matkę pozdrowiła
 I zdrowie rodziców swych Bogu porzuciła.
 Zawdy przeciwko ojcu wszystkie przebyć progi
 Zawdy się uradować i przywitać z drogi;
 Każdej roboty pomódz; do każdej posługi
 Uprzedzić było wszystkie rodziców swych sługi.
 A to w tak małym wieku sobie poczyniła,
 Że więcej nad trzydzieści miesięcy nie miała.
 Tak wiele cnót jej młodość i takich dzielności
 Nie mogła znieść; upadła od swojej bujności
 Żniwa nie doczekawszy. Kłósie mój jedyny,
 Jeszcześ mi się był nie stał, a ja twej godziny
 Nie czekając, znowu cię w smutną ziemię sieję,
 Ale pospołu z tobą grzebię i nadzieję.

X.

Orszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziiała?
 W którą stronę, w którąś się krainę udała?
 Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wzniesiona
 I tam w liczbę aniołów małych policzona?
 Czyliś do rajów wzięta? czyliś na szczęśliwe
 Wyspy zaprowadzona? czy cię przez tęskliwe
 Charon jeziora wiezie i napawa zdrojem
 Niepomnym, że ty nie wiesz nic o płaczu moim?
 Czy człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze
 Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?
 Czyliś się w czyścju czyścisz, jeśli z strony ciała
 Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?
 Czyś po śmierci tam poszła kędyś, pierwiej była,
 Niżes się na mą ciężką żalność urodziła?
 Gdziekolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żalności
 A niemożesz li w dawnej swej całości,
 Pociesz mię, jako możesz, a staw się przedemną,
 Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nikiemną!...

Tak wynurzywszy w nieśmiertelnym rymie żale swoje
 Kochanowski ulżył sercu, zmiękł, złagodniał, a oparłszy
 się na stole zawarł mimowolnie oczy i usnął sam nie-

wiedząc kiedy, usnął podobno pierwszy raz od śmierci Orszulki, spał do rana i co mu się już od kilku miesięcy nie trafiło, matka mu się przyśniła, matka, której okazywanie sę było dla niego — jak wiemy — zawsze dobrodziejstwem, bo jeżeli ją ujrzał w dniach szczęścia zwiastowała mu nową radość, jeśli w dniach trwogi lub smutku uspokojenie mu przynosiła, ale poco i ten sen jego nieudolnemi opisywać słowami, kiedy są jego własne tak piękne:

Żalność moja długo w noc oczu mi nie dała
Zamknąć i zemdlonego uspokoić ciała,
Ledwie mię na godzinę przed świtaniem swemi
Sen leniwy otoczył skrzydły czarnawemi,
Na ten czas mi się matka właśnie ukazała,
A na rękę Orszulę moją wdzięczną miała;
Jako więc po paciorek do mnie przychodziła
Skoro z swego posłania rano się ruszyła:
Gieźleczko białe na niej, włoski pokręcone,
Twarz rumiana, a oczy ku śmiechu skłonięne.
Patrzę co dalej będzie? aż matka tak rzecze:
»Śpisz, Janie, czy cię żalność twoja zwykła piecze?
Zatymem ciężko westchnął i tak mi się zdało,
Żem się ocknął. A ona pomilczawszy mało
Znowu mówić poczęła: — Twój nieutulony
Płacz, synu mój, przywiódł mię w te tu wasze strony
Z krain bardzo dalekich; a lzy gorzkie twoje
Przeszły aż i umarłych tajemne pokoje,
Przyniosłam ci na rękę wdzięczną dziewczkę twoją,
Abyś ją mógł oglądać jeszcze, a tę swoją
Serdeczną żalność ujął, która tak ujmuje
Sił twoich i tak zdrowie nieznacznie twe psuje.
Czyli nas już umarłe macie za stracone
I którym już na wieki słońce jest zgaszone?
A my owszem żywiemy żywot tem ważniejszy,
Czem nad to grube ciało duch jest szlachetniejszy.
Ziemia w ziemię się wraca; a duch z nieba dany

Miałby zginąć ani na miejsce swe wezwany?
O to się ty nie frasuj, a wierz niewątpliwie,
Że twoja najmilejsza Orszuleczka żywie.
A tu więc takim ci się kształtem pokazała,
Jakoby się śmiertelnym oczom poznać dała:
Ale między anioły i duchy wiecznemi
Jako wdzięczna jutrzienka świeci, a za swemi
Rodzicami się modli, jako to umiała
Z wami będąc, choć jeszcze słów nie domawiała.
Jeśliż też ztąd roście żalność, że jej lata
Pierwej są przyłomione, niżli tego świata
Rozkoszy zażyć mogła: o! biedne i płone
Rozkosze wasze! które tak są osadzone,
Że w nich więcej frasunków i żalności więcej;
Czego ty doznać możesz sam z siebie najprędzej.
Ucieszyłeś się kiedy z dziewczki ty tak wiele,
Żeby pociecha twoja i ono wesele
Mogło porównać z twoim dzisiejszym kłopotem?
Nie rzeczesz tego widzę. Także trzymaj o tem
Jakoś doznał; ani się frasuj, że tak rana
Twojej ze wszech najmilszej dziewczce śmierć zesłana.
Nie od rozkoszyć poszła; poszłać od trudności,
Od pracy, od frasunków, od łez, od żalności.
Czego świat ma tak wiele, żeby też co było
W tym doczesnym żywocie człowieczeństwu miło:
Musi smak swój utracić przez wielkość przysady,
A przynajmniej przez bojaźń nieuchronnej zdrady.
Czegóż płaczesz prze Boga? czegóż nie zażyła?
Że sobie swym posagiem Pana nie kupiła;
Że przegrózek i cudzych fuków nie słuchała,
Że boleści w rodzeniu dzieci nie uznała?
Ani umie powiedzieć, czego jej troskliwa
Matka doszła: co większem utrapieniem bywa,
Czy je rodzić czy je grześć? Takieć pospolicie
Przysmaki wasze, czem wy sobie świat słodzicie.
W niebie szczere rozkosze, a do tego wieczne,
Od wszelkiej przekazy wolne i bezpieczne.

Tu troski nie panują, tu pracy nie znają;
Tu nieszczęście, tu miejsca przygody nie mają;
Tu choroby nie najdzie, tu nie masz starości
Tu śmierć łzami karmiona nie ma już wolności.
Żyjem wiek nieprzeżyty, wiecznej używamy
Dobrej myśli; przyczyny wszystkich rzeczy znamy;
Słońce nam zawdy świeci, dzień nigdy nie schodzi
Ani za sobą nocy niewidomej wodzi;
Twórcę wszech rzeczy widzimy w jego majestacie,
Czego wy w ciele będąc próżno upatrzacie.
Tu w czas obróć swe myśli, a chowaj się na te
Nieodmienne, synu mój rozkosze bogate.
Doznałeś co świat umie i jego kochanie
Lepiej na czem ważniejszym zasadź swe staranie.
Skryte są Pańskie sądy; co się Jemu zdało
Najlepiej żeby się też i nam podobało.
Tego się, synu, trzymaj a ludzkie przygody
Męźnie noś; jeden jest Pan smutku i nadgrody
Tu zniknęła. Jam się też ocknął. Aczciem prawie
Nie pewien, jeśli przez sen słuchał, czy na jawie.

ROZDZIAŁ XXIII.

Tak przyjaciela przyjaciel żałuje.

Psalm XXXV.

Od tego pamiętnego snu, od tego nowego zjawienia się drogiej matki, Kochanowski stał się zupełnie innym człowiekiem. Zdawało się, że dobroczynna ręka stargane jego myśli rozwiązała ścieśnione serce, wskrzesiła obumarłego ducha. Nieznośna jego żałość, czarna rozpacz, ostre skargi przybrały barwę łagodnej tęsknoty, pobożnego smutku. Płakał, ale rześiste łzy jego gasiły żal, bo płacząc zgadzał się, podlegał i modlił się. Najchętniej siadywał sa-

motny to pod lipą swoją, to w pokoju, to na tarasie, ale już słuchał uprzejmie i z wdzięcznością słów pociechy sąsiadów i krewnych, rozmawiał poufale z żoną, z Ewą, a podobno najpoufalej z Ludwiną. — Dusza świętej od ziemi oderwanej dziewczeczki najlepiej przystawała teraz do jego duszy, bo i on widocznie dążył gdzieś wyżej, i u niego tracił cenę świat ten i sława jego, i on jawnie poznawać zaczynał, że wielkie a nienasycone serce człowieka dla samego »Boga jest uczynione i nikt jeno sam Bóg napełniać go nie może«. Z zupełną rzetelnością, z głęboką pokorą powtarzał z Jobem: »Pan dał, Pan wziął według upodobania Swego: niech imię Pańskie będzie pochwalone«. Zgoła, zrobił się takim, jakim by powinien być każdy chrześcijanin, gdyby każdy mógł się zdobyć na podobną doskonałość: zupełnie oddany woli Boga, przyjmujący z ręki Jego smutek jak dawniej przyjmował wesele, gotowy na większe jeszcze ciosy, gotowy na śmierć i na życie, byle bądź co bądź łaskę Boga odzyskał, a odzyskaną zachował.

Więcej niż tydzień po owym śnie błogosławionym, właśnie w wigilię Wniebowzięcia Najświętszej Panny, Kochanowski wstał przed wschodem słońca, oświadczywszy żonie, że ani na śniadanie ani na obiad nie wróci, dosiadł swego siwosza i pojechał do Zwolenia. Tam oczyścił się wodami świętej pokuty, wzmocnił duszę chlebem żywota, potem objechał z kolei, Barycz, Jasieniec, Policzną, Gródek, wszędzie dostał prawdziwą jałmużnę serca: łzę rzewną i błogosławieństwo, a wróciwszy na parę godzin przed wieczorem zamknął się w swoim pokoju, i zaczął przeglądać swoje papiery. Lubo dzień był ciepły, wskrzesił ognia w kominie i większą połowę tych papierów spalił. Kiedy z wyrazem tajemnej radości patrzył

jak ogień pożera owe świadki i dowody innych zapewne czasów i innych uczuć, żona zastukała nieśmiało do drzwi i wezwała go do wieczerzy. Przyszedł wkrótce zamyślony ale pogodny, jasność nawet biła z oblicza jego, zjadł nieco więcej niż zwykle, rozmawiał o krewnych u których był, a obiecując rychły powrót, poszedł znowu do siebie. — Zdziwiło i ucieszyło bardzo to postępowanie matkę i córki. Od rana rozmawiały między sobą: — Dziś dzień naznaczony na nieochybny powrót naszych kochanych wędrowników, dawniej jeszcze przed tem nieszczęściem, ojciec tak często o tym dniu wspominał, tak go niecierpliwie wyglądał! Ile to razy on nam mówił, że skoro czternasty sierpnia zawita, ani zejdzie z tarasu, jedno od rana do wieczora wypatrywać ich będzie. Dziś, kiedy dzień ten nadszedł, wyjechał skoro świt z domu, jeździł w zupełnie inne strony, nie naprzeciwko nich, i zda się czy zapomniał, czy też całkiem jest dobrej nadziei.

— Panu Bogu za tę łaskę dziękować! — dopowiadała Kochanowska — więcej niż od tygodnia — mówiła ciszej — widzę ja w waszym ojcu zbawienną a wielką odmianę. Z razu zdawało mi się — Boże odpuść — że on nie dosyć pobożnie skaranie Pańskie przyjmuje, poważylałam się nawet niejakię przełożenia mu czynić, ale teraz on mnie zawstydzia poddaniem się a pokorą swoją. Prawdać, on mąż — ja niewiasta... i matka.

— I jabym rada z duszy tyle być spokojną co ojciec o naszych podróźnych — odezwała się tu Ewa spuszczaając głowę w robotę swoją — ale choć najmocniej chcę, to jakoś nie mogę. Zdaje mi się, że Pan Filip nigdy nie przyjedzie. — A cienkim ręcznikiem, który wyszywała — (gdyż czaprak już zupełnie był skończony), obcierała po-

kryjomu łyzy spadające jak groch z jej oczów, wstyd jej było bowiem i bała się obrazić Boga i rodziców, płacząc, niespełna w miesiąc po śmierci Orszulki, nad czem innym jak nad stratą siostry.

Patrząc jednak na rzeczy ludzkim okiem, uważając je jak my ziemscy — po ziemsku, słuszniejsze były łyzy od pogody Kochanowskiego.

— Ukończywszy wydzielone na ten dzień roboty, matka i trzy starsze córki siedziały sobie koło pieca w kółko, czekając rychło ojciec przyjdzie na wieczorne modlitwy, a gwarząc pół głosem wystawiały sobie — już nie po raz pierwszy — jakie smutne będzie jego powitanie z przyjacielem, radziły także: czyby nie wypadało uprzedzić pierwaj jakim sposobem Podlodowskiego a przy najmniej Filipa? Już miały zamiar wyprawić pana Łukasza Gupolskiego do najbliższej wioski, przez którą musieli przejeżdżać, żeby czatował na nich, i oznajmił im przytrafione nieszczęście, kiedy Nastka — której od śmierci Orszulki z dziesięć lat przybyło — jeszcze bledsza i więcej zapłakana niż zwykle, weszła do izby, a skrywszy się cokolwiek za piec chciała nieznacznie wywołać Ewę. Lecz Kochanowska dostrzegła i pomieszanie jej i skinieniem ręki, strwożona myśl jej, najmłodsze córeczki Hannę i Marychnę objęła, ale siedziały obie w kącie izby zajęte układaniem i wiązaniem snopków z ziół rozmaitych, które jutro jako w dzień Matki Boskiej Zielnej zanieść miano do kościoła. — Czy pan nie zasłał! — zawołała porywając się ze swego stołka.

— Pan zdrów — w swoim pokoju — odpowiedziała stara piastunka — ale...

— Cóż ale! mów.

Oto pan rotmistrz przyjechał.

— Pan rotmistrz! — krzyknęła Ewa biegnąc ku drzwiom, a była radość w jej głosie, był wesoły pospiech w jej skoku, gdyż nie powstało w tej chwili w jej głowie, żeby mogło być nieszczęście, kiedy jej Filip przyjechał. I otworzyła na oścież drzwi od sieni i ujrzała swego Filipa. Ależ jakiego? Oczy kochanki ledwie go poznały: zbladły, przestraszony, schudzony, zaniedbany w ubiorze, ukazał jej się jako gdy kto z trumny wstanie, albo gdy kogo krew uchodzi, nie rzucił się jej do nóg, nie przemówił słowa, tylko stał oparty o ścianę, jak zbieg, jak winowajca.

Filip wracał sam. Przeczucia Kochanowskiego przy żegnaniu się z przyjacielem spełniły się, Podlodoski już nie żył od miesiąca.

Cała podróż powiodła im się jak najpomyślniej, koni zakupili piękniejszych niż pierwszym razem a samych arabskich, panu podkoniuszemu udało się z nadzwyczajnem szczęściem zadosyć uczynić tajemnym a ważnym poleceniom króla: przepatrzył całe wojsko tureckie, wszystkie ich siły, nazbierał wiadomości potrzebnych a pomyślnych niemało, i wracał rad i wesół. Sam Filip nie mógł więcej przyspieszać drogi od niego, nie mógł być szczęśliwszym za każdą ujechaną milą, zdawało się, że i na niego czeka wierna Bogdanka.

Jakoż czekała — ale była to inna Bogdanka, chociaż także wierna i słowna, bo nigdy żadnego człowieka nie minie. — Podlodoski w pierwszej podróży swojej do Turcyi zwrócił był na siebie oczy mężką urodą, wybornem jeżdżeniem na koniu, a okazywaniem pieniędzy wzbudził chciwość w łotrach, na jakich wielkim stolicom i okolicom ich nigdy nie zbywa. Napadli na niego, on bronił im się, jak wiemy. Ale tym razem do wyrażonych

powodów przybyły nowe: wyższe osoby zmiarkowały w jakim celu przybył, jakie wywozi wiadomości, i zawyrokowały, że najlepiej będzie pozbyć go się. Użyto tych samych łotrów, ale im dodano ludzi i broni, i zbrodnia udała się.

Kiedy Podlodowski, Filip, i służba ich już o mil kilkanaście od Carogrodu wypoczywali koniom w noc piękną księżycową, a czuwając rozmawiali mile o dniu powrotu do Czarnolasu, o radośniejszym jeszcze dniu wesela, nagle, z kilku stron napadła na nich potęga ludzi zbrojnych, więcej niż po sześciu było na każdego, ledwie też dosiąść koni swoich potrafili, ale niepodobną się stało rzeczą obronić się albo umknąć. — Cała służba Podlodowskiego legła, a najpierwej on sam mimo nadludzkiego męstwa z jakim stawiał się napastnikom, mimo synowskiego poświęcenia z jakim Filip go bronił. Nieszczęsny, ujrzał na własne oczy głowę ojca odciętą od karku i schwytaną z okrzykiem tryumfu przez łotrów, tym jedynie uszedł śmierci, iż w tej chwili ugodzony kilkoma razami, z żalu, z bólu, i z wielkiej utraty krwi padł jak bez duszy, i zapewne dla jakiegoś niespodziewanego popłochu zostawionym był na placu bitwy przez zbójców, którzy zabrawszy wszystkie inne ciała, bogactwa i podarki ślubne zakupione, konie co do jednego, uszli w las i w ciemnościach jego przepadli.

Ocalony prawie cudem Filip, nad rankiem budzić się zaczął z wolna. Jeszcze osłabiona myśl jego nie zdołała objąć tej całej straszliwej przygody, jeszcze nie wiedział wcale gdzie jest, co się z nim dzieje, jeszcze powiek otworzyć nie mógł, kiedy posłyszał zdaleka stąpanie niepewne, nierówne, a coś w nim go strzegło, że to stąpanie wroga. Przeczuciem, utaił w sobie dech. Dwóch ludzi stanęło nad

nim. — Nie żyje! — odezwał się jeden z nich w mowie krajowej.

— Coś się tu okropnego dzieć musiało tej nocy — rzekł drugi pół głosem — i nie na próżno my owe krzyki słyszeli z naszej jamy, legło tu więcej takich jak ten młodzieniec, krwi stoi kałuża, konie leżą pozabijane, szczątki obcych ubiorów i zbroi... uciekajmy, by nas nie schwytano...

— Zdjąćby mu jednak warto ten cudny pierścień — przemówił znowu drugi — to rubin wielce szacowny, ja się znam.

— Zgoda — dodał tamten — jedno żwawo. — I uchwycili bez oporu rękę Filipa. Ale ta ręka była stłuczona, zsiniała, opuchła, palce nabrzękle, nie było więc można ściągnąć pierścienia, bez żadnej narady nożem rzecz swoją sprawili, a porwawszy pierścień z ciekącym krwią palcem uszli co tchu nie oglądając się, ile że usłyszeli jęk swojej wskrzeszonej ofiary.

Ból, jaki Filip cierpiał w tej chwili, wystawić sobie łatwo, lecz większy jeszcze był żal za pierścieniem, który Ewa sama na palec mu włożyła, z którym żegnała się tak tkliwie, który on pod ciężkiem zaklęciem przyrzekł złożyć kiedyś u nóg jej. Ten żal miłośny ocucił go zupełnie, ale oraz cała okropność większego daleko nie-szczęścia padła mu na serce, stanęła przed oczami. Strata zakładu wiary kochanki znikła przed pamięcią owej głowy ojcowskiej, którą widział w ręku zbójców, która już odcięta zdawała się jeszcze patrzeć na niego... Zerwał się na nogi, chciał wołać zemsty — lecz sił mu brakło, padł znowu na ziemię, a na domiar boleści, cóż ujrzał koło siebie? oto ulubionego Turczynka bez życia. — Jak sobie w tej chwili przypomniał, biedne zwierzę pierwszej

przed nim było upadło, a nawet dosyć daleko od miejsca, gdzie on w końcu bronił ojca stojący i oparty o drzewo, ale przyczołgał się znać koń wierny, żeby skończyć u nóg pana swego. Na ten widok łzy rzęsiste oblały pokrwawioną twarz rotmistrza i do reszty umysł jego rozjaśniły. Dwie chęci zajęły znękaną jego duszę domagać się sprawiedliwości za tak straszliwe zabójstwo ojca i dobroczyńcy, i przekonać się jak najrychlej, czy Ewa zdrowa, czy żyje, czy go kocha? bo w tej chwili, taka ogarnęła go rozpacz, takie zwątpienie, iż pewny był, że wszystko stracił od razu. — Odzyskawszy nieco sił, zawlókł się do najbliższej wiejskiej osady, gdzie go przecie poratowano. Świadomy z pierwszej podróży, jak długiego czasu potrzeba w Turcyi do otrzymania sprawiedliwości, wreszcie bez pieniędzy, następującymi tylko aktami rozpoczął sprawę, złożył u kadego skargę, stawił świadków, którzy wraz z nim pobojowisko zwiedzili, zostawił znalezione szczątki szat i zbroi, oświadczył, że król Polski, wielki »Batury Isztywan« poszukiwać będzie zbrodni na jego urzędniku dokonanej, a to uczyniwszy obrócił się ku Polsce. — O ile mu dozwoliły bolesne choć niebezpieczne rany, o tyle dążył tam, gdzie mogło jeszcze być szczęście dla osieroczonego serca, jeśli Ewa żyje, jeśli mu sprzyja. Przecież, im więcej zbliżał się do Czarnolasu, tem spokojniejszy był o życie, o uczucia Bogdanki, a tym silniejsze dręczyły go wyrzuty, że się nie pomścił za ojca, że nie odszukał jego ciała, że bez tych drogich zwłok wracał, i dla tego stał w sieni jak winowajca, i kilka chwil minęło zanim osłupiała Kochanowska i córki jej zrozumieć potrafiły ze słów jego, co się stało.

Kiedy Filip te straszliwe rzeczy przerywano opowiadał, skaleczoną rękę pokazywał, a mowę jego głuszyły

jęki i płacze niewieście i dziecinne, kiedy zacna Hanna zapominając własnej siostrzyńskiej boleści wołała tylko: Ach! mąż mój! mąż mój! — Kochanowski stanął niespodzianie wśród nich, a o nic się nie pytając, wszystko odgadł. Nie wydał ani krzyku ani jęku, jednej łzy nie uрониł, zachwiał się tylko cały, i oprzeć się musiał na stojącej najbliżej niego Ludwinie: — Tego ciosu mi niedostawało i tegom się spodziewałem, rzekł z głęboką ale spokojną boleścią, Pan jawnie przemawiać do mnie raczy; chce, żebym od razu odżałował wszystkiego i gotowałem się na trwalsze rozkosze. Niech imię Jego będzie pochwalone. — A usiadłszy na ławie, którą mu przysunęła żona, kazał powtórzyć Filipowi, to co już był niewiastom powiedział i słuchoał go długo w cichości. — Zobaczymy się Jakóbie! — zawołał nareszcie jakby odpowiadając tajemnej myśli i uśmiechnął się nadobnie. — Ale pierwej — dodał rumieniając się nagle i wstając — dopełnić muszę ostatecznego obowiązku jaki przyjaźń na mnie wkłada, muszę otrzymać sprawiedliwość za tę niesłychaną zbrodnię, za to zgwałcenie prawa narodów, alboważ to taka jemu śmierć się należała! nie byłoż mu już zginąć tyle razy w obronie ojczyzny?... Toż i ciała jego mam nie ujrzyć nigdy, nie ucałować tej wdzięcznej głowy? Młodzieńcze — rzekł obracając się do Filipa — trzeba nam niebawem wybierać się do Lublina, tam konwokacya dla sądzenia Zborowskich się zbiera: ja sam całą sprawę przyjaciela przedstawię Miłościwemu Panu; on jej wysłucha, on się pomści, sprawiedliwy, on uczuje własną krzywdę, on szacował mego Jakóba... Należy jeno wszystkie okoliczności tej straszliwej przygody zebrać i wyłożyć jasno i dokładnie, należy je spisać, gdyż niewiem czyby mi pamięć wiernie służyć chciała.

A według tego jak mówił tak i uczynił. Niepospolite ukazując męstwo, przez dni kilka prawie z zimną krwią wypytywał się o Owadowskiego, o najdrobniejsze szczegóły pobytu i czynności przyjaciela w Carogrodzie, okropnej jego śmierci, a potem w nocy spisywał wszystko u siebie i obszerną a wymowną układał obronę. Po kilku takich dniach i nocach, pożegnał żonę i córki błogosławiąc je, wydał rozkazy co do gospodarstwa, jak gdyby długą miała być jego niebytność, o resztę radzić się kazał bratanka Andrzeja z Gródka i pojechał do Lublina, a z nim Filip, który mimo zawsze równego żalu za przybranym ojcem, postrzegł w przyémionych łzami oczach Ewy, usłyszał z pobladyłych ust jej, że może być jeszcze dla niego szczęście na świecie.

Ale dla Kochanowskiego zbliżała się już ostateczna godzina, przeczuwał ją i ledwie wyjechał za wrota domowe, otwarcie zaczął mówić Filipowi o śmierci swojej. — Niewiem dnia i godziny kiedy nastąpi — powtarzał — ale wiem, że przyjaciel niedługo czekać będzie spełnienia młodzieńczej umowy naszej — zdawna, ten wyrok podpisany gdzieś wyżej. Bóg nie opuści wdowy i sierót moich... Ty młodzieńcze będziesz synem mojej Hannie, będziesz bratem sióstr mojej pierworodnej i mego pogrobka... Pan w miłosierdziu swoim oświecił mnie niedolą, nie lękam się śmierci, raczej lękałbym się życia!...

I w takich uczuciach, wśród pogodnych zwierzań się stanął w Lublinie, już zastał króla i kanclerza, już też i wiedziano o straszliwym zabiciu Podlódowskiego. — Stefan Batory mocno zmartwiony stratą wiernego sługi, nie mniej był obruszony na krzywdę majestatowi swemu uczynioną, przystał więc jak najchętniej na żądanie przyjaciela i szwagra obżałowanego, który domagał się jak

o łaskę, aby sam był rzecznikiem w tej sprawie. Wyzna-
czył mu publiczne posłuchanie na dwudziesty drugi sier-
pnia. Kochanowski lubo słaby dnia tego, nie chciał uleż by-
najmniej przedstawieniom młodego Filipa i synowca swego
Krzysztofa, którzy go namawiali oba, żeby wyjednał so-
bie u monarchy odłożenie tego stawienia się na dzień
następny. — Nie — odpowiadał — pójdę, iść muszę, dziś,
albo nigdy. — I zdawało się, że jakaś niewidoma siła
ciągnie go do zamku królewskiego. — Lecz zaledwie
wstąpił w podwoje, zaledwie wszedł do sali, gdzie zebra-
nych było kilku panów i urzędników dworu czekających
przybycia monarchy, a którzy wszyscy powstali, by za-
cnego poetę powitać — padł pośrodku nich uderzony
apopleksją. — Przerazenie i żal rozległy się w jednej
chwili po całym gmachu, sam król przyszedł do łoża, na
którem złożono tymczasowo znakomitego męża, lekarzom
swoim ratować go kazał; Zamojski sam go ratował, sam
trzymał obnażoną jego rękę do krwi upuszczenia, z któ-
rej już krew iść nie chciała. — Daremne były wszelkie
starania: Kochanowski raz tylko na jedną chwilę otwo-
rzył oczy i podniósł je w górę, widać było, że się modli,
zawołał raz jedyny niewyraźnym głosem: — O Boże! —
i oddał ducha na zawsze.

Zbyteczna żałoba okryłaby ostatnie karty tych obra-
zów, gdybym tu wystawić chciała żywy żal sprawiony
tą nagłą śmiercią Jana Kochanowskiego, a to nie tylko
w owym Czarnolesie tak długo wesołym i szczęśliwym,
ale w całej Polsce. Mało który człowiek z ówczesnych,
potrafił sobie tylu przyjaciół pozyskać, tyle wysłużyć
sławy, mało który poruszył więcej łez, wzbudził więcej
żałobliwych głosów. Bielski umieścił zgon jego w swojej
kronice, Szymonowicz, Klonowicz, Paprocki, Grochowski,

Niegoszewski i wielu innych poetów, pienia grobowe nad nim nucili. Ciało jego w wielkim poczcie panów, szlachty i prostego ludu odprowadzone zostało ze czcią do Zwolenia i pochowane obok matki jego i wdzięcznej Orszuli, a strapionej wdowie każdy niósł słowo pociechy. Choć ona nieboga już innej odtąd nie знаła jak w Bogu i dzieciach.

W parę miesięcy po śmierci męża powiła pożądanego i obiecywanego syna; pocziwa Nastka zdążyła jeszcze wypiaستować go sama, trzymał go do chrztu Jan Zamojski, dał mu ojca i własne imię. Wychował się szczęśliwie ów pogrobek, »którego oczy ojcowskie nie widziały«, a gdy dorósł, próbował iść w ślady rodzica poety i wuja rycerza: takie mu przynajmniej daje świadectwo Twardowski w poemacie swoim: »Władysław czwarty«. Wyliczając wodzów ciągnących na wojnę za młodym jeszcze królewiczem, mówi:

Dalej Jan Kochanowski, który cechowany
W Helikonie z Muzami, dotąd się Febową
Bawił lutnią, Korwinom zacnym swym nie nową;
Porzucił zakat wiejski, teraz na pogany
Od strun wdzięcznych do trąby, od pióra do piki,
Obok między drugimi stawa wojowniki.

A w tymże samym poemacie później opisuje, jak ów Jan w czasie walnej bitwy pod Cerkwią w takim był niebezpieczeństwie, że aż mu sam królewicz na obronę przyspieszył.

Ewa miała czas i porę dowieść drugim i sobie, że jej serce godne było uczuć i wzbudzić miłość stałą i prawdziwą. Związek jej z Filipem Owadowskim doznał wielu przeszkód i nie dla samej podwójnej żałoby od-

roczony został; sprawdziło się na nim stare przysłowie: »Zwłoka w ożenieniu zawsze bywa szkodna«, przecież doszedł nareszcie do skutku. Główną przeszkodą stał się testament Podlodowskiego, który choć ręką samego króla stwierdzony, po długich prawnych sporach był uznany za nieważny, brakowało mu bowiem konieczniejszego warunku ważności podobnego aktu: podpisu trzech a przynajmniej dwóch świadków, ze wszelką tedy prawną słusnością dalecy i bogaci krewni Podlodowskiego rozdzielili między siebie znaczny jego spadek.

Po takim wyroku sądowym Filip zupełnie ubogi, chciał odstąpić ręki Ewy. Pan Franciszek do urazy nie skłonny, cokolwiek przekrzesany między ludźmi, a wstąpieniem matki do klasztoru, zupełny pan Policzny i dwóch innych wiosek, gotów był upomnieć się o dawne prawa swoje; odzywał się także z daleka choć ostrożnie pan Krzysztof, oświadczał się przez pana Andrzeja z Gródka starszy Mysłowski, który z dawna wielki miał szacunek dla panny wojskiej, ale ona ani słuchać o żadnym chciała. Ja nie Studzienicy i dostatkom pana podkoniuszego, nie temu pierścieniowi, który Turcy tak okropnie porwali, jeno panu Filipowi Owadowskiemu oddałam serce i przysięgłam wiare; on żyje, on mnie zawsze żoną swoją mieć chce, ja za innego póki życia nie pójdę. Albo zakonnicą, albo rotmistrzową, to moja nieprzełamana wola, mam do jej dotrzymania dwóch ojców naszych błogosławieństwo. Matka mimo przedstawień przezornych przyjaciół sprzeciwiać jej się nie chciała, pobrali się więc Filip i Ewa w rok i sześć niedziel po Kochanowskiego śmierci; wesele było ciche, bez kołaczy, bez tańców, w szczupłym gronie bliższych krewnych, stary pan

Dobiesław ze łzami w oczach zastępował miejsce swego kochanego Janka... Już ułożono, że w Czarnolesie przy matce mieszkać będą, dopokąd pan młody nie upatrzy sobie jakiego kawałka chleba, kiedy niespodzianie królowa Anna uwiadomiona o tej całej okoliczności, rada okazać szacunek swój zmarłemu poecie, nadała pierworodnej jego córce Ewie z Czarnolasu i Filipowi Owadowskiemu jej małżonkowi na przeżycie cztery wioski w Radomskim, a poznawszy bliżej roztropnego młodzieńca używała go do posług swoich. Całe szczęście, jakie Ewa marzyła sobie w Studzienicy, znalazła w mniej malowniczym i spokojniejszym Jadowie, lubo brakowało obudwóch ojców, aby się niem cieszyli, przecież to jej szczęście nie było bez chmur, jak to zwykle szczęście świeckie, gdyż z licznych dziatek, jakimi ją Pan Bóg obdarzył, jedną tylko uchowała córkę, inne w dziecinnym wieku pomarły.

Ludwina na pół roku przed siostrą wyrzekła wieczne śluby swoje. W ostatnich czasach pobytu jej w rodzicielskim domu, Bóg, zdaje się jakby z umysłu jej, przedstawił wszelkie niedole i troski ziemskiego kochania, ażeby jeszcze tem silniej, tem ochotniej do Boskiego oblubieńca zdążała. Kwiaty jej wieńca nigdy nie zwiędły, owszem rozkwiwały codzien z nowym wdziękiem, bo codzien rosła w pokorze i pobożności, codzien żywot jej ziemski ściślej się żenił z wiecznością, a kiedy pełna lat i dobrych uczynków skończyła tę doczesną wędrówkę, klasztor Sandomierski miał wielką ochotę starania się o policzenie jej w poczet świętych patronek polskich, tak wiele okazała wysokich cnót, i dowodów łask nadprzyrodzonych.

Dorota w ósmnastym roku poszła za pana Franciszka, i znalazły się panny w sąsiedztwie, co zazdrościły jej losu. Rozrodzili się bardzo ich potomkowie, tak po mieczu jak po kądzieli.

Pan Krzysztof trzymał się ciągle swojej posady i nie źle na tem wyszedł. Obyczajem dworskim, zgodził się i na »Szwedzika« skoro go ujrzał w koronie, umiał nawet pozyskać łaski jego. Posłował do Turek, nie mało królewczyn nagromadził, i tak dobrze kierować się umiał, że jeszcze względów Władysława czwartego doznawał.

Co do innych osób historycznych wspominanych w tych obrazach, jako i o tem, w jaki sposób się spełniły pożądane lub obawiane wróżby, dzieje krajowe najlepiej nauczyć mogą, chociaż niestety! smutniejsze jeszcze nastąpiły zmiany w Rzeczypospolitej, niżli w Czar-
nolesie.

OBJAŚNIENIA

DO CZĘŚCI DRUGIEJ.

Str. Wiersz

- 3 9: *Epithalamium* = pieśń weselna. Pieśń tę napisał Kochanowski w r. 1578, kiedy Krzysztof Radziwiłł, hetman polny litewski, żenił się z Katarzyną Ostrowską, wojewodzianką kijowską.
- 5 15: *Epinicion* = pieśń zwycięzka. Utworzył ją Kochonowski na cześć Stefana Batorego po zakończeniu wojny z Iwanem Groźnym w roku 1582. Krzysztof Klabon należał do kapeli Stefana Batorego a potem Zygmunta III. Doroził on także muzykę do pieśni weselnej Kochanowskiego poświęconej uczczeniu godów Jana Zamojskiego z Gryzeldą Batorówną.
- 8 28: *listami glejtowemi*. List glejtowy (z niemiec. *sicheres Geleit*) jestto zapewnienie, w urzędowej formie przez władzę wydane, mocą którego podróżny mógł bez narażenia się na napady, przyczepki lub uwięzienie, odbywać

Str. Wiersz

swą drogę lub zatrzymywać się w pewnem państwie.

- 14 13: *Bekwarka* = Bekwark (właściwie *Greff Bakffark*) urodził się 1515 w Siedmiogrodzie, zmarł 1576 w Padwie. Podróżował bardzo dużo i kształcił talent muzyczny. Do Polski przybył około 1549 i stał się niebawem ulubionym lutnistą Zygmunta Augusta. Około roku 1565 opuścił dwór króla Polskiego, a zabawiwszy w Polsce jeszcze czas jakiś, udał się do Wiednia na dwór cesarza Maksymiliana.
- 17 26: *Adam Kochanowski*, syn Jakóba Kochanowskiego i Zofii Owadowskiej.
- 18 6: *Odprawę Posłów*. »Odprawa posłów« jestto dramat w stylu tragedyj greckich, napisany przez Kochanowskiego. Grano ten dramat w Jazdowie (dzisiejszym: Ujazdowie) »nad Warszawą« natenczas, 12 stycznia 1578 roku, na weselu Jana Zamojskiego z Katarzyną Radziwiłłówną.
- 24 4: *Paprocki*. Bartosz Paprocki, jeden z najruchliwszych i najpłodniejszych pisarzy naszych XVI stulecia, ur. około r. 1543, zm. około 1615. Głównem jego dziełem są »Herby rycerstwa polskiego« (1584).
- 24 8: *Modrzewski*. Andrzej Frycz Modrzewski, najznakomitszy nasz publicysta-polityk XVI wieku (1503 † 1572), jest autorem dzieła »O naprawie Rzeczypospolitej«, gdzie pierwsza księga

Str. Wiersz

- poświęcona została przedstawieniu obyczajów owoczesnych w Polsce.
- 30 3: *kordyaczny* = doznający ekliwości, ściskania w sercu, kapryśny.
- 31 4: *gierada*, z niemieckiego: *Gerät* = sprzęt, statki gospodarskie.
- 33 31: *mentlik* (z niemiec. *Mantel*) = płaszczyk.
- 34 31: *myczka* = mycka, czapeczka.
- 35 2: *forbotowa* = koronkowa.
- 36 15: *trousseau* = wyprawa ślubna.
- » 24: *Kasper Miaskowski*, poeta z Wielkopolski, urodził się r. 1549, zmarł 1622. W roku śmierci wydał jego »Zbiór rytmów« w Poznaniu.
- 40 1: Zob. przypisek do str. 132 † I-go.
- 42 27: *pustułka*, ptak z rodziny sokołów, uważany był za symbol niepłodności.
- » 30: *Miłościwą Panią*, królową poślubioną Stefanowi Batoremu, była Anna Jagiellonka, siostra Zygmunta Augnsta.
- 43 27: *Andrzej Batory*, synowiec króla Stefana, ur. 1562 wychowany u Jezuitów w Pułtusku, w r. 1583 otrzymał probostwo miechowskie, powołany do Rzymu, choć nie był jeszcze księdzem, mianowany został kardynałem r. 1584. Potem był biskupem warmińskim. Mimo to starał się o pozyskanie korony polskiej i tronu siedmiogrodzkiego i zabity został w r. 1599.
- 44 3: *Reszka* Stanisław, urodził się 1543, był na soborze trydenckim jako sekretarz Hozyusza, długo bawił w Rzymie, potem zajmował się

Str Wiersz

- wydawaniem synowców króla Stefana, który go znowu dwukrotnie do Rzymu do Neapolu wysyłał. Zostawił kilkanaście dzieł treści teologicznej i historycznej. Zmarł w Neapolu r. 1603.
- 44 9: *Córka królowej Katarzyny Jagiellonki* i króla szwedzkiego Jana, Anozą, urodziła się r. 1565, była gorliwą protestantką i choć bawiła na dworze polskim swego brata Zygmunta III, otaczającego się jezuitami, wyznania nie zmieniła. Zmarła w stanie panieńskim r. 1625.
- 45 2: *Ksiądz Warszewicki* Stanisław, mając lat 40 został jezuitą i był ozdobą zakonu. Przez papieża Grzegorza XIII wyprawiony do Szwecyi z misją nawrócenia króla Jana na katolicyzm, udzielał nauk jego synowi Zygmunтови, późniejszemu królowi polskiemu. Zmarł w Krakowie r. 1591 w skutek morowej zarazy. Zostawił wiele dzieł po polsku i po łacinie, treści teologicznej i ascetycznej.
- 45 28: *Jędrzej Patrycy Nidecki*, znakomity humanista polski, przyjaciel Jana Kochanowskiego, ur. 1527, zmarł jako biskup wendeński r. 1586.
- 47 3: *Bender*, warowne miasto w Besarabii nad Dnieprem, wówczas posiadłość turecka.
- 48 24: *za tak piękne opisanie męstwa jednego z nich*, mianowicie Krzysztofa Radziwiła w wojnie z Iwanem Groźnym r. 1581; poemacik ten Kochanowskiego ma napis: »Jezda do Moskwy« albo »Wtargnienie do M.«

Str. Wiersz

- 48 31: *Faust Socyn*, urodzony w Siennie r. 1539, był przeciwnikiem dogmatu o Trójcy ś., przybył do Polski w r. 1579, ożenił się z córką Krzysztofa Morsztyna i starał się o zjednoczenie wszystkich arian polskich; zmarł w r. 1694. Jest autorem kilku dzieł teologicznych, z których najpopularniejszym był »Katechizm socyniański«. Jakób Paleolog pisał przeciwko arianom rakowskim; a Faust Socyn stanął w ich obronie, pisząc swą »Apologię« r. 1581, wydaną bez imiennie. Socyn opuścił Kraków w r. 1583.
- 49 1: *Ksiądz Sokołowski* Stanisław, znakomity kaznodzieja z czasów Stefana Batorego i Zygmunta III-go. Dzieła jego po łacinie pisane wyszły w zbiorowem wydaniu w Krakowie r. 1591. Zmarł r. 1593.
- 49 13: *Symonius* rodem z Luki, wyznawał kalwinizm i dużo pisał; zajmował się też medycyną; polecony był królowi Stefanowi przez nadwornego lekarza Mikołaja Bukcellę i, jak utrzymywano, najgorzej leczył monarchę.
- 49 32: *vere nobilis rotmistrz Sobocki* Stanisław, był wielce lubionym dworzaniem króla Stefana, który zwykle go nazywał: *vere nobilis* = prawdziwy szlachcic (a zarazem: prawdziwie szlachetny). Zmarł r. 1589.
- 50 4: *Smolik* Piotr, dworzaniek króla Stefana, ulubiony mu z powodu wesołości i dowcipu; zmarł 1637
- 50 21: *Silva rerum* = las rzeczy, księga, w której

Str. Wiersz

- dawni Polacy zapisywali i ważne i potoczne wypadki, listy, dokumenty, rachunki, i. t. d.
- 50 23: *Jakób Górski*, znakomity filolog polski i polemista występujący w obronie wiary katolickiej, ur. 1525, zm. 1595 jako kanonik krakowski.
- 51 19: *Teresa z Avila* urodzona 1515, zmarła 1582, kanonizowana w r. 1622. Miewała widzenia, żyła w ciągłych zachwytach. Pisała wierszem i prozą.
- 59 18: *w trąbę Aońską*. Aonią nazywała się dawniej Beocya, gdzie się znajdowała góra Helikon, siedziba Muz, opiekunek sztuk pięknych; *trąba Aońska* zatem znaczyła tyle co wiersz bohaterski.
- 59 21: *omen* = wróżba, przeznaczenie, posłannictwo.
- » 25: *Turcyki* Stanisława Orzechowskiego są to mowy zagrzewające do walki z Turkami, drukowane w r. 1543 i zaraz na język polski przełożone.
- » » : *Strykowski* Maciej, historyk, publicysta i wierszopis polski. Dzieło, o którym w tekście powieści jest mowa, ma napis »O wolności korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego, a o srogim zniewoleniu inszych królestw pod tyrańskim jarzmem tureckim«. Wyszło w Krakowie r. 1575.
- 60 19: *Długosz* Jan, historyk polski, ur. 1415 zm. 1480.
- 61 8: *Żółkiewski* Stanisław, jeden z najznakomitszych wodzów naszych, urodził się r. 1547, zginął pod Cecorą śmiercią bohaterską w r. 1620.

Str. Wiersz

- 73 24: *Saryusz* albo *Szary* przydomek rodu Zamojskich od Floryana Szarego, co się za panowania Władysława Łokietka męstwem odznaczył.
- 77 13: *żałoba* w języku staropolskim znaczy skarga.
- 79 9: *ze zdrajcą Ościkiem*. Grzegorz Ościk, Litwin, w czasie wojny z Iwanem Groźnym, za zdradę względem kraju popełnioną, został ścięty publicznie w Wilnie r. 1580. Żeby Zborowski Samuel znosił się także z nieprzyjacielem, tego nieudowodniono. W owej wyprawie dokazywał on cudów waleczności.
- 82 18: *Herburt* Jan, człowiek bardzo zdolny i ukształcony, krewny Zamojskiego, był długo jego zwolennikiem, później dopiero przeciw niemu wystąpił; zmarł 1616.
- » 19: *Piskorzewski* Mateusz, mówca i wierszopis domownik Zamojskiego, towarzyszył mu we wszystkich wyprawach. *Heidenstein* Reinhol, znakomity dziejopis, ogłosił pamiętniki o wojnie moskiewskiej i żywot Jana Zamojskiego, urodził się 1556, zmarł 1620.
- 86 4: *requiescat in pace* = niech odpoczywa w spokoju.
- 90 20: *Konwokacya* = sejm konwokacyjny tj. zwołany nie w zwykłym, dwuletnim terminie, z powodu jakiejś ważnej sprawy.
- 91 29: *zabrał się całą duszą do swego rycerskiego poematu*. Z tego zamierzonego utworu pozostał nam tylko drobny urywek p. t. »Fragment

- Str. Wiersz
- bitwy z Amuratem u Warny«. Piękne są tam
wierce na cześć Władysława Warneńczyka.
- 95 8: *Batury Isztywan* nazwa Stefana Batorego
u Turków.
- » 12: *wyzina* mięso ryby z rodziny jesiotrowatych.
- » 18: *Bałchany* = Bałkany, góry Bałkańskie cią-
gnące od równin dalmackich do morza Czarnego.
- 97 15: *Il vero diseguo del Regno di Polonia* = praw-
dziwy obraz Królestwa Polskiego.
- 103 19: *dwu Kazimierzu* jest to forma liczby pod-
wójnej, używanej niegdyś, gdy się o *dwu* oso-
bach lub rzeczach mówiło.
- 108 22: *jego Fracuzy jeno nas obmawiali*. Poeta fran-
cuski, Filip Desportes, który towarzyszył
Henrykowi Walezemu do Polski, napisał wiersz,
pełen uszczypliwości i wzgardy zarówno dla
klimatu jak ludzi i ich obyczajów. Kocha-
nowski opowiedział na ten paszkwil wymo-
wnym wierszem łacińskim p. t. »Gallo cro-
citanti) »Francuzowi skarżącemu się, albo :
Kogutowi skrzeczącemu, ponieważ wyraz
Gallus znaczy i Francya i koguta). —
- 108 31: *pieńka* = konopie, pasma konopne.
- 109 12: *Maryja Stuart*, królowa szkocka, została ścięta
z rozkazu Elżbiety, królowej angielskiej
w r. 1587.
- 115 29: *bogazyowa* = bawełniana.
- 124 9: *Gotfred Buloniusz* = Gotfryd de Bouillon,
wódz pierwszej wyprawy krzyżowej w r. 1005;
Baldwin był jego bratem i pierwszym królem
jerozolimskim od r. 1100 oo 1118. Bohaterem

Str Wiersz

poematu Tassa: »Jerozolima Wyzwolona«, tłomaczonego przez Piotra Kochanowskiego, jest właśnie Gotfryd.

- 125 5: *kady* = sędzia pokoju u Turków.
- 130 24: *muszę podać do druku*. Z polskiego tekstu przełożył na język łaciński ten opis ks. Tretter i wydał p. t. »Hie rosolimitana peregrinatis Ill. D-ni Nic Chr. Radziwili epistolis compreheusa« (Brunsberga, 1601). Z tego łacińskiego dzieła przełożył na polski Wargocki i ogłosił je w Krakowie 1617. Są przekłady: niemiecki i rosyjski. Radziwiłł Sierotka umarł w 1616.
- 131 17: *pięknej pamięci córki* = Muzy, córki Mnemozyny tj. Pamięci, Wspomnienia.
- 137 32: *Rej Mikołaj*, jeden z najpierwszych i najpopularniejszych pisarzy polskich XVI wieku, umarł już w r. 1569, o czem Hofmanowa nie wiedziała i dlatego wprowadziła go na biesiadę poetów w Czarnolesie r. 1584.
- 140 1: *przysłałem z Włoch pieśń jedną*. Tradycya, przechowana przez Jana Herburta z Dobromila w przedmowie do książki przezeń wydanej w r. 1615, opowiada, jakoby pieśń Kochanowskiego, zaczynająca się od słów: »Czego chcesz od nas, Panie, za twe hojne dary«, przysłana była do Polski z *Paryża* (nie z Włoch), czytana i pochwalona przez Reja w r. 1556 na jakimś zjeździe szlachty, w ziemi sandomierskiej. Są i dziś jeszcze obrońcy tej tragedii (S. Tarnowski R. Plenkiewicz). Nie wdając się tu w krytykę, nad-

Str. Wiersz

- mienie tylko, że pieśń wspomniana ukazała się w druku po raz pierwszy dopiero w r. 1563 lub 1564 przy poemacie Kochanowskiego p. t. »Zuzanna«.
- 140 16: *Starszy ode mnie z jaki dziesiątek lat*. W rzeczywistości Łukasz Górnicki, znakomity prozaik polski XVI wieku, starszym był od Kochanowskiego tylko o lat trzy, gdyż się urodził w r. 1527, Koch. zaś 1530.
- 140 24: *Sebastyan Klonowicz*, rodem z Wielkopolski, mieszczanin, przyjął w r. 1582 obywatelstwo w Lublinie, a w roku następnym został ławnikiem magistratu. W r. 1584 ogłosił najpiękniejszy swój poemat po łacinie p. t. »Roxolania« (tj. opis Rusi Czerwonej). »Flis« wyszedł dopiero w r. 1595.
- 140 30: *Ksiądz kanonik Strykowski*. Maciej Strykowski, rodem z Mazowsza, autor wielkiej »Kroniki litewskiej« ogłoszonej w r. 1582, miał wprawdzie nadane sobie przez Biskupa żmudzkiego, Melchiora Gedrojcia kanonia, ale święceń kapłańskich nie otrzymał i studyów teologicznych nie odbywał. Czy żył jeszcze w r. 1594 nie wiadomo.
- 141 13: *Bielski Joachim*, syn Marcina, historyka i poety satyrycznego, w czasie, o którym tu mowa, był autorem kilku okolicznościowych wierszy, pisanych po łacinie, na cześć Stefana Batorego. Był pod Połockiem 1579 r. Wydawał dzieła swojego ojca, rozszerzył, dopełnił i kontynu-

Str. Wiersz

ował »Kronikę polską«, rozpoczętą przez tegoż i ogłosił ją dopiero w r. 1597.

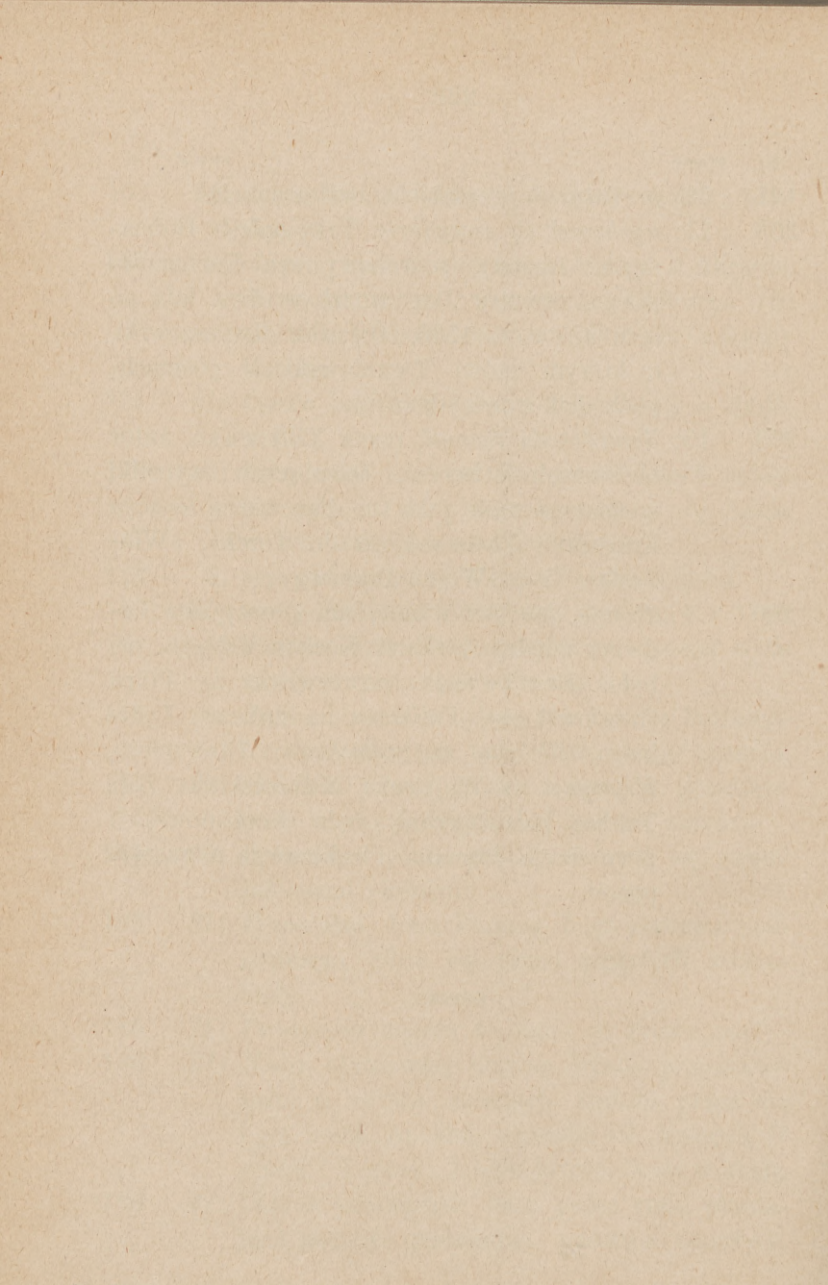
- 141 22: *Kronika Świata* Marcina Bielskiego, obejmująca dzieje powszechnie, wyszła po raz pierwszy w r. 1550 w Krakowie (2 ilustracyami); potem miała jeszcze dwa wydania r. 1554 i 1564 przerabiane i pomnażane. Wielce była rozpowszechniona; tłumaczono ją na język białoruski.
- 141 28: *Bartosz Paprocki*, rodem z Mazowsza, doznawał istotnie wiele przykrości od żony, kasztelanki sierpskiej i ogłosił w r. 1573: »Pano-szę to jest wydanie panów i paniąt ziem ruskich i podolskich«; r. 1578: »Gwiazdo cnoty«, w 1578: »Hetmana«, w 1579: »Senatora«, w 1582 :»Tryumf satyrów leśnych; w 1584 najważniejsze swe dzieło: »Herby rycerstwa polskiego«. W 1586 wyjechał do Czech i bardzo wiele jeszcze pisał i drukował zarówno po czesku jak po polsku i po kilku latach wrócił do kraju.
- 142 22: *Szymon Szymonowicz*, z rodziny mieszczań-skiej, urodził się w r. 1558. Odbywszy podróż za granicą dla nauki, wrócił do Polski r. 1580. Dawszy się poznać z wierszy łacińskich, zyskał sobie uznanie u Jana Zamojskiego, za przyczynieniem się którego otrzymał szlachectwo wraz z nazwiskiem: Bendoński. Umarł w r. 1629. Czy sielanki po polsku pisał już w r. 1584, nie wiemy; z druku wyszły one dopiero w r. 1614 i ogromne miały powodzenie.

- Str. Wiersz
- 142 32: *Rybiński Jan*, urodzony około r. 1560, dał się poznać przed rokiem 1584 tylko z wierszy łacińskich okolicznościowych, pochwalnych, był wielbicielem Jana Zamojskiego, na cześć którego wydał swój wiersz p. t. »Kancelerza, Jana Zamojskiego Tryumfy« (Kraków, 1590). Jako liryk, lubujący się w przymiotnikach składanych (wodokropny Jan, niebolotny Eliasz i. t. p.), dał się poznać w ksiadze p. 1. »Gęśli różnorymnych księga I« (Toruń, 1593). Wielkim talentem nazwać go nie podobna.
- 142 32: *Stanisław Grochowski*, rodem z Mazowsza; nauki odbywał u jezuitów w Pułtusku i zostawszy księdzem doznawał względów prymasa Karukowskiego. Poezye jego, niezbyt świetne, wychodziły z druku od r. 1573 do 1611; zmarł w r. 1612. Utwory jego mają cechę okolicznościową i wiele między nimi jest treści religijnej. Satyra »Babie koło« wiele nań sprowadziła nieprzyjemności.
- 144 26: *Chiron*, jeden z centaurów mitologicznych: i służył jako doskonały lekarz i chirurg, miał być wychowawcą wielu sławnych bohaterów, między innymi: Achillesa i Jazona.
- 144 29: *Kalliopa*, jedna z dziewięciu Muz.
- 144 30: *do Kalchów*: Mowa tu o słynnej wyprawie Argonautów po złote runo (»po korzuch barani«), znajdujące się w Kolchidzie nad morzem Czarnem. Wyprawą tą dowodził Jazon, wychowaniec Chirona.
- 145 5: *szołdra* = szynka.

- Str. Wiersz
- 146 19, 20: *bianka* = jajka bite z migdałami, cukrem i perfunami. *Tortele* = torciki. *Arkas* = potrawa na zimno z mleka, śmietany i żółtek. *Rosiata* = mleko warzone gęsto z jajami i na zimno dane.
- 146 27: *Balcer* głośny kuchmistrz Zygmunta Augusta; Stanisławski — Stefana Batorego.
- 152 9: *Stanisław Niegoszewski*, głośny w swoim czasie uczony improwizator, różnymi językami władający, a przedewszystkiem łacińskim. Przeważnie żył po-za krajem, głównie we Włoszech, gdzie się swemi zdolnościami popisywał. W Krakowie wydał zbiór Epigramatów po łacinie, przypisanych Janowi Kochanowskiemu.
- 152 11: *Aldo Manucci* jest to trzeci z rzędu sławny drukarz Manuzyusz; z jego to ojcem znał się we Włoszech Kochanowski.
- 157 12: *Piotr Kaszowski*, sędzia lubelski, akatolik, był jednym z założycieli Rzeczypospolitej babiniskiej, i krewnym Stanisława Pszonki.
- 159 14: *heksametr* jest to nazwa wiersza, składającego z sześciu stóp daktylicznych; *pentametr* — nazwa wiersza składającego się z pięciu takichże stóp. Jako przykład heksametru w naszym języku można przytoczyć Powieść Wajdeloty w »Konradzie Wallenrodzie.
- 164 8: *Teokryt* twórca *idyl* czyli sielanek greckich; żył w II-im wieku przed Chrystusem; wzorował się na nim nasz Szymonowicz.

- | Str. | Wiersz |
|------|--|
| 164 | 24: <i>nama</i> forma liczby podwójnej znaczy: <i>nam dwojgu</i> . |
| 167 | 4: <i>alিকant</i> , nazwa wina hiszpańskiego z Alicante, sławnego swemi winnicami. <i>Małwazya</i> (fr. malvoisie), albo <i>małmazya</i> słodkie wino z wyspy Kandyi. |
| 171 | 21: <i>Cerera</i> bogini rolnictwa; <i>dary Cerery</i> = zboże, chleb. |
| 172 | 2: <i>Sylen</i> miał wskazać Bachusowi sposób robienia napoju z winogron; używa się także w znaczeniu zestarzałego Satyra. |
| 172 | 3: <i>cypryjska pani</i> = Wenera, bogini miłości. |
| 173 | 30: <i>zacny Bokomolec</i> Franciszek, wydając w r. 1767 Poezye Jana Kochanowskiego: opuścił wiele mniej przyzwoitych »Fraszek«. |
| 174 | 4: <i>Parki</i> , boginie przedające nić żywota ludzkiego i rozporządzające nim wedle swego uznania. |
| 184 | 29: <i>Heraklit</i> , filozof grecki, z powodu przemienności rzeczy ludzkich, był zawsze smutny. |
| 184 | 30: <i>Symonides</i> , poeta grecki, wsławił się swemi żalosnemi pieśniami. |
| 185 | 21: <i>Prozerpina</i> , żona Plutona, boga państwa podziemnego, gdzie się cienie umarłych gromadziły. |
| 186 | 21: <i>Persephona</i> znaczy to samo co Prozerpina. |
| 186 | 24: <i>Nioba</i> , obraziwszy boginię Dyanę przechwałkami o swoich dzieciach, została przez nią i jej brata Apolina, ukarana ich śmiercią (7 synów i 7 córek). Z bólu zamieniła się w skałę. |
| 189 | 22: <i>Charon</i> przewoźnik dusz przez rzeki otaczające państwo podziemne, państwo umarłych. |

- Str. Wiersz
- 191 32: *przekaza* = przeszkoda, niedomaganie.
- 203 11: *wychował się szczęśliwie*. Tak sądziła Hofmanowa; niestety, pogrobowy syn Kochanowskiego, również Jan, zmarł w dwa lata po ojcu tj. w r. 1586. Ów Jan Kochanowski, o którym mówi Twardowski w poemacie, pochodził z innej linii.
- 203 15: *Twardowski Samuel*, poeta XVII wieku, autor obszernych utworów, opisujących wypadki społeczne sobie jako to: »Przeważna legacya Krzysztofa Zborowskiego do Turek«, »Władysław IV«, »Wojna Domowa«.
- 206 1: *Dorota*. Jak już wiemy, ani Doroty, ani Ludwiny między córkami Kochanowskiego, nie było. *Ewa* wyszła rzeczywiście za Filipa Owadowskiego, *Poliksena* za Łukasza Lędzkiego, *Elżbieta* za Stanisława Witowskiego, *Krystyna* za Wojciecha Michowskiego. Zob. Tablicę genealogiczną rodu Kochanowskich przy dziele Romana Plenkiewicza o naszym poecie.



Biblioteka UJK Kielce

UJK



0472960